

MICHELLE
MARTIN

*Lord
kamerdyner*

Prolog

Kapryśnym zrządzeniem losu John Rawlins urodził się jako trzeci syn księcia Merifielda. Jego narodzinom nie towarzyszyło jednak uroczyste bicie dzwonów ani wspaniałe fajerwerki, czym uczczono przyjście na świat jego braci, albowiem Jack był synem z nieprawego łoża, owocem wieloletniego romansu księcia z gospodynią domu w jednej z jego licznych posiadłości. Księżę, rozżłoszczony srodze na Catherine - na tyle bezczelną, by począć dziecko - zesłał ją do skromniejszego majątku w Stradfordshire, zanim księżna zdołała dostrzec jej brzemiennosc. Catherine, podając się za wdowę, pracowała tam i wychowywała swego syna. Będąc niewiastą praktyczną - co stało w niejkiej sprzeczności z lekkomyślnym romansem z księciem - przyuczała Jacka do służby, zawodu uprawianego przez nią i jej przodków.

Jack zobaczył po raz pierwszy ojca dopiero w wieku lat dwunastu. Podczas pobytu księcia w Stradfordshire, gdzie zaimprovizowano polowanie z udziałem licznych jego kompanów, ojciec z synem nie zamienili nawet słowa, arystokrata nie obdarzył go ani spojrzeniem, nie uczynił w jego stronę żadnego gestu. Jack był dla niego po prostu urodziwym chłopcem na posyłki spełniającym pańskie polecenia.

Gdy Jack skończył lat czternaście, ślepy los sprawił, że coś się w jego życiu odmieniło. Na zaproszenie księcia znów odbyło się w Stradfordshire huczne polowanie. Tym razem Jack usługiwał ojcu, jeżdżąc u jego boku wierzchem i masakrując w imię sportu tuziny ptactwa. Umiejętności Jacka w posługiwaniu się bronią i jeździe konnej wywarły na księciu wrażenie. Postanowił więc przypomnieć sobie o swych rodzicielskich

powinnościach i zadbać o wykształcenie syna. Zaopatrzył chłopca w odpowiednią odzież i sumę pieniędzy, upominając go zarazem surowo, by nie zdradził nikomu i pod żadnym pozorem swego pochodzenia, i wysłał do szkół w Szkocji, jak najdalej od miejsc, w których się obracał, aby chłopak nie natknął się na nikogo, kto mógłby dostrzec podobieństwo syna do tak znakomitego ojca. Skoro Jack osiągał dobre wyniki zarówno w nauce, jak i w sporcie (w przeciwieństwie do swoich przyrodnych braci), książę ponownie okazał mu łaskawość. Wysłał go na uniwersytet do Edynburga, ostrzegając, że jeśli piśnie choć słowo o ich pokrewieństwie, cofnie mu natychmiast wszelką finansową pomoc.

Wydawałoby się, że syn służącej będzie wdzięczny ojcu za to, co dla niego uczynił, ale Jack Rawlins nie żywił tego uczucia. Oczywiście, rad był, że może czerpać wiedzę z książek i od wykładowców, lecz szkoła, jaką dali mu studenci, odmieniła jego szlachetne serce i wyjawiała okrutną prawdę o świecie. Koledzy z wyższych sfer ignorowali i otwarcie lekceważyli syna służącej. Opanowanie - tej sztuki Jack uczył się każdego dnia. I oto dzięki niej, bystrości umysłu i celującym ocenom jego szkoccy koledzy zaczęli czuć przed nim respekt. Mało tego, stał się wręcz ich przywódcą, naśladowali jego sposób bycia; byli mu szczerze oddani i nie było rzeczy, jakiej by dla niego nie zrobili. Odtracony w dzieciństwie i uhonorowany w młodości poznał gorzką prawdę o sobie samym. Nie należał ani do świata matki, ani do świata ojca. Urodzenie i edukacja zamknęły mu drogę do nich obojga.

Po ukończeniu studiów John Rawlins miał wykształcenie dżentelmena, pierwszorzędne maniery służącego, gruntowną znajomość hipokryzji, prawie sto funtów, jakie udało mu się zaoszczędzić, silną niechęć do sfery, do której należał ojciec, oraz pierwszy i ostatni list, jaki otrzymał od księcia Merifielda. Ojciec obwieszczał mu, że jest wielce rad z wypełnienia swoich ojcowskich obowiązków. Życzył synowi sukcesu w dziedzinie, jaką sobie wybierze, rekomendując mu kapłaństwo, prawo bądź służbę morską - kariery wybierane przez młodszych synów Merifieldów.

Jack wybrał armię.

Po ukończeniu studiów Fitzwilliam Hornsby, ósmy wicehrabia Lyleton i prawy dziedzic tego tytułu, otrzymał zgodnie z wolą swego dziada, sześć tysięcy funtów rocznego dochodu oraz Charlisle, dużą posiadłość w Somersetshire wraz z rozległymi pastwiskami na wzgórzach, mieniającymi się zielenią polami uprawnymi, lasami oraz pięknymi ogro-

dami - wszystko to zostało opisane w najlepszych przewodnikach podróżniczych, które zachwalały zwłaszcza wspaniały elżbietański dwór z początku XVII stulecia. Jasnożółta kamienna budowla lśniła w promieniach słońca. Wysokie komnaty, marmurowe i drewniane posadzki, eleganckie apartamenty zachwycaly najbardziej wybrednych. Wordsworth, który pewnego pięknego lata zwiedzał Charlisle, tak ją określił: „Cudowna, tonąca w słońcu sielanka, miejsce nawiedzane niechybnie przez boginię Dianę”.

Któż mógłby marzyć o wspanialszej wiejskiej siedzibie?

Fitzwilliam Hornsby, Fitz dla przyjaciół, do których zaliczał się również Jack, przybył do Charlisle dopiero po trzech latach od skończenia uniwersytetu, i to na wyraźne żądanie zarządcy majątku. Wicehrabia nie cierpiał wsi, wszechobecnego brudu, psów, wieśniaków w zgrzebnym przyodziewku. Uwielbiał miejskie życie - modne stroje, przechadzki Bond Street, grę w karty aż do świtu u Watiera. Gdyby go zapytano o główny cel w życiu, odparłby: stać się w mieście kimś znanym, słynącym z fantazji.

W przeciwieństwie do wielu rówieśników osiągnął swój cel już za młodu.

Jedynym utrapieniem Fitz'a byli jego rodzice. Hrabstwo Lavesly nie przyjmowali do wiadomości faktu, że Fitz liczy już sobie dwadzieścia cztery lata i jest dorosłym, majątnym mężczyzną. Traktowali go jak małego chłopca, który wciąż potrzebuje rodzicielskiej kurateli. Zaledwie w ubiegłym miesiącu wygłosili długie i kąśliwe kazanie na temat jego strojów, gry w karty, próżniactwa, nieodpowiednich przyjaciół, pa-sji do koni i niechęci do małżeństwa.

To ostatnie było powodem nieustannego zatroskania rodziców, ale na nic się zdały ich perswazje. Fitz ani myślał o ożenku, gotów byłby dołożyć wszelkich starań, by przed trzydziestką nie stanąć na ślubnym kobiercu, a z upływem lat zaczął się poważnie zastanawiać, czy nie podwyższyć swego progu do lat czterdziestu. Lubił kobiety, owszem. Uważał, że stanowią miłą rozrywkę, której dość często się oddawał, szczególnie z tymi niewiastami, które podziwiały jego nowy paltot bądź oryginalną kompozycję jego czarnych loków.

Lecz co do wymarzonego przez rodziców ślubu, to wolałby przywdziać worek pokutny i posypać głowę popiołem, wyrzec się gry u Watiera, oddać wszystkie swoje konie jakiemuś biednemu Szkotowi niż związać się węzłem małżeńskim. Fitz może i nie grzeszył mądrością, ale miał bardzo rozwinięty instynkt samozachowawczy. Wiedział, że jako bogaty i przystojny mężczyzna jest świetną partią. Obserwował czujnie

wszystkie matrony pragnące złowić go dla swych córek i jak mógł, opędział się przed nimi. Wygłaszane przez rodziców co jakiś czas kazania były dość niską ceną, jaką płacił za swoją wolność. Z tego też powodu uważał się za człowieka, któremu los sprzyjał bardziej niż innym jego rówieśnikom.

Niestety, jego wiara w szczególną przychyłność losu runęła pewnego majowego dnia 1813 roku, albowiem hrabia i hrabina Lavesly powiadomili go, że pod koniec czerwca będzie pełnił rolę gospodarza letniego sezonu, na który zjedzie do Charlisle około dwudziestu pięciu zaproszonych przez nich gości. Co gorsza, rodzice będą pilnie baczyć, by nawet przez godzinę nie ważył się zaniedbać ciężących na nim obowiązków. Wieść owa zupełnie go oszołomiła - czeka go zatem nieznośny pobyt na wsi.

Fitz mógł się zaledwie domyślać, że za tym wszystkim kryje się jakiś nieczyny cel. Usiłował stanowczo się temu przeciwstawić. Do diabła, mogą sobie wkroczyć do Hadesu, ale nie będą włóczyć się po Charlisle! - słowa te zawisły na jego wargach, lecz groźne spojrzenie ojca każało mu zamilknąć. Poczul się zupełnie zdruzgotany.

Rad nierad wicehrabia pogodził się z losem. Pisemna instrukcja, jaką wysłał do służby swej wiejskiej rezydencji, była dość lakoniczna. Podawał w niej liczbę oczekiwanych gości i polecił przygotować wszystko jak należy. Resztę pięknego maja spędził w ponurym nastroju, mniej lub bardziej litując się nad sobą, w zależności od wypitego wina. List, jaki otrzymał pod koniec miesiąca, pogrzyżył go ostatecznie. Ów arkusik papieru nie tylko pozbawił go radości życia, ale też odebrał mu apetyt i sen. Fitz schudł, pobladł, oczy płonęły mu niezdrowym blaskiem.

- Mój drogi - rzekł John Rawlins, wszedłszy do porannego salonu miejskiej rezydencji wicehrabiego przy Berkeley Square - wyglądasz nad wyraz mizernie. - Zmarszczył czoło. - Cóż się takiego wydarzyło?

Fitz jęknął i ukrył twarz w dłoniach.

- Jestem na dnie, Jack - powiedział. - Diabeł przykrył mnie ogniem i nie mogę go z siebie strząsnąć. Zawsze byłeś moim aniołem stróżem. Musisz mi pomóc.

- Przyjacielu - rzekł anioł stróż z westchnieniem - zaledwie przed trzema miesiącami wróciłem do Anglii i już zdołałem uwolnić cię z matni szulerów i wyjaśnić nieporozumienie dotyczące wyścigów Bow Street. W dniu, kiedy osiedliłem się w Devonshire, oświadczyłem ci, że nie będę już za ciebie nadstawiać karku. Czyżbyś znowu znalazł się w kłopotliwym położeniu? Ratuj się sam z opresji. Dość mam pseudoheroicznych wyczynów. I nie zamierzam rozstawać się z moimi sadami, polami i la-

sami. Chcę wieść takie życie, jakie sobie obrałem, i niech piekło pochłonie cały świat.

- Niech piekło ciebie pochłonie, Jack, jeśli nie przyjdiesz mi z pomocą! - wykrzyknął zdruzgotany wicehrabia. - Przysięgam na wszystkie świętości, że jeśli teraz mi pomożesz, do końca roku o nic cię prosić nie będę.

Jack westchnął ciężko. Niewielu było ludzi, którzy zdołaliby się oprzeć błagalnemu spojrzeniu czarnych oczu Fitz.

- Cóż, dobrze, pokaż mi ten list.

- Jesteś nadzwyczajny - rzekł Fitz, nie panując nad emocjami. Wręczył przyjacielowi nieszczęsny dokument.

Jack rozsiadł się na fotelu, swobodnie wyciągając przed siebie nogi. Miał na sobie zakurzony płaszcz do jazdy konnej, bryczesy i buty jeździeckie z wywinietą cholewą- zaledwie przed półgodziną przyjechał wierzchem z Devonshire. W takim stroju nie uchodziło pokazywać się na salonach, ale we własnym gronie przyjaciele mało dbali o konwenanse.

Dokument był zwięzły i rzeczowy. Sir Marcus Templeton oświadczył, iż jest w posiadaniu listu lorda Lyletona do Aldory Higgins, tancerki operowej niewątpliwej urody i wątpliwej moralności. Fitz zapewniał ją w liście o swojej dozgonnej, wielkiej miłości i obiecywał żarliwie rychłe małżeństwo. Sir Marcus, obecny opiekun młodej kobiety, dawał Fitzowi do wyboru: albo poślubi dziewczynę, albo wypłaci pewną sumę... jemu właśnie.

- Naprawdę napisałeś do niej taki list? - zapytał Jack z niedowierzaniem.

Fitz jęknął przeciągle i złapał się za obolałą głowę.

Nie do wiary, pomyślał Jack, przyglądając się uważnie przyjacielowi.

- Ty, zagorzały wróg małżeństwa? Mógłbym przysiąc, że drugiego takiego nie ma w całej Anglii. Jak mogłeś wystąpić z podobną propozycją?

- Wszystko przez brandy - burknął Fitz. - I przez te jej perfumy. Człowieku, każdemu mężczyźnie zawróciłyby w głowie.

Z przekleństwem na ustach, mnąc list w dłoni, Jack wstał z fotela.

- I oto mamy na karku tego szubrawca. Szczwany lis, nie omieszka skorzystać z twojej słabości - powiedział, wrzucając list do kominka. - Hipokryta! Sir Marcus Templeton okrył hańbą więcej panien i spółdził więcej bękartów niż księżę Clarence. A teraz śmie ganić cię za uwiedzenie tancerki? Ta dziewczyna miała na pewno wielu kochanków, zanim ty połasiłeś się na jej wdzięki. - Zamilkł na chwilę. - Łatwo to będzie udowodnić w sądzie.

Wicehrabia uniósł gwałtownie głowę, na jego ładnej twarzy mało-
wało się przerażenie.

- O Boże, nie! Żadnej sprawy sądowej! Wyobrażasz sobie, w jakie
piekło zamieniłoby się moje życie, gdyby rodzice dowiedzieli się o Al-
dorze?!

- O, nie wątpię, to byłoby istne piekło - zgodził się Jack.

- Na pewno... jesteś taki sprytny i mądry... na pewno coś wymy-
ślisz, by uratować mnie przed tym draniem Templetonem.

- Szantaż to diabelnie trudna sprawa - przyznał Jack, siadając po-
nownie na fotelu.

- Do końca życia odechce mi się już małżeństwa, możesz mi wie-
rzyć.

- Wcale ci się nie dziwię. Ale myślę, że mógłbym uporać się z tym
kłopotem.

Fitz aż podskoczył, w jego czarnych oczach po raz pierwszy od dwóch
tygodni rozbłysła nadzieja.

- Mój drogi przyjacielu! Zrobisz to dla mnie? Naprawdę?

- Dobrze. Spróbuję.

- Och, Jack, jesteś najmądrzejszym człowiekiem w Anglii. Od cze-
go mamy zacząć?

John Rawlins westchnął.

- Twoi rodzice ułatwili nam sytuację - rzekł. - Żądają, byś pełnił
obowiązki gospodarza w Charlisle - i bardzo dobrze. To nam daje spo-
sobność odzyskania twego listu do Aldory. Jedyne, co powinieneś teraz
zrobić, to zaprosić sir Marcusa na letni sezon do Charlisle. Powiedz mu,
niech weźmie ze sobą ten list, a jeśli jest prawdziwy, odkupisz go od
niego.

- Ale ja nie chcę nic mu płacić.

- Nie będziesz musiał, bo przy pierwszej okazji ukradnę list.

- Ukradniesz? Pod nosem przeszło dwudziestu najdostojniejszych
gości z wyższych sfer? W jaki sposób?

Jack skrzywił się nieznacznie - oto los zatoczył krąg w jego życiu.

- Służący, no, powiedzmy, kamerdyner w wiejskiej rezydencji ma
dostęp o każdej porze dnia do każdego pomieszczenia. Wystąpienie w roli
kamerdynera w Charlisle nie sprawi mi najmniejszej trudności; pocze-
kam na odpowiednią chwilę, przeszukam pokój Templetona, odzyskam
list, i niech diabli wezmą tego szubrawca.

Wicehrabia Lyleton patrzył na Jacka szeroko rozwartymi oczami,
jakby dopiero teraz docenił wielkoduszność przyjaciela.

- Naprawdę zrobisz to dla mnie?

Po raz pierwszy tego dnia twarz Jacka przybrała spokojny wyraz.

- Jestem pewien - powiedział - że gdybym ja znalazł się w tarapatach, ty obmyśliłbyś plan stokroć sprytniejszy. A teraz słuchaj mnie uważnie: powodzenie całego przedsięwzięcia zależy od ciebie. Musisz zwracać się do mnie po nazwisku - Rawlins, nie Jack.

- Przyjacielu, jeżeli wyciągniesz mnie z tej pułapki, oddam ci hołd należny cesarzowej Józefinie.

- Czy aby któryś z gości nie rozpozna mnie z czasów studiów w Edynburgu?

Fitz potrząsnął głową z powątpiewaniem. Któż wpadłby na pomysł, że on, Fitz, ma tak ponurego przyjaciela?

- Wątpię, Jack, czy ci ludzie wiedzą, że Szkocja należy do Imperium. Żadnemu z nich nie przyszłoby zapewne na myśl przekroczenie jakiegokolwiek granicy. To światek mały i zamknięty. Nikt cię nie rozpozna.

- Świetnie. A więc twoim pierwszym zadaniem będzie wysłanie kamerdynera Charlisle na urlop.

1

Charlisle jest piękne, prawda, Saro? - zapytała księżna.

- Istotnie - przyznała z niejaką wstrzeźliwością jej najmłodsza córka. Księżna Somerton nigdy nie czyniła uwag bez podtekstu. Coś się kryło za tym jej zachwytem, i Sara wolała o tym nie wiedzieć.

- Jak mi nie mam, Lyleton ma również wspaniałą rezydencję na Berkeley Square— dodał książę patrząc na gzyms kominka, na którym porcelanowy pastuszek zalecał, się do porcelanowej pasterki. Wzruszył ramionami i spojrzął na obie panie. - Niewiele wymagałoby zachodu, by owa rezydencja stała się ośrodkiem życia towarzyskiego w stolicy. Lyleton, jak wiadomo, jest w swoim środowisku osobą dość popularną.

- Wicehrabia, jak sądzę, lubi towarzystwo - zgodziła się Sara, poważnie już zaniepokojona.

- Młody, atrakcyjny, bogaty, świetnie urodzony- ciągnęła księżna. - Jego przyszła narzeczona powinna doprawdy być szczęśliwa, nie uważasz, Saro?

Lady Sara Thorndike patrzyła na matkę z przerażeniem w oczach. Tylekroć w przeszłości słyszała podobne złowieszcze pytania, że wnet domyśliła się, do czego matka zmierza.

- Nie miałam dotąd okazji poznania pana tego domu, matko. Jakże więc mogłabym wydawać opinię o szczęśliwym bądź nieszczęśliwym losie jego przyszłej żony?

- Już trzy lata minęły, Saro... - odezwał się książę. - Pół minuty po przekroczeniu progu tego domu - ciągnął - powinnaś mieć własne zdanie o tym młodym człowieku.

- Mimo iż wicehrabia nie obracał się w naszych kręgach towarzyskich, z pewnością dobiegły cię o nim słuchy - oświadczyła księżna, zwracając w stronę córki świdrujące spojrzenie bladoniebieskich oczu. - W mieście, jak się domyślam, głośno jest o nim. Musisz sama wyrobić sobie zdanie o tym młodym człowieku.

- Muszę? - zapytała Sara przyciszonym tonem.

- Jak wiesz, nie znoszę wykrętów, szczególnie gdy dotyczy to moich własnych dzieci - rzekła księżna ze zwykłą sobie brutalną szczerością. - Zadałam ci proste pytanie i żądam równie prostej odpowiedzi. Co sądzisz o lordzie Lyletonie?

- Ma w sobie coś... że tak powiem... z dandysa, nie uważasz, matko? - zaryzykowała Sara.

- No cóż, w naszych czasach każdy młody, pełen temperamentu człowiek jest trochę dandysem - oznajmił książę. - Dojrzeje i z upływem lat pozbędzie się tej cechy.

- Hrabiostrwu Lavesly wyraźnie przypadłaś do gustu, Saro - oświadczyła księżna.

- Skąd ta pewność?! - wykrzyknęła córka, coraz bardziej tą rozmową zatrzwożona. - Przed pięcioma minutami zobaczyli mnie po raz pierwszy. Tyle że dygnęłam im w hallu.

- Aż nie do wiary, że tak się odnosisz do tej niezwykle poważnej kwestii - rzekła księżna z surową miną; jej na rudo ufarbowane kunsztowne, długie loki poruszyły się z lekka. - Powinnaś wiedzieć, że ja i twój ojciec prowadzimy od pewnego czasu rozmowy z państwem Lavesly. W ubiegłym miesiącu doszliśmy do porozumienia w sprawie kontraktu małżeńskiego. Przed dniem świętego Michała poślubisz wicehrabiego Lyletona.

- Ale ja nie chcę go poślubić! - wybuchała Sara.

W salonie zapanowała na moment martwa cisza. Sara spuściła wzrok - wpatrywała się pilnie w jasnozielony dywan.

- Mało nas obchodzi, co chcesz, a czego nie chcesz - oświadczyła ponuro księżna.

- Twoje panieństwo naraża nas na pośmiewisko - stwierdził książę z wyrzutem. - Tak dłużej być nie może, Saro. Miałaś pełne trzy lata, by znaleźć sobie męża wedle własnego upodobania. Teraz musisz zaufać nam - działamy przecież dla twego dobra.

Na te słowa Sara uniosła wzrok.

- Dwa lata temu znalazłam sobie męża wedle własnego upodobania!

- Sir Geoffrey to wybór nader niewłaściwy - wysapała księżna.

- Był człowiekiem honoru, o wielkiej dobroci, nikt złego słowa nie mógłby o nim powiedzieć - zaprotestowała odważnie Sara. - Szczerze go lubiłam i on lubił mnie. Stanowilibyśmy dobraną parę, a wam oszczędziłoby to pośmiewiska.

- Dość tego! - powiedziała księżna.

Sara cofnęła się szybko parę kroków.

- Sir Geoffrey Willingham - zaczął książe, krzywiąc się z niesmakiem - to marny szlachetka, niewiele wart i bez grosza. On nie jest z naszej sfery. Nic za nim nie przemawiało. Dosłownie nic. Twój związek z takim mężczyzną tylko przysporzyłby nam wstydu. Jesteś córką Somertona, Saro. Albo wyjdiesz za mąż za człowieka bogatego, o stosownej pozycji, albo zostaniesz starą panną.

- Nigdy żadna córka Somertona nie poślubiła mężczyzny, który nie byłby co najmniej hrabią - poinformowała księżna córkę. - Ósmy wicehrabia Lyleton jest zarówno utytułowany, jak i posiada wielką fortunę. Jest dla ciebie odpowiednim kandydatem na męża.

- Tak, matko - szepnęła Sara, opuściwszy z rezygnacją głowę.

- Cóż, prawda, właściwe urodzenie to nie wszystko - przyznała księżna, uspokojona wyraźnie, skoro już ostro i dobitnie przekazała córce swoją wolę. - Hrabiosstwo Lavesly dopiero od dwóch pokoleń mają tytuł. Są właściwie parweniuszami. Lecz Lyleton jest przystojny, atrakcyjny, dobrze ułożony, związek z nim dobrze rokuje.

- Tego lata powinnaś się postarać wyrzucić na nim wrażenie - rzekł książe. Córka patrzyła nań spod półprzymkniętych powiek. - Musicie poznać się wzajemnie, zbliżyć do siebie, porozumieć się w kwestii ślubu i jesienią stanąć przed ołtarzem. A obwieszczenie w gazecie ukaze się we właściwym czasie.

- Zbytek troskliwości, ojcze - mruknęła Sara, czując dławiącą suchość w gardle.

- Powinnaś w ciągu tych paru tygodni poznać dobrze młodego Lyletona - zarządziła księżna - a on na pewno nie omieszka okazywać ci publicznie względów należnych niewieście.

Tym razem Sarą wstrząsnął dreszcz; już sobie wyobrażała, co się tu będzie rozgrywać. Charlisle pełne było najzamożniejszych osobistości. Sara znowu zadrzała. Ci okropni ludzie, zadufani w sobie, próżni, napuszeni, i jeszcze wicehrabia Lyleton - wymuskany firek - wszystko to razem wzięte napawało ją grozą, aż zrobiło jej się słabo.

- Pójdę położyć się przed obiadem - rzekła zduszonym głosem.

- Bardzo to rozsądne z twojej strony - oświadczyła księżna. - Dziś wieczór masz pięknie wyglądać. Biała muślinowa suknia z niebieskimi

wstażkami będzie odpowiednia. Sznur pereł. Bez broszki. I modna fryzura a la Sappho. Do twarzy ci w niej.

- Tak, matko - mruknęła Sara i czym prędzej umknęła z salonu znajdującego się między sypialniami rodziców.

Stała chwilę w zalanym słońcem hallu, rozmyślając, co ze sobą począć. Najchętniej wsiadłaby na okręt i uciekła do Ameryki, zanim rodzice ją usidla.

- Czy mam panią odprowadzić, lady Saro? - zapytał ktoś uprzejmym, ciepłym głosem.

Nieobecna myślami uniosła głowę i wzrok jej padł na najprzystojniejszego na świecie mężczyznę - w życiu takiego nie widziała - który stał parę kroków przed nią. Był wysoki i barczysty, nieskazitelny strój przyozdabiał jego muskularną sylwetkę. Ciemne włosy, szare oczy patrzące z troską.

Sara nie mogła wydobyć z siebie głosu. Czyżby to był wicehrabia Lyleton? Słyszała, że jest urodziwy, ale ta uprzejmość, naturalność w obyciu, siła, jaka od niego biła - przekraczało to zaiste wszelkie jej wyobrażenia. Być może tak skrętnie przedsiębrane plany rodziców będą po jej myśli?

- Czy pan jest wicehrabią Lyletonem? - zapytała z nadzieją.

Zmrużył oczy i uśmiechnął się, szczerze rozbawiony.

- Niestety, wielmożna pani. Jestem Rawlins, kamerdyner.

O Boże, oczarował ją kamerdyner! Sara spłonęła rumieńcem. Pomyliła sługę z wicehrabią. Cóż by na to rodzice! Lecz ta pomyłka była całkiem uzasadniona. Nigdy by nie przypuszczała, że kamerdynerzy mogą być tak atrakcyjni. To wręcz nieprzystojne z jego strony tak zwieść ją swoim wyglądem. Jak on śmiał? Powinien być tłusty i łysy. Uświadomiła sobie, że wpatruje się w niego z rozdziawionymi ustami. Błyskawicznie je zamknęła i nerwowo szukała w myślach, co by tu powiedzieć.

- Cały czas byłeś w hallu? - zapytała.

- Nie, wielmożna pani. Pomagałem lady Formantle wysiąść z powozu. Zajęło mi to dobrych parę minut.

Mimo czarnych chmur, jakie nad nią wisały, uśmiechnęła się. Znała wdowę Formantle. Do wydobycia jej z najzwyczajszego powozu potrzebny był, zdaniem Sary, specjalny sprzęt.

- Gratuluję ci dokonania tego dzieła, Rawlins. Nie każdy by to potrafił. Przypomina mi się bal w Carlton House. - Wyrwał się jej całkiem niestosowny chichot. - Zaklinowała się w drzwiach, i dopiero po kilkunastu minutach zdołali ją wyciągnąć.

- Była pani świadkiem tej przemocy?

- Wspierałam ją na duchu.
- Wyobrażam sobie, jaką zyskała pani wdzięczność - powiedziała z figlarnym błyskiem w oczach, który Sara uznała za czarujący.

Wzięła głęboki wdech i przywołała się do porządku. Rawlins jest uroczym człowiekiem, ale to nie powód, by tracić dla niego głowę. Gawędziła sobie z nim poufale, a tuż za drzwiami znajdowali się jej rodzice. Nigdy by jej nie wybaczyli tak niestosownego zachowania. Najwyższy czas skończyć tę pogawędkę.

- Mam dla ciebie łatwiejsze zadanie, Rawlins. Czy wiesz, który zajmuję pokój?

- Owszem, wielmożna pani. Mieszka pani w apartamencie różanym, na końcu zachodniego skrzydła domu - okna wychodzą tam na ogród róż.

- Pięknie, ale gdzie to jest?

Znów cień uśmiechu na ustach. Jeśli będzie mi wolno, lady Saro, chętnie tam panią zaprowadzę.

- Bardzo dziękuję. A skoro przeprowadzisz mnie przez labirynt tych korytarzy, to może uda ci się przemycić do różanego apartamentu cały sagan gorącej czekolady?

Spojrzał na nią ze zdumieniem.

- Gorąca czekolada, wielmożna pani? W taki upał?

- Ma niezwykle kojące działanie, szczególnie z dodatkiem brandy. Nie zapomnij o brandy, Rawlins. Bo ja potrzebuję ukojenia - rzekła Sara, myśląc o okropnej perspektywie małżeństwa z wicehrabią.

- Nie zapomnę, wielmożna pani - odparł. Obrócił się sztywno i ruszył przez hall.

Sara podążała za nim, speszona nieco nagłą zmianą jego zachowania. Czyżby powiedziała lub uczyniła coś, czym poczuł się dotknięty? Skręcili w wiodący na prawo korytarz, obwieszony elżbietańskimi i jakobińskimi portretami.

- Czy od dawna służyysz wicehrabiemu? - zapytała; czuła się nieswojo w ciszy, jaka zapadła między nimi, choć on był przecież tylko kamerdynerem.

- Nie, wielmożna pani - odparł chłodno, nawet na nią nie spojrzawszy. - Jestem tu od paru dni. Kamerdyner Carlisle, niebywale uzdolniony człowiek o nazwisku Greeves, przebywa od paru tygodni na urlopie, załatwia w Essex jakieś rodzinne sprawy, a ja go tylko zastępuję.

- Dość długi urlop, trzeba przyznać.

- Wicehrabia jest wspaniałym panem domu.

- Cała w tym nadzieja - mruknęła Sara.

- Słucham, lady Saro?

- Nieważne, Rawlins - rzekła z melancholijnym westchnieniem. - Często mówię do siebie. Jest wiele innych osób, które przepadają za rozmową. - Co mówiąc, postawiła sprawę jasno i dobitnie.

Za kolejnym zakretem kamerdyner otworzył przed nią szerokie, ozdobne drzwi.

- Oto różany apartament, lady Saro.

- Dziękuję, Rawlins.

- W ciągu kwadransa przyniosę pani czekoladę z brandy.

- Jesteś prawdziwym aniołem - rzekła na to Sara. Spojrzała na niego z pewną nadzieją w oczach, ale on nie zmienił pełnej dystansu postawy. Uważa ją pewno za głupią gęś. - Przygotuj pełną filiżankę, dobrze? - przypomniała mu i weszła z opuszczoną głową do pokoju.

- Oczywiście, wielmożna pani - odparł, zamykając za nią drzwi.

- O Boże, co się pani stało, lady Saro? - zapytała Maria Jenkins, jej pokojówka, odwróciwszy się od wielkiej szafy, w której wieszala odzież. - Jest pani blada jak płótno!

- Widocznym najskuteczniejszym lekiem na cerę jest okrutny terror - oświadczyła Sara, siadając z impetem na łóżku.

- Każę przynieść brandy - zaczęła Maria, sięgając po dzwonek.

- Przyniosą mi niebawem. Czy widziałas, Mario, tutejszego kamerdynera?

- Zlustrowałam go należycie, wielmożna pani - rzekła Maria z uśmiechem.

Sara również zdobyła się na uśmiech.

- Jest bardzo atrakcyjny i bardzo... bałamutny. Najpierw uroczy, czarujący, a potem nagła zmiana: zimny, obojętny. Nie wiedziałam, czy złościć się na niego, czy też okazać mu wdzięczność za ten dystans.

- A do czego ten dystans był pani potrzebny? - dopytywała się Maria, ujmując obiema dłońmi jej lodowate ręce. - Co się pani przydarzyło, lady Saro?

Sara cała się trzęsła i nie mogła tego opanować.

- Sprzedano mnie, Mario - wyszeptwała. - Rodzice powiadomili mnie właśnie, że mam wyjść za mąż za wicehrabiego Lyletona.

Maria uściśnieła mocno dłonie swej pani.

- Za tego gogusia? Skąd ten pomysł? Jakie księstwo wiąże z tym nadzieje?

- Chcą bez skandalu pozbyć się rodzicielskiej nade mną kurateli.

Maria Jenkins, drobna i szczupła, o siwiejących ciemnych włosach, co najmniej dwadzieścia lat starsza od swojej pani, z całych sił przytuliła do siebie Sarę.

- Toż to ludojady!
- Uważaj, Mario, te ludojady wypłacają ci pensję.
- To nie powód, by pochwalać ich decyzję, jaśnie panienko.
- Masz rację - zgodziła się Sara z wyraźnym znużeniem w głosie; uwolniwszy się z uścisku Marii przechadzała się bez specjalnego zainteresowania po wytapetowanym na różowo pokoju. Od dawna już przywykła przyjmować biernie wyroki losu, nawet te najbardziej dokuczliwe.
- Powinnam była wydać się za mąż podczas mego pierwszego sezonu.
- Ośmielam się wątpić, czy człowiek o takiej reputacji będzie dla pani odpowiedni.
- Pouczono mnie, że przez całe lato winnam jak najczęściej przebywać w jego towarzystwie i być dlań uprzejma. Po tośmy tu przyjechali.
- A jeśli ten dandys nie zyska sobie pani sympatii?
- Sara popatrzyła na nią uważnie i odwróciła głowę.
- Kontrakt ślubny został już zawarty, Mario.

- Mam się ożenić z Sarą Thorndike?! - wykrzyknął z przerażeniem wicehrabia Lyleton. - Ożenić się... ? Szalony pomysł!
- Tyś szalony, lekceważąc taką partię! - wykrzyknęła hrabina Lavesly; cała aż się trzęsła z nietajonej wściekłości na niesforemego syna.
- Na Boga, chłopcze, czy zdajesz sobie sprawę, co to oznacza? - wtrącił rozeźlony hrabia. - Będziemy spowinowaceni z Somertonami! Każde drzwi w Anglii staną przed nami otworem!
- To wam na tym zależy, nie mnie - odparł Fitz, wciąż nie mogąc dojść do siebie po ich zapowiedzi; tak był nią zaskoczony, że zapomniał o należnym rodzicom szacunku. - I dlatego chcecie mnie usidlić, związać z tą panną na wieki!
- Fitzwilliamie - zaczęła hrabina surowo - nie życzę sobie, byś wyrażał się tak prostacko!
- Zważ, matko, że ja nawet jej nie znam!
- A jak myślisz, z jakiego powodu gościć tu będzie przez całe lato? - zapytał lord Lavesly.
- Twarz ich syna przybrała szarozieloną barwę.
- A-a-ale ja nie chcę się żenić. Jestem za młody.
- Nonsens - rzekła hrabina i przeszła przez pokój, ciągnąc za sobą jedwabny szal. - Twój ojciec miał dwadzieścia dwa lata, kiedy się ze mną ożenił, był młodszy od ciebie o przeszło dwa.
- Żona zrobi z ciebie człowieka - powiedział hrabia, klepiąc syna po ramieniu.

- Pomoże ci się ustatkować - dodała hrabina.
- Zrukuje mi życie - mruknął Fitz.

Wicehrabia nie grzeszył zbytnią mądrością, ale potrafił działać prze-zornie, gdy zachodziła taka potrzeba. Podszedł do szafy w obudowanej boazerią bibliotece, w której uwięzili go rodzice, nalał sobie pełną szklan-kę białego wina, jednym haustem wypił trunek i obrócił wzrok ku hra-biostwu.

Hrabia, mimo swoich czterdziestu dziewięciu lat, zachował dobrą figurę, choć włosy bieliła mu już gdzieniegdzie siwizna. Matka była wyższa od ojca o jakieś dwa cale, a jej blond loki - starannie ufarbowa-ne, mimo iż wypierała się tego w żywe oczy - i doskonały owal twarzy sprawiały, że przez długie lata była uznana przez środowisko piękno-ścią. Obojgu zależało na zajęciu odpowiedniej pozycji w świecie. Fitz wiedział od dawna, że w tej kwestii będą się chcieli nim posłużyć, lecz nigdy nie przypuszczał, że poważą się zmusić go do małżeństwa. List Templetona w tej sytuacji wydawał mu się fraszką.

- Jak więc zamierzacie działać? - zapytał.
- Oto cały mój chłopak! - powiedział jowialnie hrabia.

- Winienes tego lata przy każdej okazji asystować lady Sarze - od-parła hrabina z odcieniem satysfakcji. Zawsze była pewna skuteczności swoich perswazji. - W ciągu czterech tygodni obwieścimy zaręczyny. Ślub odbędzie się jesienią. Nie sądzę, byś miał do tego jakieś zastrzeże-nia. Posag lady Sary jest tak olbrzymi, że przy najlepszych chęciach nie zdołasz go przegrać u Watiera.

Fitz wyraźnie się ożywił.

- Ostatnio miałem u niego piekielnie dobrą passę.
- To oczywiście przyjemna dla uszu wieść.
- Całe towarzystwo będzie ci zazdrościć - oznajmił lord Lavesly. -

Córka księcia to łakomy kasek.

- Chcemy, Fitzwilliamie - ciągnęła hrabina - byś jak najmądrzej wykorzystał tę szansę. Od ciebie bowiem zależy zamożność i pozycja twojej rodziny. Cóż, biorąc pod uwagę przyszłe twoje koneksje, nie by-łabym zdziwiona, gdybyśmy w ciągu dwudziestu, trzydziestu lat zdoby-li tytuł książęcy.

- Przebóg, matka ma rację- rzekł hrabia zemocjonowany wielce taką perspektywą. - Przekonają się wówczas wszyscy, jaka krew płynie w naszych żyłach!

I jeśli roztrząsać państwo Lavesly, i nie było temu końca, na jakie to wzniosą się towarzyskie szczyty dzięki koneksjom swego syna, który stał pobladły i osłupiały, przerażony wizją rychłego małżeństwa.

Goście zadomowili się w swoich pokojach w Charlisle i w przeciwieństwie do Sary i pana domu dobry nastrój im dopisywał. Swarliwa i ociężała wdowa Formantle - zmęczona trudami podróży i wspinania się po schodach - przez przeszło kwadrans zadrczała swoją pokojówkę dobieraniem strojów, klejnotów i innych ozdóbek. Przez następny kwadrans łąjała swego syna George'a i synową Susan, po czym położyła się do łóżka i zapadła w zasłużony sen.

Uwolnieni szczęśliwie od zaborczej matki na co najmniej dwie godziny, George i Susan Formantle umknęli do przepięknych ogrodów Charlisle, radzi z tak rzadko im się zdarzającego wolnego popołudnia i możliwości przebywania tylko ze sobą.

W zachodnim skrzydle domu zamieszkał również pan Freddy Braithwaite i jego siostra Corliss - ich pokoje sąsiadowały ze sobą. Bardzo to obojgu odpowiadało, gdyż darzyli się wzajemnie szczerym uczuciem. Mało tego, ich rodziców - okropni nudziarze wedle bezczelnej opinii latorośli - ulokowano daleko stąd, we wschodnim skrzydle domostwa. Freddy i Corliss żywili zatem nadzieję, że z rodzicami będą się spotykać tylko przy posiłkach.

Pan Beaumont Davis, mimo iż otrzymał niewielki pokój w północnej części domu, był w pełni zadowolony, gdyż biurko stało tuż przy oknie, okno zaś wychodziło na zieleń ogrodów i łąk, co zainspirowało go do napisania paru wierszy. Pan Davis był poetą, i - ku utrapieniu swego ojca - unikał męskich zajęć, a ku zachwytowi matki - piękno przedkładał nad wszystko inne.

Jego rodziców - lorda Franklyna i lady Julię Marbles - ulokowano we wschodnim skrzydle. Nie stanowili dobranej pary. Jego porwała jej młodość, uroda i okazała fortuna. Ją - jego tytuł. Przekonali się niebawem, że nic ich ze sobą nie łączy. Nie było między nimi zgody w sprawach podstawowych i w żadnej kwestii dotyczącej wychowania syna. O ile lady Marbles była uroczą i wrażliwą kobietą, o tyle lord Marbles był dżentelmenem tego pijącym i o ponurym charakterze. Beaumont od najmłodszych lat był naturalnie po stronie matki i mimo nieustannych prześmiewek i szyderstw ojca nie zamierzał zmieniać poglądu na świat.

Lord Cyril Pontifax - który charakteryzował się tym, że ledwo wiązał koniec z końcem - zamieszkał w południowym skrzydle, obok pana Davisa. Otrzymał także mały pokój, ale nie narzekał. Znajdował się w obszernym, wygodnym domu, miał do syta jadła i napitku na każde zawołanie, no i zapewnione towarzystwo młodych i bogatych niewiast - choćby

Sary Thorndike - które przy rozsądnie skalkulowanych zalotach mogły raz na zawsze położyć kres jego ubóstwu.

W tymże skrzydle otrzymała lokum panna Fanny Neville, ładna blondynka, jak również lord i lady Danvers, sympatyczni ludzie tuż po trzydziestce, i doprawdy antypatyczny sir Marcus Templeton, któremu nie spodobał się przydzielony mu pokój i zażądał natychmiastowej zamiany. Wśród gości byli również lord i lady Doherty. Stanowili jedyną nadzieję Sary. Lady Charlotte, brunetka o pięknych czarnych oczach, jej dawna i najczulsza przyjaciółka, była obecnie w poważnym stanie. Lord Phineas poślubił był Charlotte przed półtora rokiem, i jego młoda żona postanowiła od samego początku, że Phineas i Sara również muszą się zaprzyjaźnić. Tak też się stało. Oboje szczerze kochali Sarę, byli inteligentni, posiadali znaczną wiedzę i ogromne poczucie humoru. Charlotte była doprawdy szczęśliwa z tego powodu.

Lecz szczęście w Charlisle nie było dominującym zjawiskiem. Służba - zarówno jej męska, jak i żeńska część - cała była rozdygotana, nie panowała nad sytuacją ani nerwami. Poprzedni pan tego domu - dziadek wicehrabiego po kądzieli - umarł przed czterema laty, pozostawiając ich samym sobie. Choć otrzymali masę wskazówek i zaleceń, jak przygotować dom przed letnim najazdem gości, jak należycie ich obsługiwać, wpadli w popłoch, dwoili się i troili, próbując czynić zadość żądaniom wszystkich, biegali po schodach tam i z powrotem, nie mając nawet chwili odpoczynku.

- A powiedziano mi, że życie na wsi jest spokojne! - wykrzyknął jeden z nowo przyjętych służących, lokaj o nazwisku Earnshaw;

- Ten ktoś wprowadził cię w błąd - oświadczył Jack nadzorujący zastawienie olbrzymiego stołu przed obiadem. - Przynajmniej tego lata spokojnie nie będzie - dodał.

Stwierdził, zdziwiony niemile, jak łatwo mu było wcielić się ponownie w rolę służącego. Edynburg i Portugalia jakby znikły z jego życiorysu i tylko smętne wspomnienia nawiedzały go od czasu do czasu. Nie przewidział tylko, że wydający mu rozkazy ludzie będą tak okropni, a wyniosłość, z jaką go traktowali, burzyła mu krew w żyłach. Fitz miał dość mętne pojęcie o składzie gości i Jack ponosił teraz wszelkie tego konsekwencje. Zaledwie po godzinie pobytu w Charlisle jego zła opinia o śmietance towarzyskiej potwierdziła się w całej rozciągłości.

- Panie Rawlins - powiedziała pani Clarke, ochmistrzyni domu, gdy wraz z dwiema pokojówkami wpadła do sali jadalnej. Była to pulchna i bardzo pogodna niewiasta dobiegająca pięćdziesiątki. - Lady Winster pana prosi.

Jack z trudem zdławił jęk. Od piętnastego roku życia bronił się przed nieznosną, natrętną lady Winster.

- Dziękuję, pani Clarke. - I zwracając się do lokajów: - Pracujcie dalej. Wróć za piętnaście minut i sprawdź, coście zdziałali.

Z niechęcią opuścił salę jadalną. Gdy podjął się tej maskarady w imię przyjaźni z Hornsbym, nie pomyślał, jakie niebezpieczeństwa mogą mu grozić ze strony dam pokroju lady Winster.

Na domiar złego w obecności lady Sary Thorndike zdarzyło mu się zapomnieć na parę zdradliwych chwil o dystansie, jaki winien cechować dobrze ułożonego sługę. I zapomnieć także o tym, co oglądał na wojnie. Jej pobladła twarz, gdy tego ranka spotkał ją w hallu, przypomniawszy mu, nie wiedzieć czemu, tych nieszczęsnych, zrozpaczonych ludzi na Półwyspie. Zmitygował się jednak zaraz: rozpieszczona córka bogatego księcia nie zaznała wszakże w swym życiu żadnych trosk. Zapewne od dnia narodzin szczęście niezmiennie jej dopisywało. Lady Sara była błada i mizerna, bo przestrzegała diety, bądź też zaliczała się do dziewcząt podatnych na wapory.

Czemu jednak okazała mu taką uprzejmość? Czy był to zwykły kaprys próżnej dziewczyny? Nie wolno mu dopuścić do tego, by zapomniawszy, jaką przepaść dzieli ich z racji urodzenia. Nie wolno mu zapomnieć, jaką rolę ma odegrać w tym domu. Nie wolno mu dopuścić, by zabawiła się jego kosztem. Dzięki Bogu, że Sara przywołała go do porządku. Dzięki Bogu, że zachowała właściwy dystans - tak to odczuł - zanim zdołał popełnić błąd w odgrywanej przez siebie sztuce. Gorąca czekolada z brandy, oczywiście! Dobrze znał młode damy z jej sfery. Nigdy więcej nie pozwoli sobie na podobne uchybienie.

2

Tego wieczoru przy obiedzie lady Sara Thorndike i wicehrabia Lyleton spotkali się po raz pierwszy. Oboje byli przerażeni. Fitz stwierdził, że jego przyszła narzeczona to dziewczyna średniego wzrostu, ruda, o wyblakłych niebieskich oczach i twarzy usianej piegami. Aż nim zatrzęśło. Ponadto miała jakiś dziwny, nienaturalny kształt podbródka. Wyobraział sobie nudny, stateczny żywot, jaki czeka go u boku wybranej przez rodziców małżonki. U jej boku, albo, co gorsza, pod jej pantoflem. Nie, za żadne skarby. Miałyby się wyrzec dotychczasowych rozrywek? Owszem,

lubi trwonić pieniądze u Watiera, ale niechże to nie będzie posag tej panny.

Co zaś się tyczy Sary, to orzekła w duchu, że wszystkie opowieści, jakie dotarły do niej o wicehrabim, na pewno są prawdziwe. Był niewątpliwie przystojnym młodym mężczyzną, lecz jego urody trudno się było w istocie dopatrzeć wśród całej masy starannie ufrizowanych czarnych loków i nazbyt strojnego ubioru. Usztywniony kołnierz koszuli sięgał policzków młodzieńca. Gorset wyszczuplał mu talię. Niebieski surdut był tak obcisły, że aż dziw, iż mógł poruszać ramionami. Pludry z bladoróżowego jedwabiu oszałamiały wręcz swoją dziwacznością. A zamiast białych jedwabnych pończoch nosił bladoniebieskie, pasujące jakoby do surduta! Nad tym prześmiesznym strojem lokaj musiał pracować chyba dobrych parę godzin przed obiadem.

Od pierwszego wejrzenia Sara nie miała wątpliwości, że jej przyszły małżonek to birbant, salonowiec, absolutne przeciwieństwo mężczyzny, jakiego pragnęłaby mieć za towarzysza życia.

Usiedli obok siebie przy podłużnym, wielkim stole, i oboje myśleli gorączkowo, co by tu powiedzieć, i oboje na tym myśleniu poprzestali. Pozostałe dwadzieścia sześć osób odznaczało się większą rozmownością. Lord Roger i lady Penelope Danversowie obsypywali pochlebstwami swoich sąsiadów i opowiadali różne zabawne historyjki, dzięki którym zyskali sobie dużą popularność w towarzystwie. Wdowa Formantle przemawiała na cały głos do George'a i Susan, czyniąc im wyrzuty, że po prawie roku małżeństwa nie obdarzyli jej wnuczęciem.

Beaumont Davis, z romantycznie opadającymi na twarz pasmami blond włosów, cytował swoje najnowsze wiersze siedzącej obok pannie Fanny Neville, która nie przejawiała nimi żadnego zainteresowania, albowiem po jej drugiej stronie zajmował miejsce sir Marcus Templeton: ów krzepki i muskularny mężczyzna (przeciwieństwo wątłego i delikatnego pana Davisa) opisywał barwnie swój udział w polowaniu na dziki, podczas którego zwierzę zraniło mu nogę.

Freddy i Corliss Braithwaite'owie prowadzili ożywioną dyskusję na temat, kto spośród ich krewnych jest najbardziej niesympatyczny. Lady Charlotte i lord Phineas Doherty, choć ich miesiąc miodowy dawno już minął, świata poza sobą nie widzieli.

Gwarno było zatem od rozmów, lokaje w liberii roznosili jedno danie po drugim, obiad trwał - tymczasem Sara i Fitz siedzieli, słowem się do siebie nie odzywając, z widowym wysiłkiem przełykając co nieco z talerzy. Z początku Sara liczyła na ratunek siedzącego po jej lewej stronie lorda Cyrila Pontifaksa. Wijące się naturalnie ciemne włosy lorda

były modnie ufryzowane, miał dobrą figurę, a jego ubiór, w przeciwieństwie do ubioru wicehrabiego, cechował umiar; biegły był ponadto w serwowaniu pochlebstw przy każdej okazji.

Niestety lord Pontifax miał dość nieprzyjemny zwyczaj klepania jej po rękę za każdym razem, gdy komplementował blask jej niebieskich oczu, czar osobisty, charakter, intelekt. Przypomniała sobie nagle zasłyszane o nim niezbyt pochlebne opinie.

Pochodził z dobrej, choć zubożałej od paru pokoleń rodziny. Dzięki znajomościom w Oksfordzie oraz dobrej woli bogatego ojca chrzestnego zyskał dostęp do grona zamożnych i lekkomyślnych młodzieńców, którzy, ilekroć składał im wizytę, chętnie udzielali mu pożyczek. Zaledwie przed niespełna rokiem Charlotte ostrzegła przed nim Sarę, mówiła, że to pasożyt i znany łowca fortun. Obserwując go obecnie, Sara pełna była podziwu dla przezorności przyjaciółki. Niemal z ulgą skierowała uwagę na swego przyszłego męża.

- O ile mi wiadomo, lordzie, posiada pan najlepsze stajnie w Anglii? - zaryzykowała pytanie, choć słyszała wielokrotnie, że przy zakupie koni nie kierował się ich jakością.

- Och, śmiem twierdzić, że takich samych lub lepszych jest jeszcze w kraju co najmniej sześć. - W brzuchu mu burczało, odsunął talerz z galaretką.

- Bywa pan na wyścigach?

- Oczywiście, a kto nie bywa!

-- Moi rodzice są zdania, że niewiastom nie wypada oglądać takich sportowych wyczynów.

- No, niewiastom... - mruknął Fitz. Szukał nerwowo jeszcze jakiegoś słowa.

Sara też starała się na próżno coś z siebie wydusić.

- Może lady życzy sobie wina?

Uniosła wzrok i ujrzała nieruchomą twarz Rawlinsa.

- Dziękuję, nie - odparła chłodno. Chciałaby znaleźć jakiś sposób, żeby móc się stąd ulotnić bez szwanku. Lokaj tymczasem stał już przy krześle lorda Marbles.

Sara spojrzała bezradnie na wicehrabiego.

- Podobno... Amerykanie wyhodowali nową rasę koni przeznaczonych do lekkich powozów i jazdy wierzchem. Nazwali ją rasą morgańską.

- Amerykanie - Fitz uśmiechnął się ironicznie - o prawdziwie dobrych koniach nie mają pojęcia. Na świecie liczą się tylko araby, i to czystej krwi.

- Czy taki fular to najnowszy krzyk mody? - zapytała, czepiając się rozpaczliwie innego tematu.

Nie mogła lepiej trafić.

- Istotnie - odparł wicehrabia, mile połączony. - Nosi nazwę Rosebud. Wszyscy eleganci z Bond Street oszaleli na jego punkcie, ale nikt nie potrafi odpowiednio go wiązać. - Po czym całe dwadzieścia minut tłumaczył z pasją wszelkie zawiłości dotyczące Rosebud, jak należy fular składać, wiązać, fałdować, nadawać mu właściwy kształt.

Sara wpatrywała się w niego ze zdumieniem, nie wierząc własnym uszom, lecz w końcu setnie ją to ubawiło. Wicehrabia to najprawdziwszy fireyk, lady Jersey miała rację. Ale przy tym wszystkim miał pewien wdzięk, potrafił być ujmujący. I choć Sara nie mogłaby spędzić z nim reszty życia, rozmowa wprawiła ją w dobry humor, albowiem zawsze gustowała w absurdalnych sytuacjach.

Po paru godzinach i po spożyciu kilkunastu dań towarzystwo wstało w końcu od stołu. Panowie udali się do biblioteki na kieliszek porto i cygaro, panie zaś przeszły do głównego salonu, pięknej komnaty, całej w bieli i złocie, z mnóstwem kwiatów w wazonach. Sara nie mogła sobie pozwolić na chwilę wytchnienia, gdyż przez dobry kwadrans musiała wysłuchiwać tyrady matki, która, pod nieobecność panów, zalecała jej czynić wszelkie wysiłki, by zdobyć względy lorda Lyletona.

Potem Sara wpadła w sidła wdowy Formantle, która tubalnym głosem dopytywała się, dlaczego dziewczyna w jej wieku, aż dwudziestojednoletnia, upiera się przy swoim panieństwie. Przejęła ją następnie lady Penelope Danvers, która nie mogła się nazachwycać jej sznurem pereł - oświadczyła, że podobnie pięknych nie zdarzyło jej się widzieć, i w końcu przystąpiła do obmawiania lady Corelgate, notorycznej hazardzistki, która w ciągu paru lat wszystkie swoje klejnoty sprzedała, aby pospłacać długi, i odtąd musiała zadowolić się sztuczną biżuterią, tak marnie wykonaną że stała się przedmiotem kpin całego towarzystwa.

Sarę rozboleła głowa, tętniło jej w skroniach. Miała zaledwie pięć minut na rozmowę z Charlotte, albowiem panowie wrócili do salonu, kilku z nich wciąż z cygarem w ustach. Niektórzy dogadzali sobie małą porcją tabaki.

- Proszę spróbować, wasza wysokość, mojego gatunku - rzekł lord Danvers do księcia Somertona. - Jest doprawdy niezwykły.

Książę spojrział na tabakierkę z niejaką rezerwą i zażył szczyptę.

- Nie można odciągnąć mego chrześniaka od tej paskudnej dziewczyny - poinformował z grobową miną lord Marbles lorda Phineasa

Doherty. Córka urzędnika. Urzędnika! Boleję nad tym niczym Wirgiliusz: „Och, Corydon, Corydon, co cię opętało?”

- Horacy tak mniej więcej by ci odpowiedział - rzekł z uśmiechem lord Doherty, spoglądając znacząco na żonę siedzącą w drugim końcu pokoju. Uśmiechnęła się w odpowiedzi - „Szczęśliwi, po stokroć szczęśliwi są ci, których więzy trwają bez ustanku i których miłości dozgonnej kłótnie nie speca”.

- Powiadam ci, Freddy- rzekł Fitz do młodego Braithwaite'a. - Brummel to już przeszłość. Rosebud oszołomi towarzystwo, wspomniesz moje słowa.

Wymowne spojrzenie księżnej nakazało Sarze, co ma robić. Niechętnie ruszyła w stronę Lyletona. Po drodze udało jej się podsłuchać pana Beaumonta Davisa, którego nie знаła, cytującego Andrew Mandella pannie Corliss Braithwaite, którą znała:

- „Miłość czai się na nas z każdego kąta...” - usłyszała fragment.

- „Za każdego zakrętu” - poprawiła.

Pan Davis porzucił swą byronowską pozę i spojrzał na nią z błyskiem zaciekawienia w zielonych oczach (ku utrapieniu rodzica wzrok miał zwykle utkwiony w podłogę). - Na Boga, ma pani rację! - wykrzyknął. - Zna pani Marvella?

- Studiowałam go po trosze - przyznała.

- Ostatnio ponownie go odkryto, jak pani zapewne wiadomo. Lubię go dość, nie powiem, ale wobec boskiego Byrona jest nikim.

- Och - mruknęła Sara z ledwie tłumioną niechęcią. Nie podzielała zachwytów większości dam nad *Childe Haroldem*, sam Byron zaś wydawał jej się zmanierowany. Pan Davis natomiast był, jak z tego widać, gorącym jego wielbicielem. - Widzę, że jest pan pod wrażeniem jego dzieł? - zadała ryzykowne pytanie.

Poecie tego tylko było trzeba. Przez następne dwadzieścia minut - panna Braithwaite (osoba na poezję obojętna) zdołała w tym czasie salwować się ucieczką- pan Davis cytował Sarze poemat za poematem, wyjaśniając każdy wers, zachwycając się każdą frazą, aż dziewczyna poczuła, że oczy same jej się zamykają. Gdy pan Davis przystąpił do recytacji pierwszej pieśni z *Childe Harolda*, pospieszył jej na ratunek lord Cyril Pontifax, który oświadczywszy, że był z Sarą umówiony na rozmowę, zaprowadził ją w drugi koniec pokoju.

- Czuję się jak rycerz w błyszczącej zbroi ratujący dziewczę z opresji - oznajmił. - Tylko że Davisowi daleko do smoka. Robi z siebie cheralaka, choć nogi ma tak krzepkie jak ja. - Pan Pontifax był bardzo dumny ze swoich zgrabnych, kształtnych nóg, będących obiektem podziwu całej

śmietanki towarzyskiej. - Równie dobrze mógłbym założyć opaskę na oczy i udawać Homera.

Sara uśmiechnęła się rozbawiona.

- To po prostu zakochany w słowach młodzieniec - rzekła, obserwując przechodzącego obok Rawlinsa; jak na służącego poruszał się z niezwykłą gracją.

- Nazbyt pani wielkoduszna, lady Saro, ale płci pięknej to przystoi. Prawdę mówiąc, to błogosławieństwo dla takich prostaków jak ja, którzy wywodzą się z niższego stanu. Dobrze by było, gdyby Davis znał swoje miejsce.

Popatrzyła na lorda Pontifaksa spod półprzymkniętych powiek.

- A gdzie jest to jego miejsce, lordzie?

- No cóż, w szkole, razem z innymi dziećmi - aż się zaśmiał z własnego dowcipu.

- Lady Saro!

Rozejrzała się i napotkała wzrok Rawlinsa.

- Słucham?

- Księżna prosiła mnie, bym przypomniał pani o złożonej dziś rano obietnicy.

- Ach tak. Dziękuję ci, Rawlins - odrzekła wdzięczna losowi. Stawowczo wolała już towarzystwo Lyletona. - Proszę mi wybaczyć, lordzie Pontifax, ale muszę pana opuścić.

- A więc na razie *adieu* - rzekł jego lordowska mość, unosząc jej dłoń do pocałunku.

Odeszła śpiesznie i wmieszała się w tłum gości, wypatrując lorda Lyletona. Nagle jej uwagę zwróciły dziwaczne gesty Bigby'ego, młodego lokaja. Jedną ręką balansował zgrabnie tacą z kieliszkami, drugą zaś machał w jej kierunku. Twarz miał w rumieńcach, oczy rozbiegane. Wiedziała, co się święci. Pijany. I był już blisko państwa Lavesly, co zwiastowało nie lada kłopoty.

Musiała działać szybko. Stała między hrabiostwem, odpychając ich z lekka w jedną stronę, sama zaś zagrodziła drogę chwiejącemu się na nogach Bigby'emu. Łatwo było przewidzieć dalszy przebieg wydarzeń. Lokaj wpadł na nią, taca z brzękiem szkła wylądowała na podłodze, co spowodowało, że gwar rozmów nagle ucichł, a oczy wszystkich skierowały się na Sarę.

- Ojej, jakaż ze mnie niezdara! - wykrzyknęła. - Przepraszam cię, Bigby. To moja wina. Weszłam ci w drogę.

- Zaraz wszystko posprzątam, wielmożna pani - zapewnił lokaj, spoglądając na pobożowisko.

Sara chwyciła go energicznie za ramię i przytrzymała. W ciągu trzech sezonów w Londynie nabyła wprawy w postępowaniu z podпитыmi dżentelmenami. Gdyby pozwoliła Bigby'emu pochylić się, rozciągnąłby się jak długi na podłodze i żadną miarą nie zdołałby wstać.

W jednej chwili Rawlins znalazł się u jej boku.

- Jakiś kłopot, wielmożna pani? - zapytał chłodno.

- On jest pijany - wyrzekła ściszym głosem. - Musisz go stąd zabrać, zanim hrabiostwo lub moi rodzice zauważą, co się dzieje.

Rawlins wyprostował się dumnie.

- Nikomu z mego personelu nie mogło się zdarzyć coś takiego...

- Bigby'emu się zdarzyło - syknęła Sara. - Mało brakowało, a wpadłby z tą tacą na hrabinę.

- Zaraz uprzątnę ten bałagan, panie Rawlins, może pan być spokojny - zapewnił ochotczo Bigby.

Rawlins słuchał go z lodowatym wyrazem twarzy. Teraz już wyczuł w oddechu lokaja zapach alkoholu. Ścisnął go mocno za ramię powyżej łokcia, co najwyraźniej sprawiło Bigby'emu ból.

- Idziemy po odpowiednie narzędzia - powiedziała.

Sara przeprosiła uprzejmie państwa Lavesly i swoich rodziców, którzy z ponurą miną podeszli właśnie do nich.

- Bardzo mi przykro, lordzie Lavesly, bardzo mi przykro, hrabino - rzekła szczerze skruszona. - Nigdy mi się taka niezręczność nie zdarzyła. Nie wiem doprawdy, jak się to mogło stać. Mam nadzieję, że przyjmą państwo moje przeprosiny.

Hrabina odsunęła z czoła czarny lok.

- Różnie w życiu bywa - rzekła chłodno.

- Jak mogłaś, Saro, to niedopuszczalne - upomniała ją matka.

- Mam nadzieję, że nie zrazi to do pani Fitzwilliamia - powiedział hrabia Lavesly.

- Wierzę, iż wicehrabia jest dobrym człowiekiem i nie będzie miał mi za złe tego incydentu.

Służba pojawiła się niebawem i zaczęła uprzątać potłuczone szkło. Lavesly'owie i Somertonowie odeszli na bok, usiłując zatuszować rozmową nieprzyjemną sytuację. Rzucone przez matkę kątem oka spojrzenie przypomniało Sarze, co winna uczynić. Winna znaleźć się u boku wicehrabiego Lyletona. Lecz nigdzie nie mogła go dostrzec.

Rawlins był w znacznie lepszej sytuacji, bo górował wzrostem nad innymi mężczyznami w tym pokoju.

- Rawlins - rzekła, podchodząc do niego.

Odprawił lokaja, któremu wydawał polecenia, i obrócił się ku niej.

- Słucham, wielmożna pani?

Miała ochotę tupnąć nogą. Nigdy jeszcze się nie zetknęła z tak wyniosłym sługą. Sama też w końcu przybrała podobny ton:

- Bądź tak dobry i przynieś mi małą szklanekę brandy. Znajdziesz mnie w towarzystwie wicehrabiego Lyletona... gdziekolwiek on teraz jest.

- Stoi przy waszej dynastii Ming, parę jardów na lewo od pani. Czy w dalszym ciągu życzy sobie wielmożna pani czegoś... pokrzepiającego?

Spojrzała nań, zdziwiona tym tupetem. Dostrzegła w jego oczach coś jakby cień pogardy.

- Tak - rzekła szybko i odwróciła głowę.

Przez następną godzinę stała obok Fitz'a, usiłując nawiązać z nim rozmowę, na co, prawdę mówiąc, oboje nie mieli ochoty. W końcu wdowa Formantle zażądała stolików do gry w karty - i Sara była uratowana. Państwo Doherty zaprosili ją do swego stolika; Freddy Braithwaite wyraził życzenie partnerowania jej; Corliss natomiast zwróciła się do Lyletona zapytaniem, czy nie zasiadłby z nią do gry przy innym stoliku.

Rodzice Sary nie mieli już w tej sytuacji nic do powiedzenia, spojrzeli na nią tylko ponurym wzrokiem. Co zaś się jej tyczy, to bezustannie dziękowała swoim przyjaciółom za ich życzliwość i wsparcie.

Wróciła do swego apartamentu w całkiem dobrym nastroju. Wprawdzie państwo Lavesly postarali się, by Lyleton odprowadził ją na górę, ale to było już do zniesienia. Rozmawiali o kartach.

Przed drzwiami różanego apartamentu wicehrabia skłonił się nisko, Sara dygnęła, i na tym koniec.

Gdy zmierzał do swego pokoju, usłyszała wyraźnie szczere westchnienie ulgi, jakie wydobyło się z jego piersi. Biedny chłopak, pomyślała. Jest tak samo zniewolony i tak samo nieszczęśliwy jak ona.

Sara usiadła przed toaletką i zdjęła kolczyki, naszyjnik z pereł, bransoletkę, po czym wzięła z rąk Marii, tak jak każdego wieczoru, filiżankę gorącej czekolady. Ledwie upiła łyk błogosławionego napoju, gdy rozległo się gwałtowne stukanie do drzwi, dobrze znane im obu. Maria zdążyła jeszcze ukryć filiżankę między kosmetykami i flakonami perfum, nim wparowała do pokoju księżna Somerton. Księżna nie uznawała słodczych spożywanych między posiłkami.

- Danon przygotowała ci świetny płyn na piegi - rzekła. - Umyj nim twarz dziś wieczór.

- Dobrze, matko - odparła Sara, biorąc od niej flaszki płynu sporządzonego przez matczyną pokojówkę.

- Dopilnuj tego, Jenkins - poleciła księżna.

- Oczywiście, wasza wysokość - odparła Maria, dygnawszy.

Księżna dwoma palcami ujęła Sarę pod brodę. Przyjrzała się jej z troskanyim wzrokiem i westchnęła głęboko.

- Och, gdybyś miała profil Arabelli...

- Przykro mi, matko. - Podobne uwagi słyszała już wielokrotnie.

- Albo choć nos Frances - dodała księżna, cofając dłoń. - Masz tak pospolite rysy... No i ta nienadzwyczajna cera! Zęby ładne, to po mnie. I kolor oczu, owszem, może się podobać. Ale reszta... - znowu westchnęła i zmierzyła ją od stóp do głów. - Figurę masz niezłą, lecz do prawdy, Saro, kiedy wreszcie zaczniesz godnie się nosić, jak przystało córce Somertonów?

- Przykro mi, matko.

- Być może małżeństwo sprawi, że nabędziesz owej dostojności, której tak ci teraz brakuje... Nie zapomnij o przemyciu twarzy.

Po wyjściu księżnej Sara i Maria wymieniły spojrzenia.

- Kiedy ostatnio używałyśmy tego płynu, oparzył paniencę skórę - powiedziała Maria.

- Pamiętam - odparła Sara z westchnieniem. - Użyję tak jak zawsze kosmetyku doktora Witheringa i powiem, że skorzystałam z płynu Danon. Na wszelki wypadek ulejemy go trochę co wieczór z flakonu, gdyby Danon chciała sprawdzić.

- Na pewno nie omieszka.

- Na wyraźne polecenie matki oczywiście.

- Też coś: pospolite rysy!— prychnęła Maria. - Ma panienska bardziej interesującą twarz niż...

- I bardziej interesujące piegi.

- ... niż każda panna w tym domu. - Maria urwała i roześmiała się nagle. - Proszę wypić tę gorącą czekoladę i do łóżka.

- Już to robię, Mario - odparła ciepło Sara.

3

Spośród dwunastu lokai i dwudziestu trzech pokojówek tylko siedmioro zasiadło w hali czeladnej, aby przed kolejnym natłokiem zajęć napić się spokojnie herbaty. Wszyscy spoglądali ukradkiem na Jacka, który wyszedł właśnie ze swojego pokoju i dołączył do nich. Od pierwszego dnia jego pobytu aż huczało od plotek - skąd się wziął i dlaczego jest taki milczący.

Bez względu jednak na to, skąd się wziął, szybko zdobył sobie autorytet wśród służby. Żeńska część personelu robiła wszystko, by zwrócić na siebie jego uwagę, mężczyźni natomiast wychodzili ze skóry, aby nie popełnić w pracy żadnego uchybienia. Pan Rawlins miał bystre oko. Lizzie Benton, jako gospodyni pokojówek, przypadło w udziale nalanie Jackowi herbaty.

- Proszę, panie Rawlins. - Z uwodzicielskim uśmiechem podała mu filiżankę, podczas gdy pokojówki obserwowały ją zazdrośnie. - Dobra i gorąca.

- Dziękuję, Benton - powiedział Jack, nawet na nią nie spojrzawszy. Z kuchni wpadła do hali pani Clarke.

- Ten nowy francuski kucharz zaprowadził tutaj wreszcie trochę porządku - rzekła, sięgając po filiżankę. - A miałam co do tego wątpliwości.

- Niełatwo się z nim porozumieć - orzekł sucho Jack. - Trzeba pilnie zważać na każde jego słowo. Czy mogę coś powiedzieć, pani Clarke?

- Oczywiście, panie Rawlins. - Gospodyni zajęła wolne miejsce po jego prawej stronie. Na szczęście była mężatką, żoną głównego stangreta, nie musiała więc zabiegać o względy przystojnego kamerdynera. Jack z ulgą przyjął jej sąsiedztwo przy stole.

- Dziś rano - zaczął - usłyszałem mimo woli, jak księżna Somerton gani dwie pokojówki za chichoty i plotkowanie. Sprzątały zielony salon.

- To na pewno siostry Kiley oświadczyła, kiwając głową, pani Clarke.

- W istocie. Mam nadzieję, że porozmawia pani z nimi.

- Rzecz jasna, panie Rawlins. To wiejskie dziewczyny, które przyjechałam na lato, nie są odpowiednio przygotowane.

- Wnosząc z tego, co widziałem, pracują dobrze. Jedynie ich maniere budzą wątpliwości. Mam podobny problem - rzekł, spoglądając wymownie na Bigby'ego - tycający niektórych lokajów.

- To wszystko z tej przyczyny, że przedtem służba objała się, niewiele tu było do roboty.

- A goście mają spore i uciążliwe wymagania - dodał Jack.

- W życiu nie widziałem takich nieprzyjemnych ludzi - stwierdził Bigby, starając się zwrócić na siebie uwagę siedzącej obok ładnej pokojówki. - Dla nikogo nie mają dobrego słowa.

- Nie jest tak źle - powiedziała dziewczyna, obracając się ku niemu. - Są tacy, którym aż przyjemnie jest służyć.

- Wymień choć jedno nazwisko - poprosił Bigby.

- Lord i lady Doherty - odparła dziewczyna. - To już dwie osoby. No i lady Sara Thorndike zawsze powie człowiekowi coś miłego.

Jack nadstawił uszu, albowiem od pierwszego spotkania z Sarą Thorndike nie przestawał o niej myśleć. Perswadował sobie, że jej uprzejmość świadczyć może o tym, iż panna chce sobie z nim w ciągu lata popoflować albo nawet próbować go uwieść, jak swego czasu lady Winster.

Nie miał racji.

Od tamtej chwili odnosiła się przyjaźnie do całej służby, i tylko jego traktowała chłodno, z dystansem. Jakby umyślnie okazywała mu swą wyższość. Przepęłniała go gorycz, szczególnie wówczas, gdy widział, jak Earnshaw spełnia ochoczo każde jej życzenie i zaśmiewa się z jej żartów.

- Podobno - zaczęła jedna z pokojówek - ma wyjść za mąż za wicehrabiego.

- Wszyscy o tym gadają - odezwał się Bigby. - A niby z jakiej innej przyczyny zwołano to całe trunkowe towarzystwo? Biedny człowiek. Kto chciałby się ożenić z taką piegowatą dziewczyną.

- Jesteś niezguła i do tego bezczelny ty! - wykrzyknął Jack. - Ta piegowata dziewczyna uratowała cię wczoraj wieczór od natychmiastowego zwolnienia. Winienesz jej coś więcej, Bigby, niż kaśliwe uwagi. Nie zapominaj, że przyjąłem cię na próbę. Więc zachowuj się stosownie, bo inaczej rychło stracisz posadę. I powiem ci jeszcze, żeś głupi, skoro sądzisz ludzi według wyglądu.

Wszyscy przy stole patrzyli na niego ze zdziwieniem. On sam zresztą był zdziwiony swoim wystąpieniem. Co go, na Boga, podkusiło? Dlaczego stanął w obronie córki księcia Somertona, która niczym się od swego środowiska nie różniła?

Była aż do przesady uprzejma. Od dnia urodzin żyła w komforcie, rozpieszczana, otaczana troską, nigdy żaden jej kaprys nie spotkał się z odmową. I właśnie ona miała poślubić Fitzę. Jack potrząsnął głową z powątpiewaniem. Dobrze ułożona młoda dama, która zawsze spełnia życzenia rodziców, godzi się z opinią środowiska, w którym wzrastała, ma wyjść za mąż za Fitzę Hornsby'ego!

Złamię mu życie, to oczywiście. Nie zaaprobuje jego zamiłowania do ekscentrycznych strojów, hazardu, licznych stajni. Przy niej za rok zrobi się z niego starzec. Małżeństwo pozbawi go nie tylko ulubionych rozrywek, ale co gorsza, tej radości, która każdemu się udzielała. Już teraz Fitz był wyraźnie przygnębiony, a powodem tego była z pewnością Sara Thorndike. Już zagięła parol na biednego chłopaka. Prawie stale przy nim tkwi.

Jack wstał od stołu, nierad, że wzbudził zainteresowanie całego personelu.

- I nie plotkować o tych, którym służycie - oświadczył. - Proponuję, by każdy wrócił już do swoich obowiązków.

Z pokoju lady Winster rozległ się jeden dzwonek, potem drugi. Jack westchnął ciężko i wyszedł bez słowa, odprowadzany wzrokiem wszystkich obecnych.

Najbardziej irytowało Sarę to, że wszyscy goście, orientując się w sytuacji, obserwowali ją z zaciekawieniem o każdej porze dnia.

- Jestem u progu szaleństwa - zwierzała się swej przyjaciółce, Charlotte Doherty, gdy ramię w ramię przechadzały się w ogrodzie róż. - I co gorsza, nawet w towarzystwie nie potrafię się opanować.

- To istotnie przykre położenie - zgodziła się Charlotte.

- Jestem w Charlisle zaledwie trzy dni - ciągnęła Sara - i nie mam pojęcia, skąd wszyscy, łącznie ze służbą, wiedzą, że po to ściągnięto tutaj Lyletona, by mi się oświadczył.

- Przypuszczam, że państwo Lavesly w rozmowie ze swoimi gośćmi nie zachowują należytej dyskrecji.

- Również moi rodzice dość obcesowo nakłaniają mnie do szukania towarzystwa wicehrabiego - mruknęła Sara. - Wprawia mnie to w zakłopotanie.

- Ależ Saro, nie ma w tym nic wstydliwego, że dwoje ludzi spotyka się, by zawrzeć związek małżeński - powiedziała Charlotte. - Tak już jest na tym świecie, i na ogół wzajemne poznanie odbywa się na platformie towarzyskiej. Wcześniej czy później wszyscy się o tym dowiedzą.

- Towarzystwo nie może się obyć bez plotek.

- W rzeczy samej. Jedyne, co mogę ci poradzić, to to, byś się tym nadto nie przejmowała. Rozchmurz się. Nie bierz sobie do serca tego ich głędzenia. Pokaż im, jaka naprawdę jesteś.

- Przede wszystkim piegowata - wypaliła Sara.

- I dumna, i rozsądna. Posłuż się tymi atrybutami. Goście w Charlisle przestaną ci nękać, jeśli zajmiesz właściwą postawę.

- Bardzo możliwe.

- Nawiasem mówiąc, nie wyglądasz na zdeprymowaną w towarzystwie Lyletona.

Sara uśmiechem skwitowała te słowa.

- To najgłupszy i zarazem najstodszty młodzieniec, jakiego w życiu spotkałam. Domyślam się ponadto, że on panicznie boi się małżeństwa, tak samo zresztą jak rodziców, a tego pierwszego wcale nie mam mu za złe.

- No proszę! - rzekła z triumfem Charlotte. - Przynajmniej to was łączy.

Uśmiech zniknął z ust Sary.

- I obawiam się, że nic więcej. Nie zna się ani na polityce, ani na poezji. Nie ma pojęcia o zarządzaniu majątkiem. Słabo się orientuje, dlatego prowadzimy wojnę z Ameryką. Przyznaję się nawet do tego, że nie lubi Szekspira, bo jest dla niego za trudny.

- Przewyższasz go bystrością.

- Nawet to mogłabym znieść - powiedziała Sara, gładząc płatki róży. - Ale on jest taki... chłopiec, a ja chcę poślubić mężczyznę, nie dzieciaka, Charlotte, którego miałabym wychowywać razem z własnymi.

- Lyleton jest doprawdy uroczy, a znając cię tak dobrze, nie wierzę, byś nie mogła wzbudzić w sobie uczucia dla chłopca.

- Może bym i mogła, ale wyłącznie uczucie przyjaźni. I z każdym dniem utwierdzam się w przekonaniu, że jako małżeństwo unieszczęśliwilibyśmy się wzajemnie.

Lady Doherty nic nie odrzekła, albowiem jej myśli biegły podobnym torem.

Zza żywopłotu wychynał nagle Jack i znalazłszy się naprzeciwko przyjaciółek zapomniał przez chwilę języka w gębie. Szczerze lubił Fitzę, ale musiał się zgodzić z osądem lady Sary. Rozmowa, jaką niechcący podsłuchał, sprzeczna była z wrażeniem odniesionym podczas pierwszego spotkania z księżniczką córką. Tu, w ogrodzie, zobaczył całkiem inną osobę niż ta, z którą rozmawiał przed trzema dniami, i nie mógł pojąć, skąd ta różnica.

Co się zaś tyczy Sary, to spłonęła rumieńcem - żadną miarą nie mogła temu zapobiec. Czy Rawlins słyszał, jak wyraziła się o jego panu, jak nazwała go chłopcem? Poznała po jego oczach, że tak. Zaczerwieniła się jeszcze bardziej.

- Co powiesz, Rawlins? - lady Charlotte przerwała niezręczną chwilę ciszy.

Przybrał zwykły sobie chłodny wyraz twarzy.

- Przepraszam, wielmożne panie. Szukam właśnie sir Marcusa Templetona.

- Zdaje się, że wraz z panną Neville i lady Danvers zwiedza oranżerię - odparła Charlotte.

- Dziękuję - rzekł kamerdyner z lekkim ukłonem, po czym odwrócił się i odszedł szybkim krokiem.

- Ciekawe, czym mu się naraziłam, że przybiera wobec mnie taką sztywną pozę? - zapytała Sara, zmarszczywszy czoło.

- Daj spokój, to nie ma z tobą nic wspólnego - zapewniła ją Charlotte.
- Lady Saro!

Obie panie obejrzały się i zobaczyły drepczącą ku nim Marię z parasolką w dłoni. Sara jęknęła przeciągle.

- Matka mnie szpieguje? - zapytała Marię.
- Przez okno salonu - odparła pokojówka. - Księżna kazała mi przynieść parasolkę, bo zapomniała panienka o kapeluszu.

Sara potrząsnęła głową z irytacją.

- Moim piegom, Mario, nie pomogą nawet egipskie ciemności.
- Jak widać, księżna stale ma panią na oku - powiedziała Maria,

podając Sarze parasolkę.

- Może ty, Mario, pomożesz nam rozwikłać pewną zagadkę - powiedziała Charlotte. - Czy istotnie Rawlins jest do lady Sary wrogo nastawiony?

- Nie, wielmożna pani.
- Widzisz, Saro?
- Odnosi się do mnie tak, jakby mnie nie lubił - stwierdziła Sara.
- To nie dotyczy tylko pani - odrzekła pokojówka. - Jest wyniosły i milczący zarówno wobec tych, którym służy, jak i tych, którymi rządzi. Gdybym była o parę lat młodsza, zarzuciłabym na niego sidła i na pewno by w nie wpadł.

Charlotte roześmiała się.

- To w istocie bardzo atrakcyjny mężczyzna. Wyobrażam sobie, że wszystkie pokojówki straciły dla niego głowę.

- Jedne mdleją, jak tylko wchodzi do pokoju, inne próbują go uwieść. Ja tak mianowicie uważam: Rawlins unika każdej urodziwej niewiasty, jaka stanie na jego drodze.

Sarę pokrzepiło to nieco na duchu.

- Co to twoim zdaniem za człowiek, Mario? - zapytała.
- Według mnie on nie jest szczęśliwy, jasnie panienko.
- Tak sądzisz? - Sara, zaskoczona opinią pokojówki, uniosła w górę brwi. - Myślałam, że on należy do tych, którym coraz to nowe przygody sprawiają przyjemność.

- Przypuszczam, wielmożna pani, że nic mu już nie sprawia przyjemności. Zamknął się jak ślimak w skorupie - powiedziała Maria, gdy szły już w kierunku domu. - Nie stara się nawet z nami porozmawiać czy pożartować i cały swój wolny czas, o ile wiem, spędza we własnym pokoju na czytaniu książek.

- A czemu przypisujesz fakt, że jest taki nieszczęśliwy i samotny? - dopytywała się Charlotte.

- Pan Rawlins nie lubi ludzi, którym służy - odparła pokojówka.
- Dobrze go rozumiem - rzekła Sara, obracając nerwowo parasolką. A więc nie myliła się. Był wobec niej krytycznie nastawiony. - Zaprawdę nie jesteśmy godni podziwu ani sympatii.
- Hola, hola, jesteś zagniewana, bo lord Pontifax i pan Davis narzucają ci się przy każdej okazji - powiedziała z uśmiechem Charlotte.
- Nigdy jeszcze nie darzono mnie takimi względami. - Sara westchnęła ciężko. - Nie lubię tego. Jestem stworzona do zwykłego, spokojnego życia i takie zjzdy mi nie odpowiadają.
- Lato nie trwa wiecznie, moja droga - rzekła Charlotte, obejmując kibić przyjaciółki.
- Och, nie mów tak! Chciałabym, żeby trwało wiecznie, bo jesienią czeka mnie małżeństwo.
- Nie wiem, co z dwojga złego jest gorsze - zaczęła Charlotte - wysłuchiwanie utyskiwań rodziców, czy też zamieszkanie w mężowskim domu, gdzie będziesz postępowała wedle swojej woli.
- Och, Charlotte, ja naprawdę cierpię, a twój chłodny osąd rani mnie do głębi! - westchnęła Sara, gdy Maria otwierała przed nimi drzwi.
- Ależ, moja droga, spróbuj na swoją sytuację spojrzeć w odmienny sposób.
- Czy przed własnym zameściem też przejawiałaś taki rozsądek i mądrość życiową?
- Naturalnie - odparła Charlotte ze śmiechem. - Tylko że ty do tej pory nie musiałaś się nimi kierować.

- Do kroścset! - wykrzyknął starszy pan Braithwaite w pełnym gości salonie. - Mój lokaj zapomniał napełnić mi tabakierki! - Wsunął z powrotem do kieszeni złote cacko.

- Pozwolę sobie poczęstować pana tabaką - rzekł usłużnie lord Danvers - sporządzoną według mojej własnej receptury, a tuszę, że mam się czym chlubić.

Pan Braithwaite zażył szczyptę ze lśniącego złotem pudełeczka. Kiwnął głową z aprobatą.

- Wspaniała, Danvers, moje gratulacje.

Lord Davis skłonił się nisko.

- Jest pan niezwykle uprzejmy, sir. Jeśli pan sobie życzy, prześlę panu przez lokaja odpowiednią porcję.

- Nie chciałbym uszczuplać pańskich zasobów.

- Nonsens! Zawsze wożę ze sobą parę słoików różnej tabaki. Lady Danvers pokpiwa sobie ze mnie z tego powodu. Starcza mi na rok i jeszcze mogę podzielić się z przyjaciółmi.

Pan Braithwaite wziął szklanekę porto z tacy, którą Jack podsunął mu usłużnie.

- Dziękuję, Danvers, chętnie skorzystam. Osobiście lubię Hardmana trzydzieści siedem. A ta smakuje podobnie.

Jack prześliznął się w tłumie, zły, że w nawale obowiązków nie może znaleźć czasu na przeszukanie pokoju Templetona. Jako kamerdyner musiał nieustannie nadzorować pracę służby w tłoku i gwarze rozmów skupionych w salonie ludzi, co czynił z kamienną twarzą, choć często pragnął ryknąć na nich z góry i błagać, by ktoś, obojętnie kto, wypowiedział jakieś mądre, świadczące o inteligencji zdanie.

- Czy wiesz, Saro - chichotała panna Fanny Neville - że księżna Walii, siedząc w swoich apartamentach przed kominkiem, rzeźbi w wosku model jego królewskiej wysokości? Potem nakłuwa go szpilkami, póki wosk nie roztopi się pod wpływem buchającego z kominka żaru?

- Mąż księżnej Caroline nie jest dla niej dobry - odparła Sara.

- Ależ skąd, nie, to nie on jest w tym małżeństwie ofiarą- zaprzeczyła gwałtownie panna Neville. - Księżna ma przynajmniej tyle rozsądku, by nosić gorset, niewiele to jednak daje, bo całe swoje tłuste ciało przyodziewa w te krzykliwe stroje! I przy tym te ilości różu! Moja droga, biłyby od niej blask, gdyby wszystkie świece w salonie wygaszono.

Roześmiała się z własnego dowcipu, a kiedy wezwana przez rodziców Sara przeprosiła ją - oddaliła się, by uradować innych gości ucieszoną historyjką.

Jack, pełniąc swe obowiązki, obserwował ukradkiem Sarę. Kontrast między dziewczyną z ogrodu różanego a skromną młodą kobietą był przeogromny. Co mogło być przyczyną tak wielkiej zmiany?

- No, jesteś nareszcie, Saro - powiedziała na jej widok księżna Somerton. - Mówiłam właśnie lordowi Lyletonowi, jaki masz talent do gry na fortepianie.

Rumieniec okraślił policzki Sary.

- Lord Lyleton, o ile wiem, jest człowiekiem mądrym, podejrzliwie zatem odnosi się do pochwał córki wygłaszanych przez jej rodziców. Umie po prostu grać, to wszystko.

- Dowiedziałem się ponadto od księżnej, że pani również śpiewa - rzekł wicehrabia bez entuzjazmu.

- Tylko dla własnej przyjemności. Nie widzę powodu, by zmuszać innych do słuchania.

- Musi tu się odbyć wieczór muzyczny - oznajmiła księżna, mierząc córkę surowym spojrzeniem.
- Świetny pomysł - orzekł Fitz z miną nieszczęśnika. Nie cierpiął wieczorów muzycznych. - Tylko jak się taki wieczór organizuje?
- Służę pomocą.
- Cała trójka odwróciła się - obok stała Charlotte.
- Zawsze szukam okazji, by zaprezentować światu moje talenty organizacyjne - dodała.
- Rzecz jasna, Sara pomoże pani ułożyć plan wieczoru - rzekła księżna, hamując gniew. Chciała bowiem, by Sarze przypadły zasługi w tej kwestii, co umocniłoby jej pozycję.
- Oczywiście - mruknęła Sara, unikając wzroku przyjaciółki, by nie wybuchnąć śmiechem.
- Zawsze byłam zdania - powiedział lord Danvers do pana Braithwaite'a - że mieszkanki tureckie są zbyt mocne.
- Księżna Caroline - mówiła parę stóp dalej panna Neville do Susan Formantle - tak błyszczą od różu, że mogłaby oświetlić całą Drury Lane.

Zajęci tylko sobą, śmiejący się z byle czego głupcy, myślał nazajutrz rano Jack, dokonując codziennego przeglądu wspaniałego ogrodu.

Potrząsnął głową w zadziwieniu. Przeszło dwadzieścia osób pochłoniętych czezą paplaniną i plotkami. Ci ludzie utwierdzili go tylko w jak najgorszej o nich opinii, którą powziął podczas wieloletniego z nimi kontaktu.

Jack, dzięki wstawiennictwu Fitz'a Hornsby'ego, wstąpił do wojska w stopniu porucznika. Szybko się przekonał, że służący w armii arystokracji nie są bynajmniej ludźmi honoru. Wręcz przeciwnie, odznaczeni się głupotą i okrucieństwem, a zwykłych żołnierzy traktowali jak niewolników. Wellington, który przejął dowództwo nad częścią sił zbrojnych Półwyspu, ostro się wyrażał o tych oficerach: „szumowiny”, „notoryczni pijacy”.

Jack już po roku chciał wystąpić z armii, uznał jednak, że nie godzi się opuszczać swoich żołnierzy. Był bodaj jedynym oficerem, któremu zależało na ich życiu. Minęły dwa lata. Cztery. Pięć. A potem było San Miguel. Na samo wspomnienie poczuł dławiący ucisk w gardle. San Miguel. Czy już do końca życia będą go nękać koszmary z tamtych dni?

Wbrew wszelkim jego argumentom wydano mu rozkaz zaatakowania Francuzów. Przeszło połowa jego żołnierzy zginęła, nim miasto - zniszczone ogniem artylerii - zostało zdobyte. Za zwycięstwo, okupione

krwią tyłu ludzi, otrzymał tytuł szlachecki i dożywotnią rentę w wysokości ponad tysiąca pięciuset funtów rocznie. Tego samego roku wystąpił z armii.

Wrócił do Anglii i zaczął szukać spokojnego dla siebie miejsca, gdzie mógłby schronić się przed gwałtem i głupotą. W Devonshire znalazł skromną farmę, którą pokochał od razu i nabył jeszcze tego dnia.

Jakże teraz pragnąłby się tam znaleźć zamiast dreptać wśród obcych ludzi i wysłuchiwać ich bezdennie głupiej gadaniny, której nie mógł wprost znieść. Nawet Sara Thorndike... Dlaczegoż to ona przyszła mu do głowy? Świetnie grała rolę skromnej, dobrze ułożonej młodej damy.

Grała rolę? Przywołał w pamięci dwie osoby z dnia wczorajszego: pierwsza - szczerą, pełną zadumy, ale też rozbawioną i żartująca z lady Doherty, i druga - zamknięta w sobie, powolna zaleceniom rodziców. Wstrzymał oddech. Ona grała rolę! Ilekroć widział ją w towarzystwie rodziców, sprawiała wrażenie, jakby chciała zapaść się pod ziemię. Natomiast z lady Charlotte.

Cóż to ma za znaczenie? Zachmurzył się. Owszem, Sara Thorndike jest dowcipna, bystra, sympatyczna i tak samo jak Fitz wrogo nastawiona do planowanego małżeństwa. Ale czemu, do licha, zaprzętał sobie głowę córką księcia? On też jest synem księcia, jednak przebieg ich życia bardziej różnić się nie może. Ona nie zaznała poniżenia, jakiego on zaznał. Nie wiedziała, co to ból, niedostatek, nie oglądała okropności wojny.

Ludzie z jej sfery - z wyjątkiem Fitz'a - nic go nigdy nie obchodzili i nigdy nie miał z nimi nic wspólnego. I nie będzie zmieniać teraz owego *status quo*. Powrócił myślą do swojej posiadłości - rześkie, czyste powietrze, wokół lasy, gdzie lubił spacerować, śpiew ptaków o poranku. Niebieskie niebo, drzewa, ptaki - to właśnie było dlań ważne, w przeciwieństwie do upodobań Sary i całej tej nadętej zgrai nierobów. Piękno przyrody sprawiło, że po pewnym czasie wrócił do siebie, odzyskał pogodę ducha. W swojej naiwności dziwił się kiedyś tym tępakom myślącym tylko o fortunie i modzie. Przestał się dziwić. Nic go już nie obchodzili, i nie dopuści teraz do tego, by samym swoim istnieniem psuli mu nastrój/Byłby skończonym głupcem, gdyby pozwolił sobie na gniew.

Zwrócił jego uwagę głośny tętent koni - obejrzał się i zobaczył Sarę w zielonym stroju amazonki, galopującą przez łąkę, jakby ścięły ją wszystkie ogary piekielne. Wspięła się na porośniętą trawą wzgórze, lekko, sprawnie, i każdy bystry obserwator musiałyby uznać jej jeździecki kunszt. Za wzgórzem zniknęła mu z oczu, i właśnie wówczas dostrzegł stajennego, podążał za nią na gniadym wałachu, ale najwyraźniej nie zamierzał jej dogonić.

Interesujący widok.

Jack nie oglądał dotąd na koniu żadnej damy należącej do śmietanki towarzyskiej, i to o tak wczesnej porze. Całkiem możliwe, myślał, że Sara Thorndike w ogóle nie spała tej nocy, a wiedział z własnego doświadczenia, że w tym środowisku zdarzały się takie wypadki.

Westchnął i oparł się o pień buka. Musi przestać o niej myśleć. Przed jego oczami roztaczał się piękny widok. Poniżej zalesionego zbocza ciągnęły się pasma wschodnich paradnych ogrodów, łącznie z tym o kunsztownie przystrzyżonych krzewach. Od frontu z wyłożonego kamieniem dziedzińca wiodła droga w dół, ku trzem tarasom - na każdym stała wielka fontanna. Tarasy łączyły się z szeroką aleją, za której zakretem widać było główne wejście do budynku. Po wschodniej jego stronie rozciągały się trawniki, a dalej sady i bujne pastwiska. Po stronie północnej, w pobliżu domu, cieszyły oko zachodnie ogrody paradne oraz imitacja greckich ruin. Za nimi, aż po kres horyzontu, tysiące akrów żyznych pól i pastwisk. Jack obejrzał się - po tej stronie ciągnęły się lasy, najrodzajniejsze w kraju, i błyszczało duże, pięknie utrzymane jezioro, które ożywało teraz pod promieniami wschodzącego słońca.

- Dostałam wczoraj list od Arabelli, Henry.

Jack odwrócił się zdziwiony i zobaczył niecałe dwadzieścia jardów od siebie jadących ramię w ramię Sarę i jej stajennego- wracali już w stronę stajen. Schował się za drzewo. Nie miał ochoty na rozmowę.

- Jak ja bym chciała być do niej podobna - ciągnęła Sara z nutą rozmarzenia w głosie. - Może rodzice tak by mną nie pomiatali, gdybym miała jej słodki charakter i zgrabniejszą sylwetkę.

- Jaśnie panienko - rzekł Henry z uśmiechem. - Ma panienka stokroć lepsze serce niż lady Arabella, a inteligencją znacznie ją panienka przewyższa, co liczy się bardziej niż sylwetka.

Sara spojrzała na niego z sympatią.

- Drogi Henry, zawsze bierzesz moją stronę. A co do Arabelli, to same dobre wieści. Każda strofa jej listu tchnie bezmiernym szczęściem. Aż przyjemnie czytać.

- Mam nadzieję, że już wydobrzała? - zapytał Henry.

- Znaczna poprawa. Poranne niedomogi już ustąpiły, ale bardzo ją wyczerpały.

- Szukoda, że nie odziedziczyła po matce tak silnego organizmu. Przypuszczam, że księżna dopiero w połogu dowiedziała się, że była brzemienna.

Sara roześmiała się.

- Żelazna wola i żelazny organizm. Chciałabym mieć to po niej.

- Chwileczkę, chwileczkę - powiedział Henry. - Brak panience wiary w siebie. Potrafi się panienka zdobyć na wiele, jeśli tylko panienka chce.

- Pochlebiasz mi, Henry. Jestem tak bojaźliwa, aż napawa mnie to obrzydzeniem do samej siebie. Gdybyś zobaczył mnie wczoraj wieczór, jak usiłowałam pomóc mojej pokojówce, którą dopadł ból zębów, i ciągle się bałam, że rodzice mnie śledzą. Przez całe życie robiłam wszystko, by uniknąć ich upomnień i wyrzutów, że fraternizuję się z ludźmi niższego stanu. Nie mam dość odwagi, by bronić mego przekonania, że wszyscy ludzie są sobie równi. Jestem szarą myszką, Henry.

- Pewnego dnia myszka przemieni się w lwa. Wspomni panienka moje słowa.

Oddalali się i słowa ich nie docierały już do uszu Jacka.

Jeszcze mocniej przywarł do pnia drzewa, marszcząc ze zdziwieniem brwi. To doprawdy niesłychane: córka księcia rozmawia ze stajennym jak z równym sobie.

4

Do diaska! - wyszczał Fitzwilliam Hornsby. - Dlaczego do tej pory nie wykradłeś listu tej dziewczyny? Szaleństwo mnie ogarnia, gdy dzień w dzień siedzę przy stole obok Templetona, a on mruga porozumiewawczo i obdarza mnie uśmiechem, rojąc sobie o moich pieniądzach.

Jack odsunął Fitzę na bok, by państwo Danversowie mogli wejść do pokoju śniadaniowego.

- To nie takie proste, jak myślałem - odparł przyciszonym głosem. - Nie sądziłem, że obowiązki kamerdynera tak mi wypełnią czas. A jeszcze ten jego przeklęty służący - wciąż tkwi w pokoju swego pana. Niewielkie mam szanse odszukać ten list.

- Co zatem mamy robić?

- Zażądaj od Templetona, by dziś wieczór dostarczył ci list Aldory. Jeśli nie - wyrzuć go z domu. Jeżeli się zgodzi, to znajdę sposób, by odechciało mu się zapłaty.

- Jesteś pewien, że ci się uda? - zapytał z niepokojem Fitz.

- A czy kiedykolwiek cię zawiodłem?

Fitz odetchnął z ulgą.

- Więc nie będę już dłużej zaprzętał sobie tym głowę.

Jack chciał coś jeszcze dodać, ale ujrzał zbliżającą się do pokoju śniadaniowego wdowę Formantle.

- Mam nadzieję, że wielmożna pani dobrze spała - powiedział.

- Jak można dobrze spać, gdy bez końca skrzeczą za oknem panie? - odparowała basem. - Usuń je sprzed mojej sypialni, Rawlins, albo wezmę dubeltówkę i wszystkie je powystrzelam.

- Oczywiście, wielmożna pani - mruknął Jack.

Fitz odprowadził wdowę wzrokiem.

- Aż dziw, że nie uciekłeś dotąd do swego Devonshire.

- Nieraz miałem taką pokusę - przyznał Jack z uśmiechem.

- Ciekawe, dlaczego znosisz mnie od tyłu lat.

- Nie wiesz?

- Szukam motywu.

Ciepły uśmiech okraślił twarz Jacka.

- Nie potrafisz siebie docenić, młody panie Hornsby. Jesteś najlepszym przyjacielem, jakiego można by sobie wymarzyć. Obdarzasz serdecznością moją skromną osobę, a twoja radość życia mnie się udziela i sprawia, że twarde serce mięknie mi w piersi. Nie spotkałem jeszcze człowieka tak lojalnego jak ty, a twoje absurdalne problemy utwierdzają mnie w przekonaniu, że nie można podchodzić do życia zbyt poważnie.

Fitz zastanawiał się chwilę nad słowami przyjaciela.

- Nie wiem, czy to ostatnie zdanie pochlebia mi czy uwłacza.

- Lyleton! - ryknęła z końca pokoju wdowa Formantle. - Skończ z tym gadaniem i chodź tutaj. Wszyscy na ciebie czekają!

Fitz spojrział na Jacka z desperacją.

- Pomyśl o niej jako o jednym z absurdalnych problemów - poradził Jack.

Z tłumionym jękiem Fitz wszedł do pokoju śniadaniowego.

Przez cały ranek Sara obserwowała ukradkiem Rawlinsa, najpierw w pokoju śniadaniowym, a później w porannym salonie. Jakże mogła do tej pory nie dostrzegać w nim człowieka! Maria miała rację, stwierdziła w duchu, on istotnie był nieszczęśliwy, ogromnie nieszczęśliwy. Wyczuwała to nieomylnie, bo przecież ona sama od przeszło roku cierpiała podobnie. Ona także musiała udawać kogoś, kim nie była, i skrywać przed światem swoje prawdziwe myśli i uczucia. Nie wątpiła, że ci głupcy z jej sfery grają mu na nerwach, bo coraz bardziej grali na nerwach i jej.

Nic dziwnego, że był wobec niej tak samo oschły jak wobec innych, i tak samo powściągliwy, skoro nic go do niej nie ciągnęło, a wszystko

odpychało. Nie powinna zatem zniechęcać się jego chłodem, tylko uczynić wszystko, by przemoc ów chłód. Zawsze jej się to udawało - ze służbą czy ze znajomymi. Jedynie wobec Rawlinsa nie umiała zdobyć się na serdeczność.

Spłonęła rumieńcem, gdyż domyślała się dlaczego. Bała się, że wyniosły kamerdyner pogardza nią, cierpiała na tym jej duma. Skarciła się w duchu za własną próżność i zarozumiałstwo. Tak, teraz już rozumiała, to urażona duma kazała jej traktować Rawlinsa z dystansem.

Ale dłużej tak być nie może. Popełniła błąd i musi go naprawić. Przede wszystkim, postanowiła sobie, przy pierwszej nadarżającej się sposobności okaże mu swoją życzliwość. Bardzo lubiła mu się przyglądać. Tak, był przystojny, ale przecież znała wielu przystojnych mężczyzn i nie wodziła za nimi wzrokiem. Czemu więc właśnie on wzbudził w niej zainteresowanie? Czyżby dlatego, że wydawał się nieszczęśliwy i taki... tajemniczy? Czy może dlatego, że wyczuwała w nim prawdziwą siłę i męskość, których ani jego pozycja, ani praca, jaką wykonywał, nie zdołały przytłumić?

Znowu zaczerwieniła się, co zdziwiło ją niepomiernie, bo żaden dotąd mężczyzna nie przyprowadził jej o rumieniec.

A może nie spotkała dotąd mężczyzny, za którego przyczyną dokonałaby uczciwego rozrachunku z sobą samą?

Sara poświęcała sporo czasu na studiowanie ludzkich charakterów. Poznawanie dziwactw i przesądów innych dawało jej coś w rodzaju satysfakcji; rzadko jednak zgłębiała własną naturę. Starła się zachowywać tak, jak tego oczekiwano od panny z jej sfery, i choć postępowała niejako wbrew sobie, nie zastanawiała się nad tym wiele. Teraz musiała przyznać, że Rawlins nie był jedynym noszącym maskę człowiekiem. Podczas gdy on przywdziewał ją, by ukryć się przed innymi, jej maska chroniła ją przed nią samą.

Taka była prawda, bolesna prawda.

Pograżona w rozważaniach, nie zwracała uwagi ani na Lyletona, ani na resztę towarzystwa, i jak mogła najszybciej wymknęła się z pokoju. Udała się do biblioteki i z książką w ręku rozsiadła się wygodnie na czerwonym skórzanym fotelu. Oszklone drzwi otwarte były na oścież, dzięki czemu lekki podmuch dawał wytchnienie od upału. Biblioteka stanowiła jej sanktuarium, zwykle panował tu błogi spokój, ale nie dziś, niestety. Na zewnątrz większość gości grała na trawniku w krykieta. Tuż za drzwiami stał Rawlins wraz z lokajem. Widziała ich i słyszała, co mówią.

- Earnshaw - zwrócił się Rawlins do lokaja. - Pan Charles Braitwithe narzeka na ból ucha i żadne środki nie pomagają. Skocz do apteki w wiosce i niech przygotują tę oto miksturę. - Wręczył lokajowi kartkę.

- Tak, panie Rawlins.
- Hej, służba! - wrzasnął sir Marcus Templeton ze środka trawnika. Rawlins nie okazał po sobie emocji. Earnshaw pospieszył do wioski, on zaś z całym spokojem podszedł do Templetona.

- Słucham, sir Marcus?

- Nie jestem dla ciebie „sir Marcus”, ty łapserdaku. Prażymy się w słońcu, a ty nawet palcem nie kiwniesz!

Rawlins patrzył mu zimno w oczy, wytrzymując jego wzrok.

- Proszę mi wybaczyć, sir Marcus. Byłem zajęty. Życzy pan sobie parasole? A może markizę?

- Nie, ty beczelny prostaku! Chcemy madery, prawda, panowie?

Czterej dżentelmeni mruknęli coś, co miało być potwierdzeniem, i wzruszywszy nieznacznie ramionami, odwrócili się od sir Marcusa.

- No i po co tu jeszcze stoisz? - wyrzekł Templeton. - Idź szybko po maderę.

Ciemny rumieniec pokrył twarz Rawlinsa, ale nie z racji upału, tylko, zdaniem Sary, z powodu wściekłości, jaka nim owładnęła. Sara z rozkoszą wymierzyłaby Templetonowi policzek. Kamerdyner jednak umiał panować nad sobą.

- Tak jest, sir - odparł Rawlins. Odwrócił się, przemierzył krótki odcinek trawnika i wszedł do biblioteki.

Tym razem zaczerwieniła się Sara. Nie sądziła, że Jack obierze tę krótszą drogę. Musiała coś rzec, żeby wiedział, iż nie jest sam w pokoju.

- Nie wszyscy jesteśmy tak odrażający - zauważyła, nie unosząc głowy znad książki. Chciała zsunąć nogi z bocznego oparcia fotela, ale pomyślała sobie, że nie powinna krępować się kamerdynera, nawet tak przystojnego.

Nastąpiła chwila niezręcznej ciszy.

- Słucham? - zapytał.

Sara przewróciła stronicę.

- Zareczam ci, Rawlins - powiedziała - że wielu spośród nas to ludzie nic nie warci, inni mają paskudny charakter, jeszcze inni są całkiem przeciętni, kilku jest wykolejeńców, lecz tacy obrzydliwcy jak Marcus Templeton to naprawdę znikoma mniejszość, uwierz mi.

- Nie bardzo panią rozumiem, lady Saro.

Uśmiechnęła się ze wzrokiem utkwionym w książce i westchnęła smętnie.

- Szekspir miał rację: „Mężczyźni zawsze oszukują”. - Spojrzała na niego spod oka i dostrzegła rumieniec na jego policzkach. Co za przyjemność, pomyślała, wprawić choć raz w zakłopotanie tego wyniosłego

kamerdynera. Od razu poczuła się raźniej i odłożyła książkę. - Służyć ludziom, których się nie lubi, to bardzo niewdzięczne zajęcie. Jak mnie mam, Lyleton jest sympatyczniejszym chlebodawcą, ale obraca się w kręgach osób tak irytujących... Ten letni sezon kosztuje cię zapewne sporo nerwów.

Rawlins spoglądał na nią bez wyrazu. Po chwili odwrócił się do kredensu i zaczął ustawiać kieliszki na srebrnej tacy.

- Każde zajęcie ma także... nieprzyjemne strony, lady Saro.
- Niektóre mają ich sporo.

Patrzyła przez moment na jego szerokie bary. Był wyraźnie w złym humorze, na pewno z powodu Templetona. Nic dziwnego.

- Dlaczego wybrałeś ten zawód, skoro tak nie lubisz arystokracji?
- Nie powiedziałem... - zaczął.
- Nie zawsze potrzebne są słowa - przerwała mu. - Nie lubisz nas.

Ja wiem, dlaczego nas nie lubię. A jaki ty masz powód?

Obrócił się ku niej. Przymrużył oczy, jakby był zdziwiony, lecz nie jej pytaniem, nią samą.

- Wiem z własnego doświadczenia, lady Saro, że wy każdego spoza waszej sfery uważacie za gorszego człowieka. Nie podzielam pani opinii, moim zdaniem takich Templetonów jest w waszym świecie mnóstwo i przybierają różną postać. Właściciele ziemscy, którzy nie zważają na nędzę i tragedię ludzi i zagarniają coraz większe obszary Anglii, żądając przy tym niebotycznych tenut od swoich dzierżawców. Właściciele fabryk, którzy robotników traktują gorzej niż Rzymianie swoich niewolników - mówią z coraz większą zaciekłością. - W armii Wellingtona służą oficerowie arystokraci znani z tego, że swoich żołnierzy mają za nic, ot po prostu mięso armatnie. Bez wahania posyłają ich na pewną śmierć, by zdobyć kolejne wzgórze lub wioskę. Na liście rannych lub zabitych, drukowanej w gazetach, nie dostrzeże pani nazwiska zwykłego strzelca. Prości żołnierze nie są godni wzmianki. Czy te powody pani wystarczą, lady Saro?

O Boże, jak może człowiek żyć z taką goryczą w sercu?

- Wyłożyłeś je, Rawlins, jasno i zwięźle - odparła ze spokojem. - Twojego rozumowania niczym nie da się podważyć. Lecz ponawiam moje pierwsze pytanie: dlaczego służysz tym, którymi tak gardzisz?

- To tradycja rodzinna, lady - odparł po chwili. Odwrócił się od kredensu i z niewzruszonym spokojem zaczął nalewać maderę do kieliszków.

- Czy twój ojciec był kamerdynerem? - zapytała Sara z zaciekawieniem, prostując się w fotelu.

Lekkiego wahania Jacka nikt oprócz niej by nie zauważył.

- Nie, lady Saro, ale mój dziad, wujowie i kuzyni, wszyscy oni służyli w arystokratycznych domach - odrzekł, nie przerywając swoich czynności.

- Nie dziwię się więc, że z takim rodowodem potrafisz znosić grubiąskie zachowanie Marcusa Templetona. Wyobrażam sobie, z jaką przyjemnością byś go Spoliczkował. Śmiem twierdzić, że wielu spośród gości, nie bacząc na dobre maniere, pochwaliłoby twój czyn. On nie cieszy się tu sympatią.

- Ale to człowiek wyżej ode mnie postawiony.

- Tylko z racji urodzenia, Rawlins.

- Wiem z własnego doświadczenia, lady Saro, że owa „racja urodzenia” dominuje w waszym świecie.

- Tak, i śmiem twierdzić, że każdy mężczyzna, któremu udarem-niono by ucieczkę z córką lorda Wittlestona'a, podzieliłby ten pogląd.

Rawlins obrócił się gwałtownie.

- Mnie to nie dotyczy.

- Oczywiście, nie. Żaden kamerdyner nie zapomniaby się do tego stopnia.

W jego szarych oczach zdziwienie ustąpiło miejsca błyskowi uznania.

- W naszym społeczeństwie panują surowe zasady - rzekł.

- To prawda. Powiedziałabym, że ty jesteś tego najlepszym przykładem. Wszyscy ci głupi eseści i pamfleściści, którzy rozpisyją się o elastyczności angielskiego społeczeństwa i jak to świat nam zazdrości, że u nas każdy może osiągnąć najwyższą pozycję, budzą we mnie gniew. Pan William Wilberforce, przy wszystkich jego dokonaniach i zasługach dla kraju, wie najlepiej, jakie spotykały go przykrości i afronty ze strony tych, którzy właśnie z racji urodzenia uważali się za lepszych od niego. Elastyczność, o Boże!

Coś w rodzaju uśmiechu pojawiło się na twarzy Rawlinsa.

- Czyżby wyznawała pani potajemnie protestantyzm?

- Nie. Matka zakułaby mnie w kajdany. Ale w duchu jestem pełna uznania dla dokonań pana Wilberforce'a, a także cieszy mnie to, iż jesteś na tyle rozsądny, by nie porywać córki lorda Wittlestona'a, nie dlatego, że bronię ci awansu w wielkim świecie, bo ci nie bronię, ale dlatego, że to kokietka, nie zaznałbyś z nią szczęścia. Według mojej opinii tacy jak ty rozgoryczeni ludzie powinni uciec do Ameryki, gdzie w każdej popularnej gazecie wychwała się indywidualizm, a w życiu docenia rolę zwykłego człowieka. Kiedyś wprawdzie zdarzyło mi się poznać

pewnego Amerykanina - rodzice o tym, rzecz jasna, nie wiedzą - który zapewniał mnie, że Amerykanie są większymi snobami niż Brytyjczycy. Rządzą tam ponoć stare dobre rodziny mające stare dobre pieniądze. Do pełni szczęścia brakuje im jakoby tylko tytułów.

Rawlins wpatrywał się w nią ze zdumieniem.

- Córki książęce nie bawią się zazwyczaj w filozofię i obce im są tego rodzaju poglądy - rzekł.

Wstając z fotela, Sara spojrzała nań z drwiącym uśmiechem.

- To właśnie powtarzają mi zawsze moi rodzice. Proszę cię, oszczędź mi tych cytatów, machnij ręką na grubiaństwo Templetona i nalewaj spokojnie to wino - ja wychodzę i nie będę cię już nagabywać.

Czuła, że odprowadza ją wzrokiem; rada była, że może choć w niewielkim stopniu udało jej się - po okropnym zachowaniu Templetona - osłabić wrogość Rawlinsa do wyższych sfer.

I w jednej chwili dobry nastrój prysł, albowiem z pokoju muzycznego naprzeciwko biblioteki wyszła księżna Somerton.

- Saro! - warknęła. - Gdzie byłeś?

- Czytałam w bibliotece, matko.

- Czytałaś?! A przecież kazałam ci być zawsze u boku Lyletona! Cóż za nieposłuszne i uparte dziecko! Sprawia ci widocznie przyjemność, że drwisz sobie ze mnie na każdym kroku!

- Wcale sobie nie drwię, matko - odrzekła Sara ze spokojem. - Lyleton wraz z innymi panami pojechał na wieś. Nie wypadałoby mi chyba do nich dołączać.

- I traciłaś czas na czytanie, podczas gdy tyłu jest ludzi dokoła, którym mogłabyś dotrzymywać towarzystwa. Co oni sobie o tobie pomyśla, skoro tak demonstracyjnie od nich stronisz?

- Oni wszyscy świetnie się bawią, matko, nawet nie spostrzegli mojej nieobecności.

Złość zabarwiła purpurą policzki księżnej.

- Nonsens! Jesteś córką Somertona. Oczy wszystkich zwrócone są na ciebie. Ile razy muszę ci wbijać do głowy, jak ważną zajmujemy pozycję? Jak często muszę ci przypominać, że nie wolno ci narażać na szwank tej pozycji?

Sara spojrzała na księżnę.

- Czyżby Alexander Pope, którego czytałam, zagrażał mojej pozycji społecznej?

Księżna z całych sił uderzyła ją w twarz.

- Nie zapominaj, do kogo mówisz!

- Nie zapominam, matko.

- Przepraszam, wielmożna pani.

Sara odwróciła się szybko: w drzwiach biblioteki stał Rawlins z tacą z kieliszkami, usta jego wykrzywiały ledwo zauważalny gorzki uśmiech.

- Panowie prosili o maderę, wasza wysokość - poinformował oschle księżnę.

Sara cofnęła się, a on przeszedł obok, wysoki, pełen wdzięku, sprawnie balansujący tacą. Dlaczego nie wyszedł oszklonymi drzwiami? - zastanawiała się w duchu.

Księżna wyrwała książkę z rąk Sary.

- Masz natychmiast dołączyć do reszty towarzystwa i być miła i uprzejma, tak jak ja sobie tego życzę.

- Oczywiście, matko - rzekła Sara. Policzek ją palił; zastanawiała się, czy nie nosi śladu dłoni matki. Nie przypominała sobie, by księżna Spoliczkowała kiedyś Frances czy Geralda, czy Arabellę. Ale oni zawsze byli posłuszni jej woli i nie przejawiali uporów. Ona zaś niestety miała inny charakter i w miarę upływu czasu przywykła do kar cielesnych. I nauczyła się nie ronić przy tym ani jednej łzy. Tyle że serce w niej zamierało.

Wyszła zatem na dwór i grającemu w krykieta towarzystwu demonstrowała miły uśmiech na twarzy, nawet wtedy, gdy śledziła wzrokiem Rawlinsa, który z kamiennym spokojem serwował im wino, jakiego się domagali.

Sir Marcus Templeton sięgnął po kieliszek tak gwałtownie, że kilka kropeł prysnęło mu na rękę.

- Długo to trwało - powiedział. - Gdzieś ty był? W Hiszpanii?

- Przepraszam za zwłokę, sir - odparł Rawlins. Gdy tamten się odwrócił, wzruszył ramionami i podszedł z tacą do starszego lorda Throwbrighta. Sara, choć wolałaby towarzystwo kamerdynera niż wielmożów, sięgnęła po młotek i piłkę i dołączyła do grających; ograła ich na sporą sumę - stawka była wysoka - gdyż świetnie sobie radziła i nie zamierzała dawać im forów. Wydała z siebie triumfalny okrzyk, gdy jej piłka trafiła w ostatnią bramkę, i rozpoczęła grę z sześcioma pozostałymi osobami.

- Od każdego po gwinei, o ile się nie mylę - powiedziała.

Przegraną z kretesem państwo Danversowie udawali zachwyty; Freddy Braithwaite oznajmił wszem wobec, że nigdy w życiu nie widział, by ktoś tak sprawnie posługiwał się młotkiem; lord Phineas Doherty kręcił głową ze zdziwieniem, orzekł, że bezczelna z niej dziewczyna, i wręczył jej gwineę; Charlotte stwierdziła, że Sara nie liczy się z uczuciami tak delikatnej jak ona niewiasty - na co najmłodsza córka księcia Somertona

wybuchła śmiechem - a Corliss Braithwaite, wręczając jej monetę, wydeła wargi i oświadczyła, że nigdy nie podejrzewała Sary o taką krwiożerczość.

W kolejnej partii krykieta też nastąpiła przerwa. Wśród grających krążył Jack wraz z kilkoma lokajami, roznosząc szklanki z lemoniadą. Niestety, nie mógł przerwać pracy i obserwować lady Sary Thorndike, i podziwiać jej bez końca. Zdumiało go, że po tym, co wycierpiała od matki, tak szybko doszła do siebie.

- Powiadam ci, Marbles - rzekł lord Throwbright, przecierając ręką czoło - że ten Bonaparte będzie nas prześladował przez następnych czterdzieści lat, tak jak Pompejusz.

- Pompejusz? Masz na myśli Cromwella? - zapytał lord Marbles nieco skonfundowany. Zaliczał się w szkole do raczej miernych uczniów.

- Moim zdaniem - wtrącił Jack, podając im szklanki z lemoniadą - lord Throwbright myślał o cesarzu Rzymu Klaudiuszu, który w roku czterdziestym trzecim zawładnął Brytanią.

- Otóż to! - wykrzyknął lord Throwbright, wielce rozradowany. - Ożenił się z własną siostrzenicą. Wstrząsające! Lucindo! - zawołał do żony. Lady Throwbright, łacina kobieta, młodsza od niego o trzydzieści lat, obróciła się ku niemu z wyraźną niechęcią. - Piekielnie tu gorąco - powiedział. - Chodźmy do domu.

Dołączyli do nich inni, prawie połowa gości, bo też narzekali na upał i zmęczenie. Jack winien był za nimi podążyć, ale wysłał Earnshawa, gdyż Sara Thorndike, państwo Doherty i państwo Braithwaite postanowili zostać na dworze, by nacieszyć się świeżym powiewem letniej bryzy.

- Lady Saro!

Jack patrzył, jak Maria Jenkins, z parasolką w ręku, podchodzi do swojej pani.

- O Boże -jęknęła Sara.

- Z rozkazu księżnej - rzekła Maria, wręczając jej białą, satynową, zdobną frędzlami parasolkę.

- Czepek nie wystarczy? Nie za dużo tych osłon?

- Osłon nigdy nie jest za dużo, panienko.

- Co prawda to prawda - rzekła Sara z westchnieniem. - Ilością piegów nikt mnie nie prześcignie. I wciąż pojawiają się nowe. Jak tak dalej pójdzie, to moja twarz będzie jak mapa Wysp Kanaryjskich.

Jack zupełnie nie zauważył gestów lady Winster, przywoływała go z daleka.

W tym czasie Freddy Braithwaite wpatrywał się w Sarę z nieskrywanym zdumieniem.

- Na Boga, istotnie - stwierdził. - W życiu czegoś takiego nie widziałem!

Wszyscy się roześmiali, Sara zaś spoglądała złym okiem na młodego Braithwaite'a.

- Freddy - zaczęła. - Czy ty chciałbyś się ożenić?

- Oczywiście - odparł, speszony z lekka. - Mam zamiar. Dla powiększenia fortuny i w ogóle. Matka od lat namawia mnie do małżeństwa.

- No to proponuję, żebyś zapiął sobie...

Jack odwrócił się szybko, żeby ukryć śmiech.

- Słucham, Saro? - zapytał pan Braithwaite.

...usta na guzik, ty głuptasie - dokończyła Sara. - Bo rozdziawiasz je przy każdej okazji. Musisz uważać, kiedy uderzysz w konkury.

- Mówisz...

Położyła mu dłonie na ramionach.

- Freddy, nie zważaj na moje docinki, zawsze mówię głupstwa. A tak po prawdzie, to powinieneś unikać panien do mnie podobnych.

- Moja mama też jest tego zdania - powiedziała Corliss z wrednym uśmiechem. Była to piękna dziewczyna o włosach koloru dojrzałej pszenicy i bystrych piwnych oczach. Te przymioty wraz z pokaźnym posagiem przysporzyły jej popularności podczas pierwszego londyńskiego sezonu.

- Ależ, Saro, jesteś niezmiernie interesującą panną - oświadczył Freddy. - Gdybym miał choć połowę fortuny Lyletona, sam bym się ubiegał o twoje względy.

- Dziękuję nie, Freddy - powiedziała Sara ze śmiechem. - Tak byśmy się kłócili, że w dwa tygodnie po ślubie zamknięto by przed nami drzwi każdego szanującego się domu. - Przerwała, namyślając się chwilę. - Co zresztą nie byłoby takie złe. A co sądzisz o ślubie po porwaniu mojej osoby?

- Nie kpj sobie ze mnie, Saro - jęknął Freddy. - Jak wiesz, moja matka ma słabe serce, a twoi rodzice, gdybym cię porwał, posiekaliby mnie chyba na drobne kawałki.

- O, biada mi - rzekła Sara z ciężkim westchnieniem. - Tak oto tracę ostatnią sposobność ucieczki przed wicehrabią.

- Ale dlaczego chciałabyś uciec przed lordem Lyletonem? - zapytała Corliss.

Jack przypomniał sobie podsłuchaną w ogrodzie różanym rozmowę. „On jest taki... chłopięcy, a ja chcę wyjść za mężczyznę, nie chłopaka, którego bym wychowywała wraz z własnymi dziećmi”.

- Jeśli traktujesz Freddy'ego jako szansę ratunku, to musisz być zdesperowana - zażartowała Charlotte.

- Słucham? - zapytał z godnością dżentelmen, o którym mowa.

Charlotte obdarowała go szczerym uśmiechem.

- Do jakiego stopnia pogрузyłaś się w desperacji? - zapytał lord Doherty.

- Zaraz ci odpowiem. Rawlins! - przywołała Jacka. - Bądź tak dobry i dowiedz się, jakie okręty i kiedy odpływają z Bristolu do Ameryki. Tylko proszę cię o dyskrecję.

- Ma się rozumieć, lady Saro - odparł. W oczach obojga, gdy skrzyżowali spojrzenia, zapaliły się figlarne błyski. Sara Thorndike wzięła go sobie na muszkę, pomyślał. Dowcipnisia.

- Ona jest naprawdę zdesperowana - poinformował żonę lord Doherty.

Uwagę całego towarzystwa pochłonał jakiś ruch z lewej strony. Fitz wraz z czterema dżentelmenami, wszyscy w zakurzonych strojach do konnej jazdy, wychynęli zza rogu domu, ukazując się oczom obecnych.

- Nareszcie będzie jakaś rozrywka - oświadczył Fitz wesoło. - Udzieliłem zezwolenia grajkom cygańskim, by rozbili obóz na wschodniej łące.

Wiadomość ta zachwycała tylko niektórych, inni bowiem uznali, że ich klejnotom, sakiewkom, a nawet życiu zagrażać będzie poważne niebezpieczeństwo.

- Co cię, na litość boską, opętało?! - Godzinę później, w bibliotece, hrabia Lavesly zadał to pytanie swojemu synowi. - Nie dość, że zaprosiłeś tego Templetona, to jeszcze wprowadzasz Cyganów na teren naszej posiadłości. Kiszki się we mnie przewracają.

- Mam zadzwonić po leki na żołądek? - zapytał syn.

- Niech cię wszyscy diabli! Masz kazać im zabierać się stąd i niech nigdy tu nie wracają.

- Ale ja już powiedziałem, że mogą zostać.

- To nie do wiary! To uraga rozsądkowi i dobrym obyczajom! - oznajmiła hrabina Lavesly. - Co pomyśla sobie Somertonowie, jaką miarą ocenią twoje zachowanie i charakter?! Niech natychmiast się stąd wynoszą!

- Somertonowie? - zapytał Fitz z udanym zdziwieniem.

- O Boże! Nie! Cyganie!

- Nie mogę niestety ich wyrzucić - odparował Fitz ku przerażeniu rodziców. - Wiesz przecież, mam, że uczyniłbym wszystko, by cię zadowolić, ale dałem im słowo, że przez miesiąc mogą tu zostać, a Lyletonowie łamać słowa nie zwykli.

Tylko parę razy w życiu zdarzyło się Fitzwilliamowi sprzeciwić woli rodziców. Ów czyn tak go samego zadziwił, że nawet gdy godzinę później wszyscy zasiedli do kolacji, z niejakim zadowoleniem spoglądał na sir Marcusa Templetona.

5

Uszu Jacka dobiegł odległy stukot podków. Rozejrzał się z wolna dokoła, sięgając wzrokiem w dal, zanim ujrzał lady Sarę Thorndike. Galopowała z ogromną, brawurową wręcz szybkością. Musiała wstać o świcie i przebyć znaczną odległość, jakby chciała uciec jak najdalej od Charlisle.

Z pewnością miała dość powodów, by nie lubić tego domostwa. Nie dość, że rodzice śledzili każdy jej krok, to jeszcze naprzykrzali się jej dwaj okropni wielbiciel - lord Pontifax i pan Davis. Pan Davis widział w niej swoją mużę, lord Pontifax - fortunę. No i oczywiście Fitz, który wcale jej nie chciał, lecz chyba pogodził się z losem wytyczonym przez rodziców.

Co z tego, że Sara tak samo nie chciała ślubu. Jack widział przecież, z jaką determinacją obie rodziny dążą do skojarzenia tych nieszczęśników. Nie było wyjścia z sytuacji.

Bardzo przykra historia. Fitz był dobrym człowiekiem i Jack z całej duszy życzył mu szczęścia. Sara miała szlachetne serce - Jack był już tego pewien - i zasługiwała na coś więcej niż przymusowe małżeństwo z niekochanym mężczyzną. Patrząc na tych dwoje, cierpiał podobnie jak kiedyś, w dzieciństwie, na widok królika i ptaka więzionych w klatce.

Sara na gniadym wierzchowcu znikła mu rychło z oczu w odległym lesie. Przypomniał sobie, jak spokojnie zniosła policzek wymierzony przez matkę. Inaczej wyobrażał sobie jej życie.

W pewnym sensie byli do siebie podobni, co przed tygodniem nie przyszłoby mu nawet na myśl. Była księżęcą córką, a jednak wiedziała, co to znaczy być wyrzutkiem. Rodzice, którzy winni stanowić jej oparcie, nie mieli dla niej czułości ani zrozumienia. Zaznała bólu i upokorzeń co niemiara. Nagle zdał sobie sprawę, że ta panna, tak niepodobna do innych z jej sfery, zupełnie wytrąciła go z równowagi, poczuł, jak gdyby ziemia zachwiała mu się pod nogami. Nie wiedział, czy ma być zły, czy zasmucony, że nie stanęła okoniem rodzicom, którzy chcieli planowanym

małżeństwem zrujnować życie obojga młodych. Nie wiedział także, czy jej żarty - przeważnie nasycone goryczą- powinny go bawić czy martwić.

Skrzywił się. Nie znosił stanu niepewności. Ów mars niezadowolenia przemienił się jednak niebawem, choć on sam prawie nie był tego świadom, w uśmiech radości. Doprawdy dziwna z niej istota, pomyślał.

Po tej zdumiewającej rozmowie w bibliotece próbowała wynagrodzić mu afronty i grubiaństwa ludzi, którym służył, kpiła z ich żalonych manier, wywołując niekiedy uśmiech na jego twarzy, choć nie zawsze mógł sobie na uśmiech pozwolić. Znał swoje miejsce i granice, których nie wolno mu przekroczyć. Tak czy owak Sara zajmowała jego myśli i rozświetlała serce. Podobnie jak Fitz ukazywała mu na własnym przykładzie absurdalność życia, on zaś w miarę możliwości okazywał jej swoją sympatię oraz zrozumienie. Zaprzagnął nagle zrobić dla niej coś więcej niż podanie szklanki brandy od czasu do czasu. Czuł się jej dłużnikiem, a to zobowiązuje.

Sara ukryła się w zaroślach, by podumać w samotności o swoim tygodniowym już pobycie w Charlisle. Niestety promień słońca padł na jej rude włosy i zdradził kryjówkę. Dopadł ją tam Beaumont Davis.

- Tu jesteś, moja Dafne, moja Psyche, moja Clio! - wołał z uniesieniem, biegnąc truchtem ku niej. - Napisałem dla pani nowy poemat.

- Jeszcze jeden? - zapytała Sara słabnącym głosem.

- Pani jest moją muzą, najdroższa lady Saro - powiedział żarliwie, chwytając ją za obie dłonie. Ona zaś równie żarliwie mu je wyrwała. - Słowa spływają na mnie tak szybko, że nie nadążam przelać ich na papier. Zrobiła pani ze mnie boga poezji! Proszę tu usiąść - rzekł, ciągnąc ją w stronę kamiennej ławki - i pozwolić mi złożyć pani hołd.

Przybrał najnowszą ze swoich poetyckich póż (którą przez cały ranek ćwiczył w lustrze), odrzucił dłonią z czoła pasmo włosów i zaczął recytować.

- *Rzecz o lordzie Howardzie* pióra Beaumonta Davisa - zapowiedział honorowy poeta posiadłości Charlisle. - Och, pani, bogini na Olimpie, słodka Muzo, sprowadzona na ziemię wołaj Homera.

Sara aż zgięła się pod tym brzemieniem. W ciągu jednego tygodnia przeżyła recytację dziewiętnastu poematów, a przyjdzie jej jeszcze wysłuchać co najmniej dwunastu. Im mniej pan Davis wykazywał talentu, tym więcej wierszy produkował. Wpadła w pułapkę - będzie musiała tkwić na tej ławce dobrą godzinę. Gdybyż nie miała tak dobrego serca!

Gdyby lekce sobie ważyła uczucia tego rozpoetyzowanego chłopaka. Gdyby, idąc za radą Charlotte, powiedziała panu Davisowi, że przedkłada Milтона nad Wordswortha (tak było w istocie), że uważa Byrona za afektowanego i pozbawionego talentu głupca (tak było w istocie), że wolałaby galopować przez pola niż siedzieć na ławce w letnie popołudnie i słuchać marnych wierszy (tak było w istocie)...

- Choć może błahe są moje pieśni, wzywam cię, o pani, w jej łaskawości... - deklamował z uniesieniem pan Beaumont Davis, znów odrzucając z czoła pasmo swoich blond włosów.

A wszystko przez to, myślała Sara, że za wszelką cenę chciała uniknąć towarzystwa wicehrabiego Lyletona. I choć ten ostatni był stanowczo mniej nudny niż pan Davis, uznała za rozsądne - gdy rodzice nie widzą - unikanie go w miarę możliwości. Żywiła nadzieję, że jej wyraźny brak zainteresowania jego osobą powstrzyma go od oświadczeń. Fitz potrafił tak zdecydowanie przeciwstawić się im w sprawie Cyganów, może zdobędzie się również na obronę wolności ich obojga.

- Ciszka wokół. Kroczę wśród gąszczy zieleni i widzę, jak wyłania się z mgły leśnej niczym Diana - ciągnął nawiedzony poeta.

- Tu pani jest, lady Saro! - rozległ się jowialny głos.

Sara obejrzała się i na widok zmierzającego ku nim lorda Pontifaksa wydała stłumiony jęk. Prezentował się nienagannie w brązowym dwurzędowym surducie i wysoko udrapowanych żółtych pludrach. Ale wygląd to nie wszystko. Dostrzegła drwiący błysk w jego spojrzeniu skierowanym na pana Davisa. Nigdy nie lubiła takich konfrontacji, lecz drugi jej zalotnik wyraźnie był temu rad - traktował widocznie pana Davisa jako niegroźnego rywala. Tak czy owak, wolałaby lorda Pontifaksa tu nie oglądać.

- Twój jakże słodki uśmiech przenika me czułe serce - recytował dalej, choć z marsmem na czole, pan Davis.

- Szkoda czasu na siedzenie tu po próznicy! - wykrzyknął lord Pontifax, przerywając bezceremonialnie poecię. - Pospacerujmy po parku lub popływajmy łódką po jeziorze.

- Lady Sara nie chce pływać łódką - rzekł ze złością nadworny poeta, twarz mu poczerwieniała. - Lady Sara chce słuchać moich wierszy. - Uniósł w górę stronicę niczym tarczę. - Twoja dłoń ku mnie wyciągnięta każe mi wypowiadać słowa dotąd nie odkryte...

- Dajże spokój, Davis - prychnął lord Pontifax. - Nie widzisz, że lady Sara jest beznadziejnie znudzona i tylko marzy o tym, by wreszcie stąd uciec?

- Doprawdy, lordzie, muszę zaprotestować... - zaczęła.

- Lady Sara jest boginią- oświadczył zapalczywie pan Beaumont Davis. - Kalasz ją każdym swoim tchnieniem. Precz!

Ujawszy się pod boki, lord Pontifax roześmiał się szyderczo.

- Nie dorastasz mi do pięt, nieboraku - kpił.

Oblicze pana Davisa przybrało kolor głębokiej czerwieni.

- Jesteś nieokrzesanym prostakiem, lordzie Pontifax, gardzę tobą.

- A ty... - zaczął jego rywal.

- Przepraszam, lady Saro.

Obejrzała się - tuż obok stał Rawlins z miną wielce poważną.

- Książę pragnie zamienić z panią parę słów, lady Saro; czeka w bibliotece - powiedział.

- Dziękuję, Rawlins - rzekła Sara skwapliwie. - Już idę.

- Pozwoli mi pani sobie towarzyszyć? - zapytał lord Pontifax, podając jej ramię.

- W żadnym wypadku! krzyknął pan Davis. - Ja byłem tu pierwszy. Mnie przysługuje prawo odprowadzenia do domu lady Sary.

- Przykro mi, panowie - wtrącił Rawlins. Twarz miał nieprzeniknioną, ale Sara wiedziała swoje. Dobrze się orientował, co się tu działo. - Przykro mi, lecz książę kładł nacisk na to, że chce widzieć się z lady Sarą i tylko z lady Sarą.

Dwaj dżentelmeni głośno wyrażali swój protest. Rawlins z odległości paru jardów przyglądał się im z ledwie skrywanym rozbawieniem. Obaj próbowali umówić się z nią na później, lecz Sara stanowczo się od tego odżegnała.

- Moi panowie - oświadczyła z nutą rozdrażnienia w głosie. - Mój ojciec nie może dłużej na mnie czekać. - Pospieszyła do kamerdynera jak do wybawcy. - Zabierz mnie stąd czym prędzej, Rawlins.

- „Raczyłaś więc przyjść na moją prośbę?” - zapytał z figlarnym błyskiem w oczach.

- „Tak jest, sinior” - rzekła Sara i uśmiechnęła się zaskoczona, gdyż cytował *Wiele hałasu o nic*, jej ulubioną sztukę Szekspira. - „I raczej odejść na twoje żądanie”.

- „O, więc zostań, póki nie zażadam”.

Odwróciła się i pomachała ręką dwóm swoim zalotnikom.

- „A tymczasem bądź mi zdrów”.* Szczęśliwy traf- powiedziała.

- Tak to sobie obmyśliłem, wielmożna pani.

Spojrzała na kamerdynera w osłupieniu.

- Obmyśliłeś...? Czy to znaczy, że ojciec mnie nie wzywał?

* Przekład Leona Ulricha.

- Dopuszciliśmy się bezczelnego kłamstwa, lady Saro. Przez całe popołudnie nie miałem zaszczytu rozmawiać z jego wysokością.

- Dobry Boże, Rawlins, czy to oznacza, że z rozmysłem przyszedłeś mi na ratunek? - zapytała, a serce biło jej przyspieszonym rytmem.

- Zdołałem spostrzec, jak lord Pontifax zagląda do kilku pokoi - powiedział kamerdyner. W jego głosie wciąż wyczuwało się rezerwę. - Szukał kogoś z zapalem. Doszedłem do wniosku, że chodzi mu o panią i że być może potrzebuje pani wsparcia.

- Mój drogi! Nigdy w życiu nie byłam nikomu tak wdzięczna! Cię rumieńca zabarwił mu policzki.

- Rad jestem, że mogłem się pani na coś przydać.

- Brak mi słów, Rawlins, by wyrazić podziw dla twojej bystrości. Może podpowiesz mi, gdzie mogłabym się aż do wieczora ukryć przed tym koszmarnym duetem?

Kąciki ust Rawlinsa drgnęły z lekka.

- Zdaje się, jaśnie panienko, że wdowa Formantle organizuje w salonie wista na parę stolików.

Sara nie wykazała entuzjazmu. Siedzieć przez parę godzin w tym samym pokoju - a może nawet przy tym samym stoliku - z okropną wdową, nie, to byłoby ponad jej siły. Lecz zważywszy alternatywę...

- Cóż w rozpaczliwej sytuacji podejmuje się rozpaczliwe działania - powiedziała, gdy zbliżali się do drzwi w zachodnim skrzydle domu. -, Dziękuję ci, Rawlins.

- Drobiazg, lady Saro - rzekł z niskim ukłonem.

- „Módl się za mnie... albowiem nie ma dla mnie ratunku”.

Milczał, jak gdyby nie wiedział, co powiedzieć.

- Christopher Marlow, *Tragiczne dzieje doktora Faustusa*?

Uśmiechnęła się promiennie.

- Świetnie, Rawlins. Twoja znajomość literatury jest doprawdy imponująca.

- Kamerdyner musi być przygotowany na wszystko, jaśnie panienko. - Ukłonił się, odwrócił i pospieszył w stronę biblioteki.

Sara odprowadzała go wzrokiem, serce kołatało jej w piersi, policzki okraślił lekki rumieniec. Uśmiech nie schodził jej z ust nawet wówczas, gdy przekroczyła próg domu, a potem salonu. Jakoś tak się składało, że on zawsze wiedział, gdzie ona jest w danej chwili, był taki troskliwy, czuwał nad nią!

- George, ty głupcze, piki to atu! - grzmiała wdowa Formantle.

Sara zdobyła się na odwagę i wkroczyła do jaskini lwa. Nawet lord Pontifax nie ośmielił się jej tu niepokoić, a pan Davis unikał zawsze

wdowy jak zarazy. Tu będzie bezpieczna. A Rawlins, orzekła w duchu, poza wdziękiem i urodą, odznaczał się genialnym umysłem.

Wieczorem ból głowy, jaki dokuczał jej od paru godzin, znacznie się zmniejszył. Siedziała przy wychodzącym na ogród różany oknie, otwartym na oścież. Wsparła się o parapet i patrzyła na gwiazdy, a chłodne powietrze owiewało ją przyjemnie.

To był jeden z powodów, dla którego wolałaby mieszkać na wsi. Światła miasta przyćmiewały blask gwiazd. A tu cudownie lśniły na ciemnym niebie. Było ich tak wiele, i zdawały się przypominać, że poza murami tego domu istnieją inne światy.

Próbowała rozproszyc złe myśli rozpoznawaniem konstelacji gwiazd, lecz na nic się to zdało. Westchnęła smętnie, obydwoma ramionami objęła kolana i oparła o nie podbródek.

Zawsze czekała na jakąś odmianę w swoim życiu. Pragnęła mieć własny dom, kogoś, kogo będzie kochała, dzieci, którym będzie poświęcać więcej czasu niż kwadrans dziennie, jak to czynili jej rodzice. Łudziła się, że spotka mężczyznę, którego będzie kochać i z którym będzie szczęśliwa.

Tymczasem był tylko lord Lyleton, dandys, hazardzista, miejski elegant.

Nadzieje jej obróciły się wniwecz. W istocie bowiem rodzice sprzedali ją, a ona nie zrobiła nic, aby się temu przeciwstawić. I co teraz poczniesz?

W ubiegłym tygodniu poddała się woli rodziców, tak jak zawsze w swoim dotychczasowym życiu. Ale dziś po raz pierwszy zaświtała jej myśl, by nie pozwolić sobą zawładnąć, tylko co z tego wyniknie? Jeszcze większe nieszczęście w czekającym ją małżeństwie?

Przerwała rozmyślenia, bo w ogrodzie różanym dostrzegła jakiś ruch. W słabym świetle księżycy ujrziała mężczyznę, stał tyłem do niej i tak jak ona patrzył w gwiazdy. Był to Rawlins. Poznała go po wzroście, szerokich barach, kształcie głowy, wyprostowanej sylwetce.

Rawlins. Ktoś, kto nie godził się z tokiem swego życia, a przynajmniej ze środowiskiem, któremu służył. Zupełnie nie pasował do funkcji, jaką pełnił; zbyt był inteligentny, odcytany, zbyt dumny, by na dłuższą metę znosić upokorzenia, jakich mu nie szczędzono. Był jednak w znacznie lepszej niż ona sytuacji, bo w Charlisle przebywał tylko czasowo. Za parę tygodni opuści ten dom, na taki bowiem okres zawarł umowę.

Minuta biegła za minutą. Stało się już jej zwyczajem - przyjemnym zwyczajem - obserwowanie kamerdynera, gdy tylko ukazał się jej oczom. Sprawiało jej to radość, choć nieco stłumioną, bo dostrzegła coś w Rawlinsie, jakąś boleść duszy. Przypomniały jej się słowa, jakie napisał Goldsmith: „Głęboko skrywane męskie cierpienie”. Przed paroma laty uderzyła ją ta fraza i teraz właśnie przyszła jej na myśl. Rawlins. Martwiło ją, że taki jak on człowiek jest nieszczęśliwy.

Popatrzyła na ogród. Nie było tam już Jacka. Poczowała gorycz rozczarowania; tak dojmującą, że zdziwiło ją to i wzbudziło niepokój w sercu. Siedziała jeszcze w oknie ponad pół godziny, wpatrując się w noc, a uczucie samotności ogarniało ją coraz bardziej.

Dwie pary rodzicielskich oczu, dwaj natrętni zalotnicy, ukradkowe spojrzenia gości śledzących jej każdy ruch - wszystko to sprawiało, że od pierwszego dnia pobytu w Charlisle Sara nie miała ani chwili dla siebie. Nawet we własnej sypialni nie czuła się bezpieczna, księżna bowiem zwykła była wpadać do niej ni stąd, ni zowąd, każąc jej dołączyć do towarzystwa bądź czyniąc jej wyrzuty, że nie wykazuje zainteresowania sprawą pierwszorzędnej wagi: zabiegami o oświadczyzny wicehrabiego.

Jak to Sara miała we zwyczaju w chwilach smutku, udawała się na samotne przejażdżki konno - to była jej ucieczka. Desperacja dopadała ją na ogół przed świtaniem - ubierała się więc bez pomocy Marii i szła do stajen, gdzie Henry Jenkins, młodszy brat Marii i najstarszy stajenny Somertonów, czekał już na nią z kłaczą o imieniu Dune.

Tuż za podworcem stajen Sara spięła Dune do galopu - za nią podążał Henry - zostawiając za sobą Charlisle, rodziców, państwa Lavesly, Lyletona, lorda Pontifaksa i pana Davisa. Pędziła, jakby wszyscy diabli ją gonili. Pędziła aż do utraty tchu, póki Henry nie został daleko w tyle. Wówczas poluzowała uzdę - do stępa, i obie z kłaczą odetchnęły swobodnie. Słońce właśnie ukazało się nad wzgórzami.

Henry po dłuższej chwili zrównał się z nią, zawróciła wtedy konia i jechali wolno do domu; zamieniła czasem słowo z Henrym, ale głównie milczała pogrążona w ponurych rozmyśleniach.

- Dziś znowu będzie przypiekać - powiedział Henry.
- Jak długo twoim zdaniem utrzyma się ten upał? - zapytała Sara, czując potrzebę rozmowy. Poczucie samotności, jakiego doznała wczoraj wieczorem, nie opuszczało jej.
- Myślę, że dobre dwa tygodnie, jaśnie panienko.

- Świetnie. Jest przynajmniej na co czekać.

Podobnie jak poprzednim razem przejechali jakieś pół mili obok obozu cygańskiego, widzieli dymy z ognisk, kłębiące się, ulatujące do nieba.

- Byłeś u Cyganów? - zapytała.

- Nie lubię trwonić grosza - oznajmił.

- Nie musiałyś wydać ani pensa, popatrzyłyś tylko.

- Wiem swoje, oni zawsze znajdują drogę do sakiewki.

- Może moglibyśmy któregoś wieczoru...

- Nie, lady Saro - odrzekł stanowczo.

- Choć na godzinę, Henry.

- Nie, lady Saro. Dopiero dostałbym od księcia reprimendę, gdyby się dowiedział, że zaprowadziłem panienkę do tych nicponi.

- Ale on się nie dowie.

Henry parsknął śmiechem.

- Ktoś zobaczy, że jaśnie panienka wyszła, nawet gdyby cichcem chciała panienka dom opuścić. I ten ktoś powie komuś innemu, a ten ktoś inny powie temu śledziowatemu lokajowi pani ojca, a ten śledziowaty lokaj powie księciu, i wtedy biada nam obojgu.

Rozumowanie całkiem prawidłowe. Henry od lat był stajennym Sary, przyjacielem i obrońcą w razie potrzeby - miał zatem spore doświadczenie.

- Posłuchaj, Henry...

- Nie, lady Saro. Księżę jest tego lata wystarczająco uprzykrzony, a gdyby się dowiedział o tym dziwacznym pomysle...

- Wcale mój pomysł nie jest dziwaczny. Każdy lubi odwiedzać obozy cygańskie.

- Ja nie.

Potrząsnęła ze smutkiem głową.

- Brak ci, Henry, ryzykanckiej żyłki.

Roześmiał się.

- Bo panienka i jej szaleńcze plany pozbawiły mnie jej dokumentnie.

Chichocząc zatrzymała konia i zeskoczyła na ziemię, mimo iż jeszcze pół mili dzieliło ich od stajen.

- Pójdę dalej pieszo, to jedyna chłodna pora dnia, chcę się nią nacieszyć.

- Tak jest, lady Saro - odparł, biorąc uzdę z jej rąk. Odjechał truchtem, Dune biegła obok jego konia.

Sara, spoglądając za nimi, westchnęła. Nie wiedziała dlaczego. Patrzyła na falującą zieleń dokoła i znowu westchnienie wyrwało jej się

z piersi - tym razem westchnienie z radości. Zarzuciła na ramię tren swego stroju do konnej jazdy i ruszyła ku niewidocznej jeszcze drodze wiodącej wśród buków w stronę wschodniego ogrodu.

Po przejściu jakichś pięciu jardów znalazła się na niewielkim wzniesieniu i z niemałym zdziwieniem ujrzała znajomą postać. Mężczyzna siedział na pniu zwalonego drzewa i wpatrywał się w błady półksiężyc, jaśniejący jeszcze na niebie.

- Rawlins! - zawołała.

Obrócił się i skinał jej głową.

- Dzień dobry, lady Saro.

- Cóż, na Boga... Och, przepraszam. Zakłóciłam ci samotność.

- Nie szkodzi, lady Saro - rzekł, wstając. Był już w uniformie kamerdynera, w dwurzędowym surducie o wysokim kołnierzu, ciemnozielonym dziś, fularze na szyi, płowych pludrach, jedwabnych pończochach i pantoflach ze sprzączkami. Lekki wiaterek rozwiewał jego ciemne włosy.

- Miałem już właśnie wracać.

Sara zamrugała nerwowo powiekami. O Boże, czy to znaczy, że będą wracać razem? Uśmiechnęła się do niego radośnie.

- Myślałam, że to tylko ja lubię hulać przed świtem.

- Kamerdynery nie hulają, lady Saro - oznajmił Rawlins.

Nie zdołała powstrzymać się od śmiechu.

- Jestem przekonana, że hulają. Jak tylko ich panowie wyjadą do miasta, dobierają się do beczki wina i urządzają sobie świętowanie.

- Mnie to nie dotyczy, lady Saro.

- Przestań - powiedziała, gdy ruszyli już w stronę Charlisle. - Służba, tak samo jak jej panowie, lubi się bawić. Każdy od czasu do czasu potrzebuje rozrywki. Jaka rozrywkę przedkładasz nad inne?

- Ja?

- Ty - rzekła tonem stanowczym, usiłując zachować powagę.

Spojrzał na nią, a potem, z zadumą, przed siebie.

- Ja lubię czytać, jaśnie panienko, i gdy nadarzy się okazja, zagrać w karty.

- W karty? - powtórzyła, krzywiąc się, Sara. - Nic dziwnego, że nigdy się nie uśmiechasz, skoro twoją ulubioną rozrywką jest gra w karty.

- Nie uśmiecham się dlatego - oświadczył - że życie nie daje mi powodu do radości.

- Jak to nie?! Choćby ten budzący się piękny dzień. Czyż nie wywołuje uśmiechu na ustach? Skan i przerobienie pona.

- Wojna odbiera światu całą jego urodę.

- No a jaką radość czerpiesz z literatury?

- Mogłaby pani także zapytać, co sędzę o ludzkiej nędzy i niedostatku.

- Ojej, nie spotkałam jeszcze człowieka, który tak się uparł, by być nieszczęśliwy - powiedziała, i nagle nowa myśl przyszła jej do głowy: - Rawlins, czy kamerdynerzy umieją się śmiać?

- Słucham?

- Nigdy nie słyszałam, by któryś się śmiał, a znałam ich wielu. Bardzo wielu. Na pewno śmieją się od czasu do czasu, ale chyba tylko na gruncie prywatnym.

- Oczywiście, lady Saro, byłoby wysoce niestosowne, by człowiek pełniący taką funkcję do tego stopnia się zapomniał.

- Zawracanie głowy - odpaliła Sara. - Według mojego mniemania sęk tkwi w tym, że niezadowolony z pracy przysparza ludziom wiele zgrzyoty.

- Słucham?

Łypnęła na niego okiem.

- Nie słyszałaś, co powiedziałam? Że ktoś, kto przez całe życie wykonuje pracę, której nie cierpi, nie potrafi się cieszyć, nie znajduje powodów do śmiechu. Może powinienś być wstąpić do marynarki?

- Nie, lady Saro. Służba na królewskich okrętach to brutalna szkoła życia. Ja rad jestem z funkcji, jaką pełnię.

- Ale chyba nie wśród takich okropnych ludzi - rzekła z półuśmiechem, który przerodził się w uśmiech, gdy dostrzegła błysk aprobaty w jego oczach. - Nikt przy zdrowych zmysłach inaczej by ich nie ocenił. No właśnie: jak Lyleton trafił na ciebie?

- Mieliśmy... wspólnego znajomego, lady Saro.

- Wykradł cię od kogoś, tak? Księżna zawsze wykrada paniom z towarzystwa fryzjerki, pokojówki, kucharzy.

- Księżna w każdym układzie musi mieć chyba przewagę.

- Słuszne spostrzeżenie. Tylko księcia to nie dotyczy. Przywykł chadzać własnymi drogami. Ja nie potrafię, nie posiadałam tej sztuki. Bardzo źle to o mnie świadczy, ale taka jest prawda. - Westchnęła. - Zdaje mi się, Rawlins, że mamy ze sobą coś wspólnego.

- Czyżby? - zapytał. Przez bramkę w niskim żywopłocie wchodzili właśnie do ogrodu o pięknie przystrzyżonych krzewach.

- Tak - potwierdziła Sara, obrywając listki z zerwanej gałązki. - Oboje nie znosimy roli, jaką przypało nam odgrywać w życiu.

Nastała chwila ciszy.

- A jaka jest pani rola, lady Saro?

- Czarnej owcy, rzecz prosta.

- Zamierzam w najbliższych dniach zapoznać się z książkami, które czytasz - odezwała się po chwili. Przy całym dystansie, jaki ich dzielił, czuła się bardzo dobrze w jego towarzystwie. - Jak ty właściwie masz na imię?

Zamrugał powiekami.

- Słucham?

- Jak brzmi twoje imię? Znasz moje, i ja mam prawo wiedzieć, jakie ty otrzymałeś na chrzcie. Każdemu człowiekowi nadano wtedy imię.

- Z wyjątkiem Turków, Egipcjan, Chińczyków, Japończyków...

- Wszystko wskazuje na to, Rawlins - mruknęła przekornie - że raczysz sobie ze mnie kpić.

- Jakżeż bym śmiał, lady Saro - zapewnił ją. - Cóż by to było za uchybienie z mojej strony!

- Istotnie. - Oczy Sary iskrzyły się z zachwytu. Poza tym, że miał ładną, choć nieprzeniknioną twarz, cechowało go finezyjne poczucie humoru, nie ulega kwestii! Świat od razu wydał jej się lepszy, weselszy.

- Imię, sir, jeśli łaska, i już żadnych więcej pytań ci nie zadam.

- John, lady Saro.

- John? - Uniosła głowę, rozważając jakby otrzymaną właśnie informację. - Dali ci to imię na chrzcie, ale gotowam przysiąc, że za tą fasadą Johna kryje się po prostu Jack.

Rawlins spojrział na nią z niejakim zdziwieniem.

- Absolutnie zaprzeczam, lady Saro.

- Nie? - zapytała, uśmiechając się od ucha do ucha.

W jego szarych oczach dostrzegła jakby cień zmieszania.

Gdy dotarli do domu, on poszedł na dół, a ona na górę - wykapać się i przebrać przed śniadaniem.

Nie przestawała o nim myśleć. Był inny niż wszyscy, których znała, i zachodziła w głowę, na czym ta inność polega. W końcu olśniło ją - jego oczy. Zazwyczaj trudno było coś z nich wyczytać, czasem jednak zasłona opadała i wtedy przezierały przez nie gorycz i smutek. Obecnie doszedł jeszcze jeden element: poczucie humoru połączone z pewną dozą figlarności.

Rodzice, gdyby się dowiedzieli, ile czasu i myśli poświęca służącemu, byliby do głębi wstrząśnięci, ale z Sarą zawsze mieli kłopoty. Tylko nieliczne osoby z jej sfery darzyła sympatią i zależało jej na nich. Do takich wyjątków zaliczali się państwo Phineas i Charlotte Doherty.

Jak to było przyjęte przez śmietankę towarzyską, księżę i księżna Somerton po przyjściu potomka na świat oddawali go w ręce nianieek i już potem niewielką mieli z nim styczność. Sarę wychowywali nie rodzice,

tylko służba. Niania Beechem siedziała przy łóżeczku, gdy dziewczynka była chora. Henry Jenkins uczył ją jazdy konnej, miłości do koni, i towarzyszył jej w ekskursjach wierzchem. Stary Bill Regis, główny ogrodnik Somertonów w Ralbrook, ich siedzibie w Lincolnshire, opowiadał Sarze o kwiatkach, ziołach i innych roślinach, dzielił się z nią wszystkim, co wiedział o świecie - o życiu i śmierci. Maria podtrzymywała ją na duchu w trudnym okresie dojrzewania, a potem debiutu towarzyskiego, śmiała się z nią razem i płakała.

I Sara tych właśnie ludzi uważała za swoją prawdziwą rodzinę. Zalety ich charakteru, szczerść serc, sposób życia ceniła wyżej niż to, co reprezentowali sobą jej rodzice. Szanowała ich poglądy, lubiła z nimi rozmawiać. Orzekła w duchu, że podobnie ma się rzecz z Rawlinsem.

6

Tego wieczoru Jack obserwował, jak Sara, uciekając przed pałającymi żarem spojrzeniami Beaumonta Davisa i nie odstępującym jej na krok Cyrilem Pontifaksem, znalazła azyl w odległym kącie pokoju, pod opiekuńczymi skrzydłami lorda i lady Doherty. Powiedziała coś, co rozśmieszyło tę uroczą parę, i niebawem wszyscy troje zaczęli rozmawiać z ożywieniem.

Nie mógł wprost uwierzyć, że to ta sama dziewczyna, którą widział wczoraj wieczorem, jak siedziała w oknie sypialni, pogrążona w smutku, z oczami utkwionymi w gwiazdach - kontrast był ogromny. Jej cierpienie przejęło go do głębi, ale nie chciał przyznać przed samym sobą, w jak podobnym jest stanie ducha.

- Ach, tu jesteś, Rawlins, ty niecnoto - lady Winster kokieteryjnie dotknęła wachlarzem jego ramienia.

Przemagając niechęć, odwrócił się ku niej. Każdy prawdziwy mężczyzna przyznałby, że jest ładną kobietą. Wysoka, pełna temperamentu, o dużych zielonych oczach i zmysłowych wargach. Pod koniec pierwszego sezonu poślubiła lorda Winstera i od tej pory miała licznych kochanków, od księcia George'a (podobno) po zatrudnianych przez nią chętnie urodziwych lokai.

Od pierwszego dnia pobytu w Charlisle dała Jackowi jasno do zrozumienia, że jest nim żywo zainteresowana. Pragnęła, by został jej kochankiem, a blask jej oczu obiecywał niemałe rozkosze. Lady Winster

nie miała do zaoferowania nic prócz urody, stanowczo za mało jak na jego gust, tym bardziej że widział, z jakim zapałem - na oczach męża - uwodziła wzrokiem każdego mężczyznę, który na nią spojrzał. Jack wolał mieć w łóżku innego pokroju partnerkę.

- Ma pani jakieś życzenie, lady Winster? - zapytał z kamienną twarzą.

- Owszem, mam! Chcę mieć klucz do twojego serca.

- Zgubiłem go dawno temu, wielmożna pani.

- Zadowolę się zatem kluczem do twojego pokoju - rzekła uśmiechając się bezczelnie.

- Abigail!

Obejrzeni się - zmierzał ku nim lord Winster, blady, z zaciśniętymi ustami. W młodości musiał być przystojny, ale małżeństwo widocznie sprawiło, że rysy mu zgrubiały i stwardniało serce.

- Co się stało, Edmond? - zapytała ostro lady Winster.

- Posłaniec przywiózł ci list, moja droga, od jednego z twoich licznych wielbicieli.

Jakaś nuta w głosie lorda Winstera nakazała jej przerwać uwodzieńskie zabiegi i udać się do pokoju po ów list.

Nie szkodzi, pomyślała lady Winster, lato dopiero się zaczęło, a oczekiwanie dodaje tylko smaku każdemu romansowi.

- Już idę - rzekła i odchodząc, dotknęła porozumiewawczo ramienia Jacka.

Lord Winster nie ruszył się z miejsca. Mierzył Rawlinsa ponurym spojrzeniem, postawę miał tyleż wojowniczą, co obronną.

Jack mógł tylko czuć litość dla tego dżentelmena. Był jednym z nielicznych z tej sfery, który przejmował się niewiernością małżonki. Każdy jej romans ciężko przeżywał. Każde wymowne spojrzenie znajomych w klubie doprowadzało go do szału. Jego upokorzenie sięgało zenitu, gdy dowiadywał się, że oto znów jakiś służący skorzystał z zaproszenia do jej łoża.

Jack chciałby mu powiedzieć coś, co złagodziłoby jego udrękę, ale nie mógł. Zapewnienie, że wielmożna pani nie ma u niego żadnych szans, poza tym, że stanowiłoby impertynencję, nic by nie dało, lord nie uwierzyłby mu. Zbyt dobrze znał swoją żonę, by wątpić w jej sukces na tym polu.

- Czy mógłbym coś dla pana zrobić? - zapytał Jack.

- Owszem. Trzymaj się, na litość boską, z dala od mojej żony!

- To mogę panu obiecać.

Lord Winster skrzywił się z niedowierzaniem i odszedł.

Jack odprowadzał go wzrokiem. Lord Winster był jednym z wielu w tym domu uwikłanym w nieszczęśliwe małżeństwo. Pozycja, fortuna - to jedyne więzi łączące stadła w wyższych sferach. Tacy są Wihsterowie, Marblesowie. I tacy będą Sara i Fitz Hornsby.

W interesie rodziny leżało, by połączyć tych dwoje, którzy wszak na brak urody nie mogli narzekać. Fitz był wszędzie w towarzystwie podziwiany, Sara zaś miała wiele osobistego czaru i wdzięku, cokolwiek by o niej mówili Bigby i księżna. Jej rude włosy pięknie lśniły w słońcu, niebieskie oczy pełne były wyrazu. Miała ładną, zgrabną figurę, a piegi, rozsiane na nosie i policzkach, dodawały jej tylko uroku. Jej śmiech udzielał się innym. A uśmiech pozwalał zapomnieć o troskach.

Jack orzekł w duchu, że lady Sara jest naprawdę urocza.

Zauważył, że wystarczyło jedno surowe spojrzenie ojca, by opuściła państwa Doherty i podeszła posłusznie do Fitz'a, który wiódł rozmowę z Freddy'm i Corliss Braithwaite'ami.

A jeśli dojdzie do małżeństwa Sary i Fitz'a, co jest raczej nieuniknione, to czy Sara stanie się drugą lady Winster, i nie zaznawszy szczęścia w małżeństwie, będzie tak samo jak tamta zmieniać kochanków jak rękawiczki?

Jack z gniewem odrzucił tę myśl. Przyszłość lady Sary nie powinna zaprzęcać jego myśli. Lecz owo przypuszczenie, niczym natrętny komar, nękało go przez cały wieczór i przepełniało goryczą jego serce.

- Dlaczego lady Doherty z takim uporem wychwala Alexandra Pope'a? - godzinę później zapytał Sarę pan Beaumont Davis.

- Bo go lubi - odparła Sara z uśmiechem. - A pan nie?

- Czuję odrazę do tych wszystkich zadufanych, uczonych poetów jak Dryden, Donne i inni im podobni. Filozofują, mędrkują, a nie mają w sobie krzty wrażliwości! Proszę mi zacytować poruszającą do głębi strofę Crashawa, Marvella, Wordswortha i oczywiście nieśmiertelnego Byrona, a będę doprawdy uszczęśliwiony! - zaatakował Sarę wiotki poeta, gwałtownie się ku niej pochylając.

- Czy pan aby nie chory? - zapytała.

- Och, lady Saro... - pan Davis natychmiast się wyprostował. - Poczułem nagle zawrót głowy.

- Nic dziwnego - złążała go Sara. - Musi pan więcej jeść, nie tylko herbatniki popijane wodą sodową. Byron czynił tak dla zrzucenia wagi, i słusznie, ale pan nie ma co zrzucać, proszę mi wierzyć.

- Bardzo pani uprzejma - odrzekł Beaumont Davis z nikłym uśmiechem. - Wiem, że tylko z troski o mnie wyraża się pani tak ostro o niebiańskim Byronie.

- Ostro? Mówię po prostu prawdę, a prawda jest taka, że Byron ma tendencję do tycia. Gdybyśmy tak jak on brali udział w tylu prozonych obiadach, też obrośliśmy tłuszczem.

- Czyż gdyby on był tutaj, w Charlisle, nie spożywałby herbatników, popijając wodą sodową?

- Zapewne - rzekła Sara, uśmiechając się drwiąco. - I wielce by się naraził kucharzowi wicehrabiego.

- Zatem i ja dalej będę to czynił.

- Pozwolę sobie zauważyć, że obrażanie kucharza Lyletona nie świadczy o uprzejmości.

Poeta spłonął rumieńcem.

- Skoro udziela mi pani nagany, moja droga lady Saro, znaczy to, że w pewnym sensie nie mam racji. - Wahał się chwilę. - Herbatniki będę więc spożywał tylko na śniadanie i kolację. Na obiad pozwolę sobie na trochę mięsa i sałatę.

- Świetny plan - oznajmiła Sara.

- Saro! - rozbrzmiał surowy głos.

Książę Somerton, z nachmurzoną miną, stał nieopodal.

- Tak, ojczu?

- Muszę zamienić z tobą parę słów na osobności. - Spojrzała na wymizerowanego poetę. - Raczy mi pan wybaczyć, sir.

- Och, naturalnie... - zaczął pan Davis, ale książę prowadził już córkę w stronę palmy stojącej przy oszklonych drzwiach salonu.

- Nie zgadzam się stanowczo, żebyś tolerowała zaloty tego zmożłego koguta - oświadczył.

- Na nic mu nie pozwalam, ojczu. Nie każę mu rzucać się do mych stóp, choć z pewnością o tym marzy.

- Cóż za impertynencja, Saro! - warknął i utkwiał w niej zimne niebieskie oczy. - Gdziekolwiek spojrzę, widzę, jak ten gaduła sterczy przy tobie, a ten paw Pontifax usiłuje zwabić cię do ogrodu.

- Ale mu się to nie udaje.

- Nie powinnaś nawet dawać mu okazji czynienia prób w tym kierunku! - Książę Somerton krzyknął, lecz zaraz zniżył głos. - Oświadczam w imieniu swoim i matki, że twoje zachowanie godne jest potępienia!

- Oboje przecież prosiliście, żebym była sympatyczna dla gości - odrzekła rezolutnie Sara. - Pan Davis i lord Pontifax są gośćmi. Nie bawi mnie ich towarzystwo, tak jak ciebie, ojczu, nie bawi, gdy widzisz mnie z nimi, ale nie wiem doprawdy, jak miałabym się ich pozbyć w uprzejmy sposób.

- Brednie! - odparował książę. - Pozbędziesz się ich, dotrzymując towarzystwa Lyletonowi i dając innym do zrozumienia, że dokonałaś już wyboru spośród swoich licznych wielbicieli.

- Licznych? Tylko trzech, ojczy, a ten pierwszy wcale się nie kwapi, by mnie adorować.

- Chcesz powiedzieć, że Lyleton jest ci niechętny? - zapytał książę ponuro, rzucając spojrzenie na wicehrabiego, który szeptał coś na ucho Rawlinsowi.

- Nie, skądże - odparła, nie chcąc stawiać biednego chłopaka w trudnej sytuacji. - Codziennie poświęca mi czas i uwagę, ale wątpię, czy sprawia mu to przyjemność. Wydaje mi się, że on, podobnie jak ja, wcale nie pragnie tych zaręczyn.

- Pragnie czy nie pragnie, i tak się z tobą ożeni - rzekł książę, świdrując córkę wzrokiem.

- Tak - mruknęła Sara, patrząc na czubki swoich satynowych pantofelków. - Wiem o tym.

Książę z marsową miną zaprowadził córkę do Lyletona, od którego nie tak dawno zdołała uciec, wzrokiem dał znak Rawlinsowi, że może odejść, i poinformował wicehrabiego, iż marzeniem Sary jest przebywanie w jego towarzystwie.

Na te słowa Fitz zbladł, lecz zachowując męską postawę, powiedział księciu, iż zawsze czerpie radość z rozmowy z lady Sarą, po czym przez następne pięć minut nie wymówił słowa. Próżno usiłował wymyślić jakiś temat konwersacji. Książę natomiast skierował swe kroki ku uroczej lady Throwbright, z którą miał nadzieję przyjemnie spędzić czas.

- Musimy coś powiedzieć - szepnęła Sara. - Wszyscy nas obserwują.

Fitz drgnął.

- O, tak, naturalnie. Przepraszam... hm... no cóż... Piękną ma pani bransoletkę, lady Saro.

- Dziękuję, lordzie - odparła, patrząc na bransoletkę. - W ubiegłym roku kupiłam ją w Bath.

- W Bath? Podoba się pani Bath?

Znając gusta lorda Lyletona, Sara rzekła, zgodnie zresztą z prawdą:

- Nie. Według mojej oceny strasznie tam nudno.

- Według mojej również - oznajmił z ulgą. - Londyn to jedyne miasto, w którym można żyć.

- Nawet w lecie?

- W lecie zawsze można jechać do Yorku na wyścigi konne - odparł wicehrabia. I dzięki temu wątkowi przez następne pół godziny opo-

wiadał, jak go te wyścigi pasjonują, a jego ożywiona relacja i jej udawane zainteresowanie napawały radością obie pary rodziców.

- Jesteś nareszcie! - wykrzyknął sir Marcus Templeton, gdy parę minut po północy Fitz stanął w progu biblioteki. - Długo ci zeszło.

- Hrabina wyraziła życzenie porozmawiania ze mną - rzekł Fitz, unikając wzroku swego prześladowcy.

- Zamknij drzwi, głupcze, i przekręć klucz! Nie chcemy, żeby nam ktoś przeszkadzał, prawda?

Fitz z ponurą miną wykonał polecenie, po czym zebrał się na odwagę i wszedł do środka. Miał do odegrania rolę i przystąpił do rzeczy:

- Masz ten list?

- Oczywiście, mam. - Sir Marcus pogrzebał w kieszeniach i wyciągnął pojedynczy arkusik papieru.

- Tuszę, iż to nie jest kopia, jak ostatnim razem - powiedział chłodno Fitz.

- Oryginał, rzecz jasna.

- Podróbkami, Templeton, nie będziesz mnie szantażował.

- A kto tu mówi o szantażu? - zapytał porywczo sir Marcus. - Na-bywasz po prostu rzecz, którą jesteś zainteresowany. Ponadto kopia, którą ci wtedy pokazałem, stanowiła dla mnie glejt. - Templeton trzymał kartkę przed oczami Fitz'a, ale gdy ten po nią sięgnął, Marcus cofnął rękę. - Tylko bez żadnych sztuczek!

Czyżby się domyślał?

- Nie, bez obawy - rzekł szybko Fitz.

Templeton drżącymi palcami trzymał dokument, jego śniadą twarz wykrzywił ironiczny uśmiech, a Fitz w tym czasie czytał słowo po słowie ten przekłety list.

Nie miał wątpliwości. List wyszedł spod jego pióra. Jego charakter pisma. Podpis. Kwieciste wyznania miłosne i płomienne oświadczenia. Jęknął w duchu. Tej przekłetej nocy musiało mu się w głowie pomieszać.

- Tak - powiedział. - Przyznaję, że to jest mój list.

- Jak najbardziej - rzekł Templeton składając kartkę i wsuwając ją do kieszeni. - Możesz go mieć za jedyne dziesięć tysięcy funtów.

- Dziesięć? - wykrztusił Fitz przez zaciśnięte gardło. - W maju pi-sałeś o pięciu.

- Zwłoka podwoiła cenę. Albo ten list, albo małżeństwo, szanowny lordzie. Wybór należy do ciebie.

- Zapłacę - rzekł Fitz grobowym głosem.

- Czekam więc.

Fitz udał zdziwienie.

- Co? Myślisz, że teraz ci zapłacę? Nie bądź śmieszny. W Charlisle nie mam takiej gotówki.

- Przyjmę przekaz na twój bank - zaproponował wspaniałomyślnie Templeton.

Fitzem aż zatrzęsło.

- Nie! Żadnego słowa na piśmie. Skontaktuję się z moim bankiem w Londynie. Przyślą mi pieniądze przez kuriera. Ale zajmie to parę dni.

- Mogę poczekać - powiedział sir Marcus ze spokojem. Podeszedł do drzwi, przekręcił klucz w zamku. - Rad jestem z letniego pobytu tutaj. - Wyszedł, nie zamykając drzwi za sobą.

Fitz z jękiem opadł na czerwoną skórzaną kanapę. Cały był zlany zimnym potem. Dlaczego Edynburg nie przestrzegł swoich adeptów - zwłaszcza jego - przed zjawiskiem szantażu i szatańskimi tegoż egzekutorami. Usłyszał jakiś szelest. Odgłos zamykanych drzwi.

- Czy ma oryginał? - zapytał cicho Jack.

- Z całą pewnością.

- Świetnie.

Fitz zmierzył go zdziwionym spojrzeniem.

- Cóż w tym takiego świetnego, do stu diabłów?

- To mianowicie, że list jest tu, na miejscu. Przeszukam powtórnie pokój Templetona. Musi tam być. Im szybciej znajdę ten list, tym szybciej Greeves wróci do Charlisle, ja zaś - do domu, do mojego sielskiego Devonshire.

- Nie mogę pojąć twego zamiłowania do życia na wsi.

- Mimo to lubisz mnie, prawda? - zapytał Jack z uśmiechem.

Fitz również się uśmiechnął.

- Jak można nie lubić swego anioła stróża?

7

Przeszło dwadzieścia osób spośród gości Charlisle piło popołudniową herbatę w południowym patio, gdzie łagodna bryza chroniła ich przed upałem, gdy ujrzeli nagle galopującego aleją lorda Cyrila Pontifaksa. Zeskoczył z konia, zanim ten na dobre się zatrzymał, i podbiegł ku zgromadzonym gościom w szarym od kurzu stroju jeździeckim, z rozwianym włosom, płonąca twarzą. Wielu zamierzało wyrazić swą dezaprobatę - stanowczą dezaprobatę - wobec tak szokującego zachowania się i wyglądu przybysza, ale jego lordowska mość ubiegł wszelkie uwagi.

- Słyszeliście nowiny? Do wsi dotarło specjalne wydanie londyńskiej prasy! - Wyjął z kieszeni kilka pomiętych gazet i powiewał nimi w powietrzu. - Dwudziestego pierwszego czerwca pod miejscowością o nazwie Vitoria brytyjskie, portugalskie i hiszpańskie wojska pod dowództwem Wellingtona zadały klęskę pięćdziesięcioletniej francuskiej armii dowodzonej przez marszałka Jourdana. W gazetach piszą, że to ma większe znaczenie niż Salamanka. Piszą - szybko przerzucał stronicę - że wróg nie poniósł dotąd na Półwyspie tak druzgocącej klęski. Wellington ma teraz przez Pireneje wolną drogę do Francji!

Wszyscy radowali się, wymieniali uściski, żądali szampana. I rozpoczęła się ożywiona dyskusja. Wojna Anglii z Napoleonem trwała już tak długo i oto po raz pierwszy zwycięstwo było tuż tuż. Fabryki w całym kraju wytwarzające sprzęt wojenny zajmą się teraz wyrobem innych dóbr. Import z zagranicy i eksport produktów z Anglii przestanie komukolwiek zagrażać. Szmuglerzy nie będą się już panoszyć i żądać za brandy niebotycznych cen. Modny i wesoły Paryż znowu stanie się dostępny.

Jack wraz z dwoma lokajami manewrowali wśród tłumu z tacami szampana, milczący i prawie niezauważalni w tym rozgardiaszu, albowiem wszyscy przekrzykiwali się wzajemnie i nikt nie siedział na swoim miejscu.

- Patrzcie! Czytajcie! - wołał hrabia Lavesly, wymachując gazetą. - Francuzi tak szybko uciekali, że pozbywali się broni, ekwipunku, a marszałek Jourdan zgubił nawet swoją buławę!

- Huraaa! - krzyknęli zgromadzeni wokół hrabiego.

- To powściągnie zakusy Bonapartego i każe mu się zastanowić nad powagą sytuacji - zauważył Freddy Braithwaite.

- Naokoło domu zawiesimy sztandary, girlandy i kolorowe lampiony - zapowiedział Fitz, wdzięczny losowi, który pozwolił mu zapomnieć o własnych utrapieniach.

- Na Boga, Wellington musi znać Szekspira - zagrzmiał książę Somerton - który tak mniej więcej powiedział: „Gdy łoskot wojny dociera do twoich uszu, atakuj jak tygrys”. I on to jako żywo uczynił!

- Gdybym był choć o dwadzieścia lat młodszy i zdrowie by mi dopisywało - powiedział siwowłosey lord Throwbright - byłbym przy Wellingtonie, z szablą w dłoni, i wołałbym: Naprzód, bracia, naprzód!

Któryś ze stojących obok dżentelmenów mruknął coś niezrozumiale.

- Ale piszą w gazetach, że Wellington miał tylko dziewięćdziesiąt armat, a Francuzi sto pięćdziesiąt trzy! - wykrzyknęła Sara do lorda Phineasa Doherty, przebiegłszy wzrokiem artykuł w gazecie, którą wyrwała

lordowi Pontifaksowi. - Przewyższaliśmy ich liczbą żołnierzy, ale oni nas liczbą armat, jak mogliśmy zwyciężyć?

- Najważniejsza jest pozycja, Saro - odparł Phineas, biorąc gazetę z jej rąk. - Rozumiesz? Piszą tu, że Wellington pierwszy zajął wzniesienie nad rzeką Zadorą. Wykorzystał ten fakt i dostał się w sam środek armii francuskiej. Dziel i rządź, moja droga. Stara strategia, ale jakże skuteczna.

Co usłyszawszy, paru dżentelmenów otoczyło lorda Doherty i włączyło się w debatę o strategii Wellingtona. Sara znalazła się poza tym kręgiem i szukała właśnie kogoś, z kim mogłaby porozmawiać; w tym momencie dostrzegła Jacka; stał profilem do niej i z ponurą miną patrzył w dal, na ogrodowe tarasy. Był wzburzony, dłoń zaciskał na rzeźbie nimfy greckiej.

Nieświadoma szybkości, z jaką przeszła przez patio, stanęła przy nim.

- Co się stało, Jack? - zapytała szeptem, równie nieświadomie zwracając się do niego po imieniu.

Wyprostował się, przybrał obojętny wyraz twarzy, lecz w jego oczach czaił się ból.

- Nic, lady Saro, absolutnie nic - odpowiedział.

- A jednak! Dlaczego wieść o tak wielkim zwycięstwie zasmuciła cię?

- Lady Saro, czy wie pani, jak okropna rzeź poprzedziła to zwycięstwo? Każda ze stron w bitwie pod Vitorią straciła co najmniej po pięć tysięcy żołnierzy. Pięć tysięcy zabitych i rannych.

Sara poczuła się tak, jakby cała krew z niej uszła.

- Dziesięć tysięcy! - Chwyciła go machinalnie za ramię. - O mój Boże, tyle ludzi.

Jack przymknął na chwilę powieki. Znowu słyszał ogłuszający huk armat, rozpaczliwe rzenie rannych koni, jęki konających ludzi. Czuł zapach prochu, widział przerażone oczy swoich żołnierzy, krew na ich pierśsiach, brzuchach.

Odwrócił się gwałtownie.

- Nie mówiąc o tysiącach zaginionych i okaleczonych - ciągnął z goryczą. - Amputowane ramiona i nogi, sterty ludzkich zakrwawionych ciał, które my, Brytyjczycy, nazywamy żartobliwie mięsem armatnim. Ogromna liczba trupów gnijących w słońcu... Nie widzę powodu, dla którego miałbym święcić takie zwycięstwo. - Znów skierował wzrok na ogrody, strąsając jej dłoń ze swego ramienia.

- Skąd ty to wszystko wiesz? - szepnęła; miała wrażenie, że sama stoi na tym krwawym polu bitwy. - Skąd znasz takie oblicze wojny?

Jack stał nieruchomo, zastanawiając się jakby nad odpowiedzią.

- Miałem przyjaciół, którzy byli na Półwyspie. Wielu zginęło, także moi dwaj kuzyni, których... zaszlachtowano pod Salamanką, są tam pochowani... z dala od domu, od rodziny. Opuszczeni...

.- Przestań, na Boga - poprosiła Sara. - Przestań się zadrećcać.

- Ci zaś moi przyjaciele, którzy wrócili, byli już nie ci sami, odmienieni, i nie tylko dlatego, że ciała mieli okaleczone. To, co widziały ich oczy... Opowiadali mi. - Przywołując się widocznie do porządku, odwrócił się ku niej. - Och, proszę wybaczyć, lady Saro... - urwał, jak gdyby zdziwiony jej widokiem. - Życzy pani sobie szampana?

- Nie, dziękuję - odparła i obejrzała się na rozradowanych gości. - Tak jak mówisz, nie ma powodu do czczenia tego zwycięstwa. - Milczała chwilę. - Rozumiem teraz, dlaczego gazety nie podają listy zabitych i rannych. Zajęłoby to zbyt wiele miejsca, nazwisko po nazwisku, jeden wielki ciąg - społeczeństwo zaprotestowałoby przeciwko takiej masakrze i zażądało jej końca.

- Niepotrzebne są już protesty - powiedział; zapragnął nagle wygładzić zmarszczkę zatroskania na jej czole. - Nie minie rok, a wojna się skończy.

- Jesteś pewien?

- Absolutnie. W dniu, w którym Bonaparte postanowił najechać na Rosję, jego upadek stał się przesądzony. Przebrał miarę i poniósł klęskę. Nie zdołał się pozbierać. Vitoria to tylko sygnał dla dyplomatów, że czas ostrzyć pióra, by podpisać traktat pokojowy. Parę miesięcy zajmie prawdopodobnie Wellingtonowi przejście przez Pireneje, po czym droga do Francji stanie przed nim otworem. Koniec z Bonapartem, przynajmniej na razie.

- Na razie? - zapytała Sara głosem pełnym obaw.

Spojrzał na nią, nie tając przygnębienia.

- Samozwańczy cesarz zbyt jest zaślepiiony władzą i zbyt pewny swego wojennego talentu, by na dłużej zachować pokój. Będzie chciał odzyskać to, co stracił. Nie ulega kwestii.

Sara milczała jakiś czas.

- Dlaczego mężczyźni lubią wojnę? - zapytała wreszcie. - Czemu z takim zapałem niszczą i zadają śmierć? W przeciwieństwie do kobiet. My dajemy życie i znamy jego wartość. Grzebiąc własne dzieci, znamy ból, jaki śmierć zadaje. Dlaczego myśli mężczyzn biegną innym torem?

Jack obrzucił ją przelotnym spojrzeniem. Nikt dotąd nie zadał mu tego pytania, które sam sobie tylekroć zadawał i które nie przestawało go nękać.

- Przypuszczam, że to kwestia ambicji i typowo męskiego zadufania - odparł. - Rozwiedzimy się o wartościach, zasadach i pokojowych ideałach, a w gruncie rzeczy chodzi nam o sławę zdobywcy i dreszcz emocji, gdy przechwalamy się własnymi sukcesami. Chcemy zwłaszcza coraz to nowe tereny, pragniemy sięgać po kolejne zdobycze i nie cofamy się przed zadawaniem śmierci braciom, by zająć ten skrawek ziemi, i następny, i jeszcze jeden. Otumaniony umysł tłumi krzyk serca.

- Boże, spraw, bym wychowała synów, którzy będą stronić od wojny-szepnęła.

Spojrzał na nią ciepło.

- Proszę nie rozpaczać, lady Saro. Zawsze trzeba mieć nadzieję. Przelew krwi nie jest czymś nieuniknionym. Miłość do życia może wiać górę nad chęcią zadawania śmierci.

- Ty nie kochasz życia, Jack, choć nie jesteś zwolennikiem wojny. Jaką stosujesz broń, aby unicestwić w sobie chęć zabijania?

Popatrzył na ciemny błękit nieba. Ileż razy w Portugalii tęsknił do tej barwy, jaką ma tylko angielskie niebo?

- Znużenie połączone ze świadomością bezsensu, lady Saro.

- Silne antidotum - przyznała. Znała obydwa te uczucia.

Surowy wzrok matki kazał jej odejść od Jacka i dołączyć do towarzysztwa. Uśmiechała się z przymusem i słuchała, co do niej mówiono, choć nie mogła się opędzić od smutnych myśli. Wreszcie uciekła od tych trajkoczących ludzi i zasyłała się w ciszy własnego pokoju. Maria na nią nie czekała, i nie była ona Sarze potrzebna. Usiadła w oknie i przez prawie kwadrans patrzyła na przepiękny ogród różany - promienie słońca pieściły płatki kwiatów. Wokół tyle było piękna i spokoju, a tam zabito takie mnóstwo ludzi. Nic dziwnego, że Jack miał smutek w oczach.

W końcu ruszyła się z miejsca, umyła twarz i zadzwoniła po Marię. Po paru minutach pokojówka była już przy niej.

- Na dzisiejszy wieczór będzie chyba pasować różowa muslinowa suknia - powiedziała, otwierając wielką szafę.

- Tak, dziękuję ci, Mario.

- Muszę pani powiedzieć, lady Saro - zaczęła, kładąc suknię na łóżku - że zginęła pani szafirowa bransoletka.

- Nie przejmuj się - rzekła Sara, odchylając baldachim. - Na pewno się znajdzie. Na wsi przy takich okazjach różne rzeczy gdzieś się zapodziejają.

- Racja, jasnie panienko - odparła Maria, podając jej pończochy.

Fitz polecił świętowanie wielkiego zwycięstwa Wellingtona, toteż niebawem pełno było w kuchni różnych różności. Ubito kurczaki, indyki, gęsi, bażanty. Szykowano baraninę, szynkę, homary. Trzy rodzaje zup, mnóstwo jarzyn z tutejszego warzywnika, ponadto sałata, duszone ostrygi, żurawina, napój cytrynowy, nektar z pigwy i nieprzebrana ilość świeżych owoców.

Przy obiedzie rozmawiano tylko o Vitorii. Sarze apetyt nie dopisywał, miała zatem więcej czasu na rozmowę z siedzącymi obok niej gośćmi, których opinii była ciekawa. W większości owo zgromadzenie składało się z ludzi nie budzących sympatii. Jak to określił Jack? Ambicja, zadufanie i chęć sięgania coraz wyżej... To właśnie demonstrowali tego wieczoru. Najniższego lotu ambicje, puste przechwałki, władza za wszelką cenę.

Państwo Lavesly siedzieli po przeciwnej stronie stołu. Niedawno wyniesieni do godności, z tym większym zapałem dążyli do osiągnięcia wyższego szczebla w hierarchii społecznej, Wdowa Formantle siedziała między synem a synową; trzymała ich krótko, twardą ręką co kładło się cieniem na ich życiu. Danversowie czarowali i prawili dusery wszystkim wokół, wiedzieli bowiem doskonale, że towarzystwo traktuje ich zaledwie jako dworskich żartownisiów; zabawnych, ale ponadto niegodnych uwagi.

Sara spojrzała przez stół na Marcusa Templetona: krzepki, ogorzały, mocno już podpity. Pomyślała, zmrużywszy powieki, że to musi być bardzo niebezpieczny człowiek. Nie ufała ludziom, którzy gonią bezlitośnie swoje konie, a podobno przynajmniej dwa padły już pod jego siodłem. Nic dziwnego, że wicehrabia Lyleton, ilekroć obaj rozmawiali, patrzył na niego złym okiem i w miarę możliwości unikał jego towarzystwa. Też czuł, że to groźny osobnik.

Lyleton. Sara popatrzyła na niego - siedział obok niej, pałaszując z zapałem suflet i tłumacząc siedzącej po jego lewej stronie Corliss Braithwaite, dlaczego Nugee albo przynajmniej Stultz powinni dokończyć zmian w brytyjskich mundurach. Wicehrabia. Jej przyszły mąż.

Zadrzała. Próbowwała przywyknąć do tej myśli i pogodzić z losem.

Uniosła głowę, słysząc dobrze znany śmiech. Charlotte z błyskiem w oczach słuchała, co mąż szepcze jej do ucha. Ona zawsze promieniała radością, i zdaniem Sary główną przyczyną było nie tyle jej przyszłe macierzyństwo, ile szczęście, jakiego zaznała u boku Phineasa, i to od pierwszego z nim spotkania.

Charlotte pozwolono pójść za głosem serca. Czy to rzecz niegodna pragnąć tego samego dla siebie? Westchnęła ciężko. Postanowiła to sobie przemyśleć, ale właśnie ojciec spiorunował ją wzrokiem, więc szybko

wszczęła rozmowę z wicehrabią. Zapytała go, ile łańcuszków powinna nosić piękność z Bond Street, by zasłużyć sobie na miano eleganki. Lyleton ochoczo pospieszył z wyjaśnieniami.

Parę godzin później padła w salonie propozycja, by urządzić piknik w pobliżu starożytnych rzymskich ruin. Młodzi przyjęli z zachwytem ten projekt, postanowiono zatem wprowadzić go w czyn. Starsi uśmiechali się pobłażliwie.

- Powozy będą ozdobione wstążkami i girlandami - oświadczyła panna Fanny Neville, jedna z inicjatorek tego przedsięwzięcia.

- Napiszę z tej okazji odę o Vitorii - zadeklarował się pan Davis.

- Przebóg - wyrzekł z niesmakiem lord Marbles. - Jeżeli tak pan wielbi dokonania Wellingtona, to niech pan da mu z siebie coś więcej niż tę swoją napuszoną poezję.

- Nie jestem żołnierzem - odparował ten wyniośle.

- To nie ulega kwestii rzekł jego ojciec z ironicznym uśmiechem.

- A jutro będziemy pić tylko wino portugalskie - ciągnęła panna Neville.

Lorda Lyletona musieli rodzice parokrotnie upomnieć, zanim dotarło do niego, że to on winien zająć się powozami i kosztami z żywnością na jutrzejszy piknik. Na szczęście jego praca ograniczyła się do jednego słowa pod adresem Jacka, który zapewnił go, że dopilnuje wszystkich szczegółów; Fitz zatem wrócił do kart, nie zaprzatając sobie myśli ekskursją do ruin.

- Pani kolej, lady Saro - poinformował swą partnerkę.

Okazało się niebawem, że gra świetnie im idzie. Sara stwierdziła z niejaką przykrością, że w wiście stanowią dobraną parę.

- Doskonale - rzekł lord Danvers z podziwem podczas liczenia punktów; Fitz zaczął już ponownie tasować karty.

- Gdybym nawet nic o was nie wiedziała - oświadczyła lady Danvers, mrugnawszy porozumiewawczo - gotowa byłabym przysiąc, że jesteście sobie przeznaczeni.

Karty wypadły z rąk wicehrabiego i rozsypały się po całym stoliku, na co państwo Danversowie roześmiali się serdecznie.

- Według mnie - rzekła Sara, pomagając Lyletonowi zbierać karty, co czyniła pochyliwszy głowę, by nikt nie dostrzegł rumieńca na jej twarzy - z tak wytrawnym graczem jak wicehrabia nikt nie może grać źle. Naprawi każdy błąd partnera.

- Z pani słów można by wnosić, lady Saro, że popełniła pani tego wieczoru jakiś błąd, co nie jest zgodne z prawdą. - Uśmiechnął się. - Gdyby pani grała u Watiera, pozbawiłaby pani fortuny niejednego dżentelmena. Rawlins! - krzyknął. - Podaj wino!

Po następnej rozgrywce Danversowie oznajmili, że jak na jeden wieczór są aż nadto splukani. Odeszli od stolika i przyłączyli się do państwa Lavesly, którzy opowiadali właśnie lordowi Pontifaksowi, jak to w Londynie podejmowali obiadem Wellingtona, na co Sara i wicehrabia wymienili ukradkiem spojrzenia.

- Często bywa pan w teatrze, lordzie? - zapytała w końcu Sara, wiedząc, że większość gości obserwuje ich pilnie.

- Od czasu do czasu -; odparł. - Przyznam się, że nie lubię Keana. Miota się na scenie jak potępieniec. Nie mam pojęcia, co niewiasty w nim widzą. Toż to prawie karzeł.

Sara stłumiła uśmiech.

- Przypuszczam, że jego pasja aktorska, nie zaś uroda jest przedmiotem podziwu płci nadobnej.

- Niewątpliwie, ale głowę daję, że nie rozumieją słowa z tego, co on mówi. Dlaczego zawsze gra w tych przeklętych szekspirowskich sztukach, w których próżno szukać sensu, a kończą się zawsze śmiercią bądź zagładą? Na komedie chodziłbym co wieczór. Albo na walkę bokserów. Prawdziwie wesoły wieczór spędziłem na jednym z przedstawień w Jackson's Saloon.

- Istotnie, walki bokserów są ostatnio niezwykle popularne - zgodziła się Sara z poważną miną, choć kąciki ust lekko jej drżały. - A na opery pan chodzi?

- Prawdę mówiąc nie po to, aby słuchać śpiewu.

Wybuchła śmiechem, nim zdołała się powstrzymać.

- A lubi pan taniec?

- O, to już jest znacznie przyjemniejsze - zapewnił i uśmiechnął się czarująco. - Nigdy nie widziałem tylu ładnych dziewcząt w jednym miejscu. - Uśmiech zamarł na jego wargach, gdy przypomniał sobie, na jakie kłopoty naraziła go jedna z nich.

- Och, moja Diana, moja dziewczyna bogini!

Sara zdławiła jęk, gdy odwróciwszy się stwierdziła, że Beaumont Davis zajmuje trzecie krzesło.

- Witam pana - rzekła.

- Ona mówi! - krzyknął pan Davis. Lord Lyleton spojrzał nań z nieskrywanym zdumieniem. - „... czyjaż to dłoń koronuje głowę kwiatami...?”

- Crashaw - wyjaśniła Sara wicehrabiemu.

- Przez cały wieczór nie odrywałem od pani wzroku - oznajmił pan Davis. - Poza panią nikogo nie widziałem. Pani gracia, pani uśmiech olśniewały moje serce niczym spadające z nieba gwiazdy.

- Czy pana zamroczyło? - zapytał lord Lyleton.

Pan Davis unióśł głowę poetycznym gestem.

- Jest pan barbarzyńcą, sir.

- A ty, Davis, piszczącym świstunem - powiedział ktoś.

Wszyscy troje spojrzeli w tamtym kierunku.

Sara zdławiła kolejny jęk na widok jeszcze jednego interlokutora, a był nim lord Cyril Pontifax zajmujący czwarte krzesło. Znalazła się w pułapce.

- Czy pozwoli mi pani odegrać rolę błędnego rycerza i uwolnić panią, droga lady Saro, od tego mordercy poezji?

- Każdy, kto wywyższa się potępianiem innych, sam się tylko pograża i niegodzien jest szacunku - odparła stanowczo.

- Herbata, zgodnie z pani życzeniem, lady Saro.

Uniosła wzrok - Jack stawił przed nią filiżankę.

- Dziękuję, Rawlins. -- Była szczerze zdziwiona, lecz nie okazała tego po sobie. Nie prosiła o herbatę.

- Czy mam coś panom podać?

Panowie podziękowali, a Jack podszedł do innych gości. Sara sączyła herbatę i myślała smętnie, że pragnęłaby teraz przebywać w innym towarzystwie.

- Proszę mi wierzyć, lady Saro, że w żadnej mierze nie chciałem pani urazić - rzekł lord Pontifax. - Żywiłem jednakowoż przekonanie, że tylko ja potrafię docenić wartości, jakie pani sobą przedstawia, i pragnąłem mieć możliwość zapewnienia pani o mojej najgłębszej rewerencji.

- Lady Sara nie życzy sobie rewerencji barbarzyńcy - oświadczył pan Davis. - Ma jednak zbyt wrażliwą duszę i zbyt czułe serce, by dać odpór pańskim wyznaniom.

Wicehrabia i Sara wymienili spojrzenia. Myśląc o tym samym, uśmiechnęli się ledwie zauważalnie: tyle złości i gadania po próżnicy! Gdybyż zalotnicy wiedzieli, że wszystko to tylko przeciw nim się obraca.

- Lady Sara marzy teraz zapewne o jednym - zaczął Lyleton - a mianowicie o godnych przeciwnikach do gry w wista.

- To zniesławienie! - wykrzyknął pan Davis.

- Och, Fitz, nie znasz tak dobrze jak ja duszy niewieściej - poinformował uprzejmie wicehrabiego lord Pontifax.

- Czy ból głowy minął pani, lady Saro?

Znowu Jack stał u jej boku z wyrazem zatroskania na twarzy i lekkim błyskiem kpiny w szarych oczach. Ból głowy? Ależ szatan z niego! I król nad króle wśród innych!

- Raczej się zwiększył - odparła.

- Może przydałby się odpoczynek wielmożnej pani - doradził z powagą. - Zbyt wiele tu światła, a rozmowy mogą tylko pogorszyć pani samopoczucie.

- Masz rację, dziękuję - rzekła Sara wstając, a trzej panowie zerwali się w pośpiechu z miejsc. - Najlepiej będzie, gdy udam się do swego pokoju.

- Słodka Heleno, umiłowana Klio, czy jest pani chora? - wykrzyknął pan Davis. - Natychmiast posłę po lekarza!

- To całkiem zbędne.

- Służę ramieniem, pomogę pani wejść na górę - podskoczył lord Pontifax, a pan Davis obrzucił go wściekłym spojrzeniem.

- Dziękuję, nie trzeba - powiedziała Sara z lekką przerażoną, chwytając Jacka za ramię. - Nie będę zakłócać panom wieczoru. Rawlins mnie odprowadzi. Doprawdy nic mi nie jest.

- Tuszę, iż rano będzie się pani lepiej czuła - rzekł Fitz z nutą zazdrości w głosie. Szkoda, że gospodarz nie może się wykręcić bólem głowy i uciec stąd jak najdalej, pomyślał.

- Dziękuję, lordzie, z całą pewnością.

Jack wyprowadził ją z pokoju. Zatrzymali się w hallu, pustym o tej porze.

- Bóg mi cię zesłał, Jack - powiedziała ciepło Sara.

- „Zrobiłem swoje; mogę teraz odlecieć, mogę pobiec w dal”.

Uśmiechnęła się. Znała te strofy Milтона.

- „Sługa boży zwyciężył w tej bitwie”. Zyskałeś wprawę w ratowaniu mnie z opresji - dodała.

- Dziękuję, wielmożna pani. - Radość rozjaśniła jego szare oczy. - Cała przyjemność po mojej stronie. - U stóp schodów Jack, acz niechętnie, puścił jej ramię.

Obejrzała się z wrogością na wiodące do salonu drzwi.

- Nigdy w życiu nie byłam tak osaczona przez chętnych do ożenku zalotników. Ucieczka do Cyganów i życie w ich taborze to byłby zaiste dobry pomysł.

- Ośmielę się powiedzieć, lady Saro, że pomysł ów ma pewną szansę. Niewiasta o takich włosach - dopowiedział na jej pytające spojrzenie - nie mogłaby zamieszkać w ich obozowisku.

- Ufarbowałabym je.

- A niebieskie oczy?

- Mógłby to być skutek grzechu matki.

Kamerdyner z trudem powstrzymał się od śmiechu.

- A piegi?

- Jeśli będę przebywała długo na słońcu, to narobi się ich tyle, że się ze sobą połączą, dzięki czemu zyskam śniadą cerę, nie uważasz?

Uśmiechnął się tklawie.

- Uważam...

- Panie Rawlins - pani Clarke wpadła zniecka do hallu. - Ten francuski kucharz znowu na coś się piekli, a ja nie rozumiem, o co mu chodzi. Musi mi pan pomóc.

Jack przybrał zwykłą sobie chłodną postawę.

- Oczywiście, proszę pani. Dobranoc, lady Saro.

- Dobranoc, Jack - rzekła Sara, marząc skrycie, by jeszcze raz dziś wieczór się uśmiechnął, ale już go nie było.

8

Wyrzniętem go prawą ręką w szczękę - mówił Henry Jenkins ze zrozumiałą dumą - lewą w żebra, a potem silny cios w podbródek, i szczeniak padł na ziemię jak kamień. Długo musiałem go cucić.

- Zuch z ciebie, Henry - powiedziała Sara, gdy wjeżdżali na szczyt północnego wzniesienia. Charlisle rozciągało się w dole, błyszczało we wczesnoporannym słońcu. - To nauczy stajennego pana Templetona szacunku dla ludzi starszych i doświadczonych.

- Przynajmniej wobec mnie nie popełni tego samego błędu.

- Powinieneś mieć syna, Henry, przekazałbyś mu swe umiejętności i wiedzę.

- Myślę o tym, jaśnie panienko.

- Masz już kogoś na oku? - zapytała Sara z uśmiechem. - Jeśli tak, to kim jest ta szczęśliwa dziewczyna? No, zwier mi się.

- Lizzie Benton, główna pokojowa wicehrabiego. Wszystko na to wskazuje, że będzie dobrą gospodynią.

- I tylko dlatego ją lubisz?

- Och nie, wielmożna panienko. Ona całuje tak, że nogi się trzęsą pod człowiekiem.

- Henry! - wykrztusiła zmieszana Sara, ale zaraz roześmiała się serdecznie:

- Dzień dobry, lady Saro.

Był to John Rawlins. Brązowy płaszcz zarzucony miał na ramię. Tak była pochłonięta rozmową ze stajennym, że nie zauważyła, jak kamer-

dyner wychodzi z małego zagajnika. Stał teraz przed nią wysoki i dumny, lekki wietrzyk rozwiewał pasma jego ciemnych włosów, brązowa kamizelka podkreślała szerokie bary, słońce igrało na twarzy - i wydawało się jej, że stanowi nieodłączną część otaczającej ich przyrody.

- Dzień dobry, Rawlins - rzekła. - Czy może wracasz do Charlisle?

- Tak.

- Nie masz nic przeciwko temu, jeśli się do ciebie przyłączę?

- Skądże znowu, lady Saro.

Zanim zdołałyby zmienić zdanie, zeskokczyła z konia i podała cugle Jenkinsowi.

- Wrócę piechotą, Henry. Życzę ci szczęścia z panną Benton.

- Dziękuję, jasnie panienko - powiedziała i oddalił się kłusem.

Była sam na sam z Jackiem i przez chwilę nie wiedziała, co powiedzieć i jak się zachować. Ruszyli w stronę Charlisle.

- Mam nadzieję, że głowa już panią nie boli - rzekł.

- Póki znowu nie znajdę się w Charlisle - odparła. - Czy codziennie odbywasz poranne przechadzki?

- Tak, lady Saro - powiedział, gdy ramię przy ramieniu schodzili ze wzgórza. - Świat przyrody - sady, pola, lasy, zwierzęta - wydaje mi się zawsze bardziej realny niż ten wielki dom i moja praca. Natura daje człowiekowi niezbędną perspektywę.

- To prawda - przyznała Sara z zapałem. W tej kwestii bowiem również się zgadzali. - Ilekroć mam dość tego napuszonego towarzystwa i nie mogę już słuchać upomnień i nakazów rodziców, wychodzę z domu i oddycham świeżym powietrzem, przemierzam ogrody, podziwiam piękno tego świata, siadam wśród drzew - są takie prawdziwe... wtedy odżywam.

Jack zatrzymał się nagle i spojrzał na Sarę - jego szare oczy pełne były podziwu.

- Tak - powiedział tylko.

Policzki jej zabarwił lekki rumieniec. Schodziła ze wzgórza, Jack dotrzymywał jej kroku.

- Dzięki Billowi Regisowi - rzekła - zostałam kimś w rodzaju ogrodnika.

- Kim jest ten Bill Regis?

- To główny ogrodnik w Rolbrook, wiejskiej posiadłości Somertonów w Lincolnshire. W dziewczęcych latach, uciekając od guwernantki, spędzałam mnóstwo czasu poza domem, wtedy Bill przejmował nade mną pieczę i opowiadał mi o roślinach, ogrodnictwie i... życiu. Lubię grzebać w ziemi, czuć jej bogactwo między palcami. Ty też powinieneś lubić.

- Dlaczego powinienem?
- Masz ręce sposobne do ziemi. - Kiedy zwróciła uwagę na jego ręce? Kiedy i przy jakiej okazji przyszło jej na myśl, że są delikatne i silne? - Bo chyba bliższa by ci była funkcja ogrodnika niż kamerdynera - dodała szybko.

- Może i ma pani rację, lady Saro - rzekł.

Lubiła jego niski głos, który sprawiał, że dreszcz przebiegał jej po plecach.

- Możesz jeszcze zmienić zajęcie - zauważyła, chwytając z emocji haust powietrza. - Jeśli masz do tego smykałkę, szybko się nauczysz. Nie ma sensu wykonywać pracy, której się nie lubi.

- Mimo to nie zamierzam w najbliższej przyszłości zmieniać zawodu.

- Rozważ to sobie. Kiedyś zwiedzałam jeden z młynów mego ojca w Yorkshire. Nigdy nie zapomnę oczu tych robotników. Tyle w nich było smutku. W twoich oczach też go dostrzegam. Nie powinienes w nim trwać, Jack. Jesteś młody, inteligentny, zdolny. Porzuć tę pracę.

- Czy zawsze przejmuję się pani stanem ducha pospolitej służby?

- Nie poniżaj siebie ani ludzi, z którymi pracujesz - rzekła ze złością. - Nie jesteś nikim „pospolitym”. Amerykańska Deklaracja Niepodległości zawiera paragraf, który utkwiał mi w pamięci, brzmi on mniej więcej tak:... „wszyscy ludzie są sobie równi, Stwórca obdarzył ich niezbywalnym prawem do życia, wolności i szczęścia”. Wszak jesteś człowiekiem. Zatem równy wszystkim. I masz niezbywalne prawo do szczęścia.

- Czy pani również ma niezbywalne prawo do szczęścia? - spytał.

- Amerykanie mieli na myśli mężczyzn...

- Ciekawe, roztacza pani przede mną wizję szczęścia, ale nie pomyśli o sobie samej, choć jako żywo w pełni pani na nie zasługuje.

- Doprawdy? Ja bym tego nie powiedziała. Tak się złożyło - dodała patrząc gdzieś w dal - że mało miałam możliwości i mało powodów, aby zacząć się nad tym zastanawiać. Sądzę natomiast, że za dużo jest we mnie egoizmu: mam tak wiele, a ciągle tęsknię do czegoś więcej.

- To nie jest egoizm, lady Saro. To tylko zdrowy rozsądek chroniący panią w tłumie szaleńców.

- Masz na myśli towarzystwo?

- Tak, lady Saro, w tłumie zupełnych szaleńców.

Zachichotała.

- To brzmi jak herezja, ale ja już od dawna za takich ich uważam. Zrozumiałam bowiem, że przedkładają tani blichtr nad dobroć i życzliwość.

- Trudno zachować zdrowego ducha w domu wariatów, którzy twierdzą, że to oni właśnie są zdrowi.

- Masz rację. Myślę czasem, czy warto toczyć walkę. Znacznie łatwiej byłoby dopasować się do nich.

- Może potrzebny pani czas na zastanowienie się nad własnym losem i obranie właściwej, wiodącej ku szczęściu drogi?

Zadumała się nad jego słowami. Doszli tymczasem do patio od północnej strony domu. Miała właśnie powiedzieć, że nie może dążyć do czegoś, skoro nie wie, gdzie tego czegoś szukać, lecz inna fraza cisnęła się jej na usta:

- „Wolność albo śmierć” - mruknęła i uśmiechnęła się do Jacka. - Kolejny amerykański radykalizm. Może powinnam tam wyemigrować?

- Ten radykalizm nie jest zły, lady Saro, choć uważam, że Amerykańska Deklaracja Niepodległości ma pewną skazę w bardzo istotnej dziedzinie: ludzie są równi przed Bogiem, lecz niestety nie na tej ziemi.

- Ale...

- Proszę rozważyć, lady Saro - powiedział, patrząc z powagą w jej oczy. - Czy mleczarka może poślubić królewicza? Czy szewc może poślubić córkę księcia? Nie. I tu kończy się równość.

Potrząsnęła głową w zadumie. Ach, jaki ten John Rawlins jest mądry i doświadczony!

- Masz rację, oczywiście. Nawet to moje marne życie świadczy o tym, że liczą się tylko pieniądze i pozycja.

- Nie godzę się, by tak pani siebie traktowała - rzekł z posępną miną. - O żadnym marnym życiu nie może być mowy.

Zerknęła na niego ze zdumieniem.

- Jesteś nareszcie, Rawlins, ty cudowny chłopaku!

Obejrzeni się - wdzięcznym krokiem zmierzała ku nim lady Abigail Winster, oczy miała utkwione w kamerdynerze, ciało jej spowijał muślinowy poranny strój, który uwydatniał zgrabną figurę. Gdy zbliżyła się, odporny na pokusy Jack wymownym gestem narzucił płaszcz na ramiona.

- Nie przyniosłeś mi rano herbaty, niesforny chłopcze - upomniała go surowo lady Winster.

Sara zacisnęła usta.

- Przepraszam, wielmożna pani. Miałem inne obowiązki - odparł Jack. - Prosiłem Earnshawa, by panią obsłużył. Czyżby się nie wywiązał?

- Nie, nic mu nie mogę zarzucić, tyle że nie ma tego wdzięku co ty. - Te ostatnie słowa wypowiedziała z lubieżnym błyskiem w oczach.

- Przykro mi, wielmożna pani. Proszę wybaczyć, ale muszę teraz dokonać inspekcji piwnicy z winem.

- Boże, jaki z niego wspaniały mężczyzna - powiedziała lady Winster. - Będę go miała, i to wkrótce.

- Lady Winster! - Sara była przerażona, aż zabrakło jej tchu.

Lady Winster uśmiechnęła się ironicznie.

- Jesteś już na tyle dorosła, że powinnaś znać życie, moja panno. Jeśli dobrze się orientuję w tych sprawach, a śmiem twierdzić, że tak, to ci powiem, iż przez łóżę tego chłopaka przeszła połowa niewiast ze śmietanki towarzyskiej.

- Moim zdaniem błędnie pani ocenia charakter Rawlinsa.

- Ja nie mówię o jego charakterze, tylko o jego męskim wdzięku i wrażeniu, jakie wywiera na płci nadobnej. Ty też jesteś pod jego urokiem, prawda?

Policzki Sary zabarwił rumieniec.

- Rawlins jest bardzo przystojny, nie przeczę. Ale na myśl by mi nawet nie przyszło...

- Kiedy wyjdiesz za mąż, pozbędziesz się tego skrepowania, możesz mi wierzyć. - Lady Winster ruszyła w kierunku, w którym oddalił się Jack.

Sara, wstrząśnięta do głębi, odprowadzała ją wzrokiem. Lady Winster miała zamiar uwieść Rawlinsa! Nie sądziła, by to było możliwe, przecież tak nie cierpiał ich sfery. Ale był mężczyzną, a lady Winster odznaczała się urodą i determinacją w dążeniu do celu. Czy zdoła jej się oprzeć?

- Co za okropność! - powiedziała do siebie, z trudem łapiąc oddech. Tylko dlaczego tak ją to wzburzyło i dlaczego poczuła ból w sercu, wyobrażając sobie Rawlinsa w ramionach innej kobiety - tego nie wiedziała i nie chciała wiedzieć.

- Panie Rawlins, za mało wiktuałów! - zawołała pani Clarke, udręczona przygotowaniami. Lokaje krążyli między hallem a stojącymi na podjeździe powozami.

- Wręcz przeciwnie, pani Clarke, jest tego aż nadto - zapewnił ją Jack. - Byłem na tyle przezorny, że poleciłem, aby kucharze przygotowali raczej więcej niż mniej. Dodatkowy koszt jest już na zewnątrz.

- Chwała Bogu - gospodyni odetchnęła z ulgą.

Piknik w rzymskiej willi wypadł wspaniale. Ci, którzy chcieli zwiedzać ruiny, podziwiali je, wędrując między murami. Ci, którzy woleli odpoczywać w cieniu drzew, odpoczywali, a Jack i czterej lokaje spełniali każdą ich zachciankę.

Tylko dwie osoby na tym pikniku były nieszczęśliwe: Sara i Fitz. Sara liczyła na to, że podczas tej wycieczki będzie miała możliwość rozmyślenia o wolności i całym swoim życiu. Zamiast tego od początku do końca dręczyli ją pan Davis i lord Pontifax - wzmagając jej tęsknotę do obydwu paragrafów Amerykańskiej Deklaracji - a także książe i księżna Somerton, którzy przy każdej okazji gromili córkę za to, że sprzyja tym dwóm okropnym typom, ignorując wicehrabiego.

Wicehrabiego z kolei nękali jego rodzice, czyniąc mu wyrzuty, że nie dość się stara, oraz sir Marcus Templeton, który nie szczędził mu kąśliwych uwag na temat jego stroju i jeździeckich umiejętności. Wdowa Formantle domagała się, aby był jej partnerem w tańcu, a panna Fanny Neville usiłowała z nim flirtować. Jakież to był męczący dzień!

Jedzenie natomiast - od łososia na zimno po ciasto z gruszkami - było bez zarzutu.

Gdy przed wieczorem goście wrócili do Charlisle, narzekali tylko na jedno: na upał. Jazda do rzymskiej willi była nad wyraz przyjemna, lecz już wczesnym popołudniem bryza zanikła, a słońce paliło niemiłosiernie. Po powrocie schronili się z rozkoszą w chłodnym salonie i wołali o lemoniadę, chcieli czym prędzej zażyć kąpieli i zmienić odzież. Przez następne dwie godziny pokojówki i lokaje biegali bez przerwy tam i z powrotem.

Niestety męka Fitz'a na tym się nie skończyła. Ledwo zdążył się wykapać, rodzice wtargnęli do jego pokoju i przez kolejne pół godziny, gdy lokaj za chińskim parawanem pomagał mu się ubierać, prawili mu kazania. Kładli mu do głowy, iż z pewnością lady Sara jest niepomiernie zdziwiona, dlaczego Fitz jej nie emabluje. Wprawdzie Somertonowie odznaczają się spokojnym usposobieniem, ale, jak ostrzegli go rodzice, na pewno dalszej zwłoki nie będą tolerować. Po czym, nie szczędząc barwnych słów, oznajmili mu, że wszyscy domownicy czekają z zapartym tchem na ogłoszenie jego zaręczyn z lady Sarą. Przypomnieli mu, że kontrakt ślubny został już podpisany, a on ma obowiązek honorowania go. Nastawali, by oświadczył się niezwłocznie, on zaś, czując, że pętla zaciska się na jego szyi, zrezygnował z dalszego oporu i z westchnieniem rezygnacji wyraził zgodę.

Dziesięć minut po tej kapitulacji, gdy Maria Jenkins weszła do apartamentu swojej pani, ujrzała wicehrabiego. Stał z pobladłą, by nie rzec: pozieleniałą twarzą, ubrany w jednorzędowy, lawendowy surdut i białe, jedwabne, luźne pantalone. Czarne włosy miał zaczesane do tyłu - nie starczyło czasu na wykonanie kunsztownej fryzury. Czarne, szeroko rozwarte oczy wyrażały przerażenie.

- Chciałbym zamienić słowo z lady Sarą - wydusił z siebie.
- Oczywiście, wielmożny panie - odparła Maria; orientowała się doskonale, co oznacza ta wizyta.

Zaprowadziła go do małego saloniku- piękny pokój utrzymany w bladoniebieskiej tonacji, oświetlony teraz promieniami słońca - i poszła po swoją panią. Sara, podobnie jak jej przyszły narzeczony, guzdrała się przed lustrem, jak mogła najdłużej. Słyszała jego głos. Wiedziała, że czeka na nią w saloniku.

- Wicehrabia, jaśnie panienko - zaanonsowała Maria.
- Wiem.
- Co panienka zamierza?
- Nie wiem. - Sara zadrżała, westchnęła, a gdy Maria pocieszającym gestem ucisnęła jej ramię, uśmiechnęła się do niej z wdzięcznością.

Weszła do saloniku i zamknęła za sobą drzwi. Dłonie miała zimne i wilgotne.

- Witam, lordzie.

Fitz odwrócił się od okna, w oczach miał paniczny lęk.

- W-w-witam, lady Saro.

Poczuła przypływ sympatii do niego. Biedaczysko. Znalazł się w tym przykrym położeniu wbrew swej woli, tak jak i ona.

- Niech pan spocznie.
- Dziękuję. - Począł, aż Sara zajmie miejsce na bladoniebieskiej kanapie, po czym opadł na fotel naprzeciwko niej. Po chwili zerwał się na równe nogi. Wyglądało na to, że cały drży. Chrząknął. Znowu chrząknął.

- Proszę mi pozwolić wyjawić, lady Saro, że bardzo panią uwielbiam i... no... mam nadzieję, że przyjmie pani moje... oświadczyzny. - Wpatrywał się w nią rozpaczliwym wzrokiem. - Czy uczyni mi pani ten zaszczyt i zostanie moją żoną?

Sara siedziała bez słowa i bez ruchu. Oto nastąpiła ta chwila, a jej myśli skupiały się tylko na jednej frazie: chcę być szczęśliwa. Może i nie wiedziała, gdzie to szczęście znajdzie i czy w ogóle znajdzie, wiedziała natomiast, gdzie spotka ją nieszczęście, jeśli natychmiast nie podejmie kroków, aby mu zapobiec.

Stojąc jakby na rozdrożu swego życia, patrzyła Fitzowi prosto w oczy.

- Oczekuję, że zachowa się pan wobec mnie po rycersku. Oczekuję, że odpowie mi pan szczerze na moje pytanie. Czy naprawdę chce mnie pan poślubić?

- Byłby to dla mnie wielki zaszczyt...

- Proszę już nie pleść andronów, jeśli łaska. Chodzi o naszą przyszłość. Uważam, że to małżeństwo unieszczęśliwiłoby nas oboje.

Fitz patrzył na nią tępym wzrokiem, z szeroko otwartymi ustami, a po chwili z jego piersi wydobyło się pełne ulgi westchnienie.

- Och, ja też tak uważam. W ciągu dwóch tygodni zamordowalibyśmy się w naszym małżeńskim łóżu.

- No właśnie. Wiedziałam, że mamy identyczny pogląd na tę sprawę. Zastanówmy się, jak z tego wybrnąć. Moi rodzice są nieustępliwi.

- Moi też okrutnie nalegają. - Milczał chwilę. - Być może - zaczął i znowu pozieleniał na twarzy - gdybyśmy utworzyli wspólny front i oboje oświadczyli, że nie chcemy tego małżeństwa, to daliby nam spokój i wycofali się z tego planu.

Po chwili zastanowienia Sara potrząsnęła głową.

- Pana rodzice może by się i wycofali, ale moi mają ważki powód, by nie rezygnować. Ponadto w grę wchodzi pieniądze. Pan jest niezależny, ja nie. Jeśli nie zgodzę się pana poślubić, to przypuszczam, że rodzice pogrążą mnie w kompletnym ubóstwie na tak długo, póki nie zmienię zdania.

- Nie pomyślałem o tym - rzekł ponuro, siadając ponownie w fotelu. - Ja, rzecz jasna, mam pieniądze. A fortuna Laveslych to istotnie łakomy kąsek. Co zatem poczniemy?

Sara wstała i z założonymi do tyłu rękami zaczęła przemierzać pokój tam i z powrotem.

- Gdyby nie podpisali tego małżeńskiego kontraktu!

- Koniec z nami - powiedział, ująwszy głowę obiema dłońmi.

- Nie! Ja się nie poddam. Nie pozwolę, by mnie unieszczęśliwili, choć Bóg mi świadkiem, że bardzo boję się im narazić. Musi być jakieś wyjście... - Zatrzymała się nagle i popatrzyła na wicehrabiego, najwyraźniej zaświtała jej jakaś myśl. - Pana rodzice okrutnie na to małżeństwo nalegają jak pan powiedział. A gdyby nie nalegali?

Spojrzał na nią nie kryjąc zdumienia.

- Ale przez nasze małżeństwo wiele zyskują... Cóż mogłoby ich odwieść od tego planu?

- Musimy doprowadzić do tego, żeby nic nie zyskali. Musimy doprowadzić do tego, żeby odrzucili definitywnie wszelką możliwość zawarcia przez nas ślubu.

- W jaki sposób?

Tym razem głos Sary nie brzmiał tak pewnie.

- Jeszcze nie wiem. Niech się chwilę zastanowię. - W dalszym ciągu przemierzała pokój w tę i z powrotem, i nagle, tuż przed Fitzem,

zatrzymała się. - Jasna sprawa! Dopuścimy się pewnej machinacji. Musimy oboje sprawić, aby nasi rodzice poczuli do nas obrzydzenie. Pan zrazi do siebie moich rodziców, ja - pańskich, dzięki czemu jedynym ich marzeniem będzie, byśmy się już nigdy więcej nie spotkali.

Fitzwilliam Hornsby, ósmy wicehrabia Lyleton, patrzył na Sarę Thorndike z niekłamany podziwem.

- Znakomity pomysł!

- Dziękuję - rzekła, uśmiechając się i dygając wdzięcznie. - A więc tak: wszyscy muszą się dowiedzieć, że złożył mi pan dziś wizytę. Będą oczekiwać ogłoszenia zaręczyn. Sprawimy im tę przyjemność.

- Co? Przecież mówiła pani...

- To będą tylko tymczasowe zaręczyny, zapewniam cię, wielmożny panie. Musimy uczynić zadość woli rodziców, by później mogli rozpaczać, że do tego doszło.

- Tak, istotnie. Oddaję się całkowicie w pani ręce. Co dalej?

Sara przygryzła dolną wargę, zafrasowała się, rozmyślając o swoim, jakże lekkomyślnie podjętym planie. Nigdy dotąd otwarcie nie sprzeciwiała się woli rodziców. I oto teraz uknuła spisek. Gdyby się dowiedzieli... Coś w duszy szeptało Sarze, że owa zdrada pachnie gilotyną. Nabrała w płuca haust powietrza. Wolność albo śmierć. Dokonała już wyboru.

- Obawiam się, że ta nasza kampania dość długo będzie trwała. Sporo czasu upłynie, nim nasi rodzice zmienią zdanie. Jest pan zdecydowany mnie wspierać?

- Aż do końca! - oświadczył skwapliwie. Wstał i uściśnął jej dłoń.

- Nawet wtedy, jeśli, co jest raczej nieuniknione, wyjdziemy na zupełnych głupców w oczach ludzi z naszej sfery?

- Wobec tak przerażającej perspektywy jak nasze małżeństwo nic nie ma znaczenia - zapewnił ją. - Nawet jeśli przyjdzie mi wjechać nago na krowie do jadalni. Od czego zaczynamy?

- Na razie niech krowa stoi sobie w oborze - rzekła z uśmiechem. - Lubi pan czasem się upić?

Całą godzinę przed kolacją spędzili na przygotowaniu planu działania. Należało dokładnie i mądrze opracować każdy szczegół, by odnieść wielkie zwycięstwo. A czy będzie wielkie, to się dopiero miało okazać.

Gdy zegar na gzymsie kominka wybił godzinę, uszczęśliwiony Fitz sprowadził Sarę na dół; z ich twarzy biła powaga. Minął kwadrans, zanim goście zgromadzili się w jadalni i zasiedli do stołu.

- Mam już zacząć podawać, wielmożny panie? - zapytał Jack Fitz.

- Jeszcze nie - odparł wicehrabia, wstając z krzesła. - Szanowni państwo - zaczął - chciałbym złożyć oświadczenie. - W jadalni zaległa

cisza. Wszystkie oczy zwróciły się ku niemu. I tylko obecność Sary, jej spokój, sprawiły, że Fitz zebrał się na odwagę i ogłosił zaręczyny.

W jadalni wybuchł gwar, wszyscy zgodnym chórem składali im gratulacje. Państwo Lavesly promienieli radością; księżę i księżna Somerton odetchnęły z ulgą. Lordowi Pontifax nieco zrzedła mina, podobnie jak i panu Davisowi. Corliss Braithwaite zbladła - nie ruszyła się z miejsca. Ci, co siedzieli najbliżej narzeczonych, prześcigali się w zapewnieniach, iż od początku wiedzieli, że do tego dojdzie i że stanowią najbardziej na świecie dobraną parę. Jack odwrócił się po coś do kredensu.

Sara i Fitz - w niemym poparciu chwycili się pod stołem za ręce - jakoś to wszystko znieśli, a nawet udało im się przywołać na twarz miły uśmiech. Mówili niewiele. Wyreczęli ich w tym wszyscy obecni.

W końcu Fitz skinął na lokajów, by zaczęli roznosić potrawy. Narzeczeni jedli bardzo mało. Fitz za to dużo pił. Gdy po kolacji panowie przeszli do biblioteki, pił tam również tego; śmiał się na widok zdziwionej miny Jacka, któremu kazał przynieść więcej portwajnu.

W salonie, gdzie zebrały się panie, Sara, wychyliwszy ostatni kieliszek wina, zamierzała właśnie podejść do lady Lavesly, gdy wszedł Jack z tacą pełną kieliszków szampana. Sara uznała, że szampan bardzo jej się przyda. Skinęła na kamerdynera - zbliżył się do niej, chłodny, obojętny.

- Czy wolno mi złożyć wielmożnej pani gratulacje z okazji rychłego ślubu? - zapytał.

Sara wzięła kieliszek z tacy.

- Nie bierz się jeszcze, Jack, za polerowanie weselnych sreber. - Łyknąwszy trochę szampana, udała się w kierunku lady Lavesly. - Och, moja przyszła teściowa! - krzyknęła z wymuszoną wesołością. - Panie raczą wybaczyć - zwróciła się do lady Danvers i lady Winster, właśnie składały hrabinie gratulacje. - Ale my tyle spraw mamy przecież do omówienia.

Panie chętnie się wycofały. Zmęczone już były setnie monologiem zachwyconej zaręczynami lady Lavesly. Podczas gdy one szukały bardziej interesujących osób do konwersacji, Sara, ku zdziwieniu hrabiny, objęła jej wtłoczoną w gorset kibić i zaczęła się z nią przechadzać po pokoju.

- Jak rozumiem, nasz ślub odbędzie się jesienią - rzekła bez żadnych wstępów.

- Tak. My i pani rodzice jesteśmy zdania...

- Wspaniale. Lato byłoby zbyt upalne, a zima zbyt mroźna. A teraz co do pani stroju weselnego. Proszę, hrabino, aby nie zaćmiła mnie pani w tym najważniejszym dla mnie dniu mojego życia.

- Słucham? - zapytała hrabina, sztywniejąc.

- Przecież wszyscy wiedzą, jak lubi pani podkreślać swoją figurę głęboko wyciętymi staniczkami, obcisłym muślinem, i wcale nie mam pani tego za złe, bo doprawdy jest pani zachwycającą niewiastą. W przeciwieństwie do mnie, niestety. Postąpiłaby pani okrutnie, gdyby na moim weselu przywdziała strój piękniejszy od mojego. No i błagam, proszę nie farbować włosów tuż przed tą datą. Sama pani wie, jak wspaniale wyglądają blond włosy świeżo ufarbowane na miedziany kolor.

- Ja farbuję włosy?! - wykrzyknęła hrabina. Czerwone plamy wystąpiły na jej policzkach. - Ja nie farbuję włosów!

Sara roześmiała się perliście.

- Ależ oczywiście, że pani farbuje. Żadna niewiasta po czterdziestce nie ma takich pięknych loków bez fachowej pomocy i specjalnych zabiegów. Aha, czy ma pani zamiar zaprosić na wesele swego brata?

- Naturalnie! On...

- O Boże! - Sara zacisnęła usta. - On jest z takiej sfery... no wie pani...

- Co proszę? - Lady Lavesly zatrzymała się nagle, twarz jej przybrała lodowaty wyraz.

- Niech się pani tak nie ekscytuje. Wiadomo, że baronet bez grosza przy duszy, z takimi w dodatku powiazaniami, nie może się zaliczać...

- Jak pani śmie...

W tym momencie panowie z Fitzem na czele wpadli hurmem do salonu. Ilość alkoholu, jaką Fitz wypił tego wieczoru, każdego zwałałaby z nóg, lecz on miał mocną głowę. Udawał zatem pijanego w sztok, gdy dopadł księcia Somertona i chwycił go w objęcia.

- Papo! - zawołał jowialnie i złożył pocałunek na jego policzku.

Książę Somerton, który nie cierpiał tego rodzaju demonstrowania uczuć, robił co mógł, aby uwolnić się z uścisku Fitz.

Ten jednak nie ustępował i przywarł do księcia z całych sił.

- Drogi książę - bełkotał. - Mój godny najwyższego szacunku przyszły teściu, musimy uczcić te rychłą unię naszych rodzin! Szampana! - wrzasnął, przekrzykując gwar rozmów. - Szampana, do kroćset! Niech się leje szampan! - Patrzył na księcia z pijackim uwielbieniem. - Mógłbym pić szampana od rana do nocy! - ogłosił Fitz.

- Doprawdy? - zapytał książę. Znany był z tego, że nie znosił alkoholu - uważał, że picie uchodzi pospółstwu, nie zaś dżentelmenom o wysmakowanych gustach i wrażliwym podniebieniu.

- Śmiem przypuszczać, że byłby pan znacznie weselszym człowiekiem - ciągnął Fitz - gdyby ta pańska wiedźmowata księżna nie trzymała pana tak krótko. Jest pan pantoflarzem, nieprawdaż?

Mocnym szarpnięciem książę uwolnił się wreszcie z uścisku.

- Pan jest pijany, sir!

- Ani odrobine! - zaprzeczył Fitz. - Może tylko trochę podpity. Najwyżej lekko podchmielony. Wie pan, widziałem kiedyś tę... jakże ona ma na imię? Ach tak, Arabella. Jest na czym oko zawiesić. Nie to co panna, z którą się właśnie zaręczyłem. - Chwilę się zastanawiał. - Z Shirley? Z Susan? Nie, nie, z Sarą. No cóż, parweniuszki nie mają wyboru. Czy jeśli ten pana syn, jak mu tam, Gerald, przeniesie się na łono Abrahama, to ja zostanę księciem?

Na szczęście Somertona monolog ów przerwali lokaje serwujący szampana. Nie widząc innego wyjścia, książę, acz z oporami, wychylił kieliszek.

- Przekona się pan, sir - burknął - że Sara będzie dla pana odpowiednią małżonką.

- O, nie wątpię, nie wątpię - rzekł Fitz, chwiejąc się na nogach. - Zachodzę tylko w głowę, do kogo nasza latorośl będzie podobna, no bo piegi - ciągnął, nie bacząc na rozeźlone spojrzenie księcia - są w bardzo złym tonie.

W tym momencie rozległ się przeraźliwy krzyk hrabiny Lavesly.

Oczy wszystkich zwróciły się na Sarę, która umyślnie lub przypadkowo wylała kieliszek szampana na obcisły stanik hrabiny. Wycierała teraz niezdarnie koronkową chusteczką wydatny biust lady Lavesly.

- Och, jakże mi przykro - przepraszała Sara raz za razem. - Ktoś musiał mnie potrącić. Bardzo...

- Zrobiła to pani umyślnie! - zagrzmiała hrabina.

- Ależ nie! - zapewniła ją Sara. - Skądże! Pokażę pani, jak to się stało.

- Proszę mnie nie dotykać! - krzyknęła hrabina, cofając się.

Tymczasem Fitz, niby to zupełnie zamroczony, zwałił się jak długi na podłogę.

W salonie zapanowała martwa cisza, wszyscy wpatrywali się zdumieni to w Fitza, to w urażoną hrabinę. Fitz chrapał w najlepsze.

- Rawlins! - wrzasnął hrabia Lavesly. - Zanieście natychmiast mego syna do jego pokoju! - Jack i dwaj lokaje błyskawicznie podskoczyli do Fitza. Goście podjęli rozmowę, komentując półgłosem najnowsze wydarzenia. Somertonowie, rzecz jasna, trzymali się na uboczu. Z odległego kąta pokoju wezwali Sarę i wścickłym półszepcetem nakazali jej, aby przez cały tydzień czołgała się u stóp hrabiny. Sara wyraziła zgodę, przeprasząc rodziców za swą niezręczność, a w duchu napawała się swoim drobnym zwycięstwem. Wieczór okazał się bardzo udany.

Jedyny błąd popełniła tuż przed północą, kiedy nie mogąc zasnąć, udała się do biblioteki po jakąś książkę. Nie miała pojęcia, że pan Beaumont Davis podążył tam za nią i objawił się jej dopiero wówczas, gdy zamknąwszy za sobą drzwi, oparł się o nie z błyskiem determinacji w oczach.

- Muszę z panią porozmawiać - powiedział natarczywie.
- Doprawdy? - zapytała speszona.
- Nie będzie pani tak okrutna i nie odmówi mi tej drobnej przysługi.

Westchnęła z rezygnacją. Nie, nie będzie tak okrutna. Nie dałoby się zresztą uniknąć tej rozmowy. Lepiej zatem mieć ją za sobą.

- Słucham więc - powiedziała.
- Jest pani aniołem dobroci! - wykrzyknął, po czym, wielce poruszony, jął przemierzać bibliotekę tam i z powrotem.
- Słucham pana.

Zadreptał wokół niej.

- Nie wolno pani wyjść za mąż za tego gbura, pijaka, tępaka i niegodziwca - oświadczył.

- Nie wolno mi? - zapytała ze skrywanym uśmiechem.

- Pani jest za dobra. I zbyt wrażliwa, by obdarzać względami takiego błazeńskiego pijaczynę. Lyleton nie jest pani godzien. Nie zasługuje na panią.

- Tak czy owak, wychodzę za niego.

- Nie! - wrzasnął, chwytając ją za ramiona. - Tak się nie stanie!

A ponieważ wszystko wskazywało na to, że pan Beaumont Davis zatracił się kompletnie i w uniesieniu zamierza ją pocałować, Sara szybko uwolniła się z jego ramion i cofnęła o krok.

- Pan się zapomina - rzekła surowym tonem.

- Jak może być inaczej, skoro jestem tak blisko bogini? - zawołał pan Davis, padając przed nią na kolana, o czym zresztą od dawna marzył. - Wyzwała pani we mnie uczucia, których nie sposób zdławić, słowa, które muszę wypowiedzieć, pragnienia, przed którymi nie mogę się obronić. Jesteś moją muzą, moim światłem, moją Arkadią. Nie odtrącaj mnie, błagam! Zostań moją żoną, Saro, i zabiorę cię stąd, od tych niegodziwców, którzy nie cenią ciebie tak, jak na to zasługujesz.

- Bardzo pan miły - rzekła spokojnie Sara. - Cenię sobie wysoko pańską łaskawość, ale pańska prośba jest niemożliwa do spełnienia. Nie mogę pana poślubić.

- Więzy rodzinne i towarzyskie nie mogą zagradzać pani drogi do szczęścia!

Sara uśmiechnęła się tylko.

- Zapewniam pana, że nie zagroczą. Muszę jednak pana powiadomić, że choć komplementuje pan moją uczuciowość i wrażliwość, zaliczam się do kobiet bardzo praktycznych. Gdybym miała wybrać kogoś innego, nie lorda Lyletona, to kierowałabym się miłością. - Podniosła rękę, zanim zdołał ją uchwycić. - A ja pana nie Kocham.

Patrzył na nią okrągłymi oczami.

- Nie kocha mnie pani?

- Nie - rzekła uprzejmie. - Codziennie dawałam to panu do zrozumienia, ale widać na próżno. Nie jest moją intencją zadawać panu ból. Pańska adoracja i życzliwość zasługują na coś więcej, niż mogłabym panu ofiarować. Niech pociechą będzie dla pana to, że wcale nie jestem boską muzą, za jaką mnie pan uważa. Jestem zwykłą niewiastą, która w równej mierze zachwyca się jazdą konną i spacerami co literaturą. Owszem, lubię Donne'a, Drydena i Pope'a, ale do zagorzałych wielbicielek Byrona się nie zaliczam. - Uśmiechnęła się, widząc przerażenie w oczach Davisa. - Zasługuje pan na sukces poetycki i szczęście w małżeństwie, a rozmawiając teraz z panem szczerze, pragnę zauważyć, że pomagam panu to szczęście osiągnąć.

- Nie podziwia pani Byrona? - Uniósłszy się z klęczek, pan Davis zachwiał się na nogach.

- Nie - potwierdziła Sara z całą powagą.

- Brak pani... wrażliwości?

- Nie mam jej w nadmiarze.

Pan Davis zbłądził, gdy ta okrutna prawda dotarła do niego.

- Jest pani po prostu sawantką?

- Istotnie, można się tak wyrazić.

- O Boże! Oszukano mnie, wprowadzono w błąd, wykorzystano...

- Panie Davis...

- Jak mogłem być taki ślepy! Proszę mi wybaczyć, lady Saro - zwrócił się do niej sztywno. - Ale dłużej w pani towarzystwie przebywać nie mogę!

Sara obserwowała go, jak szybkim krokiem zmierza ku drzwiom, i westchnęła. Nigdy już nie będzie miała tak żarliwego wielbiciela.

Wróciła do pokoju i napisała przeproszający list do hrabiny Lavesly; poleciła Marii, by wręczyła go adresatce nazajutrz rano wraz z bukietem kwiatów. Położyła się do łóżka z uczuciem zadowolenia, jakiego nigdy w życiu nie zaznała. Jednego wieczoru rozegrała dwie rundy - z rodzicami ich obojga i z panem Davisem. Nie doceniała dotąd swoich możliwości.

9

Sara przejechała truchtem przez dębowy gaj i była pół mili od Charli-sle, gdy rozbłysło gorące już o tej porze roku poranne słońce. Dostrzegła Jacka Rawlinsa - stał oparty o pień starego drzewa i przyglądał się jej obojętnie.

- Dzień dobry! - zawołała. - Mogę wrócić razem z tobą?
- Oczywiście, lady Saro - odparł chłodno, wkładając swój czarny płaszcz.

Odprawiła stajennego. Była tak zemocjonowana jak nigdy w życiu. Trzy poranki z rzędu - to nie mógł być przypadek. Jack śledził ją i zaranżował to spotkanie, aby mogli wrócić razem. Z całą pewnością.

Lecz jeśli było tak w istocie, to dlaczego teraz, gdy szli razem, był taki zasepiony i milczący?

- Piękny poranek, prawda? - zaczęła.
- Piękny, w istocie, lady Saro.

Zaniepokojona spojrzała na niego.

- Dobrze się czujesz?
- Doskonale, lady Saro. Mniemam, że doszła pani do siebie po wczorajszych kłopotliwych incydentach?
- Doszłam do siebie? Jack, po raz pierwszy, odkąd znalazłam się w tym piekiełku, poszłam spać z uśmiechem na ustach.

Kamerdynier zmrużył powieki.

- Proszę mi wybaczyć, lady Saro, ale nie rozumiem przyczyny tej radości, skoro pani rodzice i przyszli teściowie byli tak zrozpaczeni pani i wicehrabiego zachowaniem.

Uśmiechnęła się promiennie.

- Strategia, Jack. To wszystko Wchodzi w skład strategii. Zauważyłaś na pewno, bo uwagi kamerdynerów nic nie ujdzie, że moi rodzice i państwo Lavesly uparli się, by nas ze sobą skojarzyć.

- Wyczytałem to z ich oczu.
- Jednak ani wicehrabia, ani ja nie chcemy tego małżeństwa. Toteż uknuliśmy spisek - chcemy doprowadzić do zerwania zaręczyn, nim obwieszczenie o nich pojawi się w gazetach.

Jack zaniemówił pod wpływem natłoku różnorodnych emocji - ulga, zdziwienie, radość - i nie mógł dojść z nimi do ładu, uporządkować myśli. Uważał ich małżeństwo za rzecz przesądzoną, tymczasem...

- Podjęła pani walkę z rodzicami?
- Tak, ale drogą okrężną; nie mogą się o tym dowiedzieć.

- Nic z tego nie rozumiem, lady Saro.

Uśmiechnęła się do osłupiałego kamerdynera.

- Zamierzamy tak zrazić do siebie naszych przyszłych teściów, żeby sama myśl o naszym małżeństwie napawała ich przerażeniem. Właśnie z tej przyczyny Lyleton wczoraj wieczorem udawał pijanego i w końcu runął jak długi na podłogę, i właśnie dlatego ja wylałam szampana za dekolt hrabiny.

- Doskonały pomysł - przyznał Jack, patrząc na Sarę z nietajonym podziwem. - Genialny.

- Dzięki za uznanie - rzekła Sara z uśmiechem. - Ufam oczywiście, że zachowasz najdalej idącą dyskrecję.

- Każde słowo, jakie padło z pani ust, lady Saro, jest dla mnie święte jak tajemnica konfesjonału - oświadczył.

- Dobry z ciebie człowiek - powiedziała, ściskając go za ramię. - Czy nie miałyś nic przeciwko temu, gdybyśmy w razie potrzeby poprosili cię o pomoc? W tej kampanii trzeci konspirator bardzo by się nam przydał.

- Będę zaszczycony, lady Saro.

- Dziękuję ci - rzekła radośnie, dostrzegła bowiem w jego oczach jakąś niezwykajnie ciepłą iskierkę. - Na pewno przy twojej pomocy moi przyszli teściowie odzegnają się ode mnie po wsze czasy.

Coś w rodzaju chichotu wyrwało się zawsze poprawnemu kamerdynerowi.

- Zrobiła pani świetny początek, lady Saro. Czy mogę coś zasugerować?

- Bardzo będę wdzięczna.

- Hrabia i hrabina to zapaleni myśliwi, a skoro teraz nie sezon na polowanie, to na pewno w ciągu lata zorganizują różne jeździeckie wypadki połączone z piknikiem. Niechże pani zaprezentuje kiepską umiejętność jazdy konnej, to z pewnością wpłynie ujemnie na ocenę pani osoby.

- Mądry jesteś, Jack. Wkrótce zobaczą, jak niezdarna ze mnie amazonka. Niech to diabli, bo przecież jeździectwo jest jedyną rzeczą, jaką się szczycę. Nie jestem piękna jak Arabella, nie przykuwam męskiego wzroku jak Frances, ale, na Boga, w jeździe konnej ani one, ani nikt inny nie może mi dorównać. Cóż, cel uświęca środki. Może jeszcze coś mi podpowiesz?

Splótny na karku dłonie, coś w duchu rozważał, uśmiechając się bezwiednie. Poigrać ze zdrowiem państwa Lavesly? Tu sporo jest możliwości.

- Hrabiosstwo przy posiłkach są zdecydowanie przeciwni wszelkim negatywnym emocjom, szczególnie podczas śniadania, kiedy to, jak zdołałem zaobserwować, oboje nie są w najlepszej formie. Gdyby pani mogła w tym czasie wszcząć sprzeczkę z wicehrabią, winą za zaburzenia trawienne obarczyliby niechybnie panią.

- Posłucham twojej rady. Jeszcze dziś omówię tę kwestię z Lyletonem.
- To powinno dać efekt, lady Saro.

Uśmiechnęła się, oczarowana bez reszty szatańskim błyskiem jego oczu.

- Podziwiam twą przebiegłość, Jack. A teraz kolej na mnie. - Myślała chwilę. - Charlotte Doherty urządza dziś wieczór koncert. - Zechciałbyś zobaczyć mój występ? Będzie bardzo... zabawny.

- Brzmi to złowieszczo. Lady Saro, działa pani z coraz większą determinacją- zauważył.

- Wszystko przez tych amerykańskich filozofów - oznajmiła. - Rozprzestrzeniają tę zarazę po całym świecie. Jestem zbuntowana, Jack.

Uśmiechnął się od ucha do ucha, co sprawiło Sarze większą przyjemność, niż mogła by się spodziewać.

Po powrocie do Charlisle pobiegła szybko na górę, by wziąć kąpiel i przebrać się przed śniadaniem.

Przy śniadaniu siedziała skromnie obok Fitz'a - prywatnie byli już ze sobą po imieniu.

Niebawem wkroczyła do pokoju wielce rozgniewana lady Winster.

- Lordzie Lyleton powiedziała - z przykrością pana powiadamiam, że zginął mi mój rubinowy naszyjnik. Rodowy klejnot.

- Och, moja droga lady Winster! - jęknęła hrabina Lavesly.

- Gdzieś go pani na pewno zapodziała - wybełkotał Fitz. Choć była to dopiero godzina dziesiąta, sprawiał wrażenie dobrze podchmielonego.

- Nie, sir, nigdzie go nie zapodziałam - odparowała z wściekłością. - Moja pokojówka przeszukała wszystkie kąty. Ukradziono mi go.

Fitz zmarszczył brwi.

- Kradzież w Charlisle? Wykluczone! Chyba że właśnie pani pokojówka dokonała tego czynu.

- Eggles pracuje u mnie od przeszło ośmiu lat - warknęła lady Winster. - Ona nie ukradła mego naszyjnika. To na pewno sprawka tych obrzydliwych Cyganów.

- Niemożliwe - zaprzeczył Fitz z całą stanowczością. - Te obdartyśy nie mają prawa wstępu do Charlisle, jakżeby mogli włamać się do pani pokoju? Coś się pani przywidziało.

- Mnie się przywidziało? - krzyknęła lady Winster i czerwone plamy wystąpiły jej na policzkach.

- Lyleton, pan się zapomina- wtrąciła księżna Somerton. - Mojej własnej córce zginęła bransoletka, a panu Braithwaite - złota tabakierka.

- Tak jest w istocie - potwierdził pan Braithwaite.

- Tym lepiej - orzekł beczelnie Freddy. - Było to szkaradne pudełko. Nie pasowało do ciebie, ojczu.

- Chodzi o to - ponownie zabrała głos księżna - że ci Cyganie perfidnie nas okradają, i domagam się, Lyleton, by coś pan z tym zrobił.

- Byłbym rad uczynić zadość pani życzeniu, księżno - odparł Fitz, zakładając nogę na poręcz jej fotela. - Ale nie mam powodu ich obwiniać.

- Masz powód - rzekł ostro hrabia Lavesly. - Ostrzegłem cię na samym początku, co może wyniknąć z tego, że pozwoliłeś tym przeklętym włóczęgom rozbić obóz na terenie Charlisle.

- Mylisz się, ojczu - burknął Fitz. - Rawlins, czy widziałeś jakichś Cyganów włóczących się wokół domu?

- Nie, wielmożny panie - odparł Jack. - Ani nikt ze wsi, ani nikt z obozu cygańskiego nie zbliża się nawet do posiadłości. Cyganie nigdy nie oddalają się od swego taboru.

- Widzicie - powiedział Fitz z triumfem. - Nie ma to nic wspólnego z Cyganami; tak orzekł Rawlins.

- To tylko słowo zwykłego kamerdynera, mało warte, a tymczasem wciąż jesteśmy okradani! - wrzasnęła wdowa Formantle.

Jack obsługiwał właśnie panią Braithwaite. Sara dostrzegła na jego twarzy ledwie tłumioną wściekłość.

- Drodzy państwo, Rawlins to człowiek honoru - zapewnił Fitz. - Jest absolutnie godny zaufania.

- Tak czy owak - oświadczyła lady Winster - żądam, aby podjął pan natychmiast odpowiednie kroki w sprawie tych kradzieży. Musimy odzyskać naszą własność.

- Dobrze - zgodził się Fitz z westchnieniem rezygnacji. - Poślę po chłopców z Bow Street.

Na stole zabręczało srebro, rozdzwoniła się porcelana.

- Dobry Boże, nie mówi pan chyba poważnie! - zawołała księżna z przerażeniem. - Ci prostacy mieliby się tu kręcić, przebywać w tym domu? Pozabijaliby nas w naszych własnych łóżkach!

Wszyscy zgodnie zawtórowali jej protestom.

- Niechże się pan zastanowi, Lyleton - rzekła Sara, wyraźnie zdegustowana. - Ci chłopcy z Bow Street mają sławę kieszonkowców, a nie

strażników prawa; dorabiają sobie w ten sposób do swoich nędznych wynagrodzeń. Wszystkie kosztowności zniknęłyby tu w jednej chwili. I nigdy się nie myją. Fetor byłby nie do zniesienia.

- Burza w szklance wody - powiedział znekany Fitz. - Dobrze, dobrze, nie wezwę żadnych chłopców. Sam zajmę się tą sprawą. A teraz chciałbym zjeść jeszcze trochę tej wysmienitej szynki.

Zaniepokojeni goście musieli się zadowolić tym mało przekonującym zapewnieniem gospodarza, który z całym spokojem nałożył sobie na talerz parę plasterków szynki i kazał sobie nalać kolejną szklankę bordo.

Fitz, zanim mógł przystąpić do dręczenia księżnej Somerton - takie zadanie wyznaczyła mu na dziś Sara - musiał udać się do swego pokoju, by się przebrać. Podczas śniadania zastosował pewną sztuczkę - gdy nikt nie patrzył, wlewał sobie za rękaw jedną po drugiej szklankę wina. Pod koniec posiłku był już przemoczony do cna, co wymagało natychmiastowej zmiany odzieży. Godzinę później, dzięki wysiłkom swego lokaja, wyglądał już świeżo i schludnie.

Sara tymczasem wzięła sobie za cel osobę lorda Lavesly. Podkreślała fatalnie wręcz niskie drzewo genealogiczne hrabiego, mówiła ze zgrozą, że oto wejdzie do rodziny, której przodkowie zaledwie przed dwustu laty byli zwykłymi żołnierzami i nie posiadali ani piędzi ziemi. Marszczyła czoło, gdy hrabia ważył się porównywać z jej korzeniami. Wybuchnęła śmiechem, gdy podał w wątpliwość jej manieri.

Fitz ze swej strony dopadł księżną Somerton. Jedynym celem w jej życiu było okazywanie światu swej wyższości i pomiatanie tymi, których pozycja jej pozycji nie dorównuje. I oto ten wymuskany prostak podśmiewa się z niej, flirtuje z nią, dzierży prym w rozmowie... i to publicznie. Rumieniec gniewu nie znikał z jej policzków. Nie wiedziała już, co począć, chciała w jakiś sposób upokorzyć tego parweniusza, żeby raz na zawsze zapamiętał, gdzie jest jego miejsce, i w jej towarzystwie zachowywał godne milczenie. Wyglądało jednak na to, że nie przyjmuje do wiadomości żadnych, nawet najostrzejszych aluzji.

Z ulgą zasiadła do kolacji, gdyż Fitz zajmował zawsze miejsce po przeciwnej stronie stołu.

Lecz nie dziś wieczór. Zalecił bowiem Jackowi, by posadził księżną obok niego. Patrzyła z przerażeniem na tę zmianę miejsca. Żółć podchodziła jej do gardła na myśl o tych wszystkich zniewagach, jakich dozna podczas posiłku. Gdyby nie świadomość własnej pozycji, urodzenia i celu, dla którego tu przebywa, wymówiłaby się bólem głowy i uciekła do swego pokoju. Chciałaby wydać już za mąż Sarę i skończyć z tym. Tyl-

ko że chciałyby wydać za mąż Sarę za człowieka godnego szacunku, tymczasem żywiła coraz większe obawy - Fitz znów był pijany, gadatliwy i narzucał się jej - że ten człowiek nie jest szacunku godzien.

Te pół godziny po kolacji, kiedy panowie udali się do biblioteki, a panie - do salonu, wydały się księżnej istnym rajem. Uwolniona od obecności Fitz'a mogła zająć się przygotowaniem pokoju, w którym miał się odbyć koncert organizowany przez Sarę i lady Charlotte Doherty. Przynajmniej przez parę minut nie myślała o córce ani o zbliżającym się ślubie, kiedy to pan młody upije się niechybnie i padnie nieprzytomny u stóp biskupa.

Gdy panowie weszli do pokoju muzycznego i w oczekiwaniu koncertu zajęli swoje miejsca, księżna przezornie otoczyła się kordonem bezpieczeństwa. Usiadła między księciem a hrabią Lavesly, a tyły chronili państwo Danversowie, Braithwaite'owie oraz lord Winster z małżonką. Tak więc Fitz nie miał do niej dostępu.

Ale oczywiście był w jej polu widzenia. Wszystko świadczyło o tym, że jest w sztok pijany. Głośno wykrzykiwał brawo po wspaniale wykonanym przez Charlotte koncercie fortepianowym, zagłuszając aplauz innych gości. Wstał w środku wzruszającej recytacji przy dźwiękach harfy i nagle upadł na siedzących rzędem ludzi, przerywając tym samym występ panny Braithwaite. Chrapał na cały głos w trakcie arii, którą śpiewała ładnym mezzosopranem lady Winster, chrapał także wtedy, gdy pan Davis deklamował nudny wiersz. Domagał się bisu od Susan Formantle, zanim jeszcze zaczęła występ, a gdy panna Neville grała na harfie, komentował donośnym głosem nieudolność biedaczki.

Potem przyszła kolej na Sarę.

Wyszła przed audytorium ze spokojem i sporą dozą wdzięku, tak że matka niewiele mogła jej zarzucić. Dobrze dobrana suknia z cienkiego, jasnozielonego jedwabiu. Rude włosy atrakcyjnie, choć bez fantazji ułożone. Piegi prawie nie były widoczne. Jednym słowem, wszystko w należytym porządku. Usiadła przy fortepianie i akompaniując sobie, zaczęła śpiewać czystym, przyjemnym altem:

*Droga matko, droga matko, w kościele chłód czuję,
A w piwiarni ciepło i wesołość panuje.
Bardziej mi to odpowiada,
Niech biedny pastor nie biada.*

*Gdybyż w kościele dawali nam piwo,
Cieszyłyby się nasze dusze jako żywo*

*I śpiewalibyśmy, i wznosili modły godzinami
I nikt z kościoła nie uciekłby przed nami.
Niósłby się śpiew, hej ho, hej ho, tralala.*

*Wszak pastor może kazać i pić, i śpiewać radośnie,
A my będziemy szczęśliwi jak ptacy o wiosnie.
Zaś skromna dama, co czuwa w kościele
Nie biłaby swoich dzieci po całym ciecie,
Tylko niósłby się śpiew, hej ho, hej ho, tralala.*

*A Bóg niczym ojciec cieszyłby się i radował,
Że jego dzieci są wesołe, że tak je wychował,
Więc nie kłóćcie się z diabłem siedzącym na beczce,
Tylko dajcie mu całusa i piwa troszeczkę
I niech niesie się śpiew: hej ho, hej ho, tralala.*

Połowa gości zaniemówiła. Druga połowa z Fitzem na czele wybuchła gromkim śmiechem; Sara zaś wstała od fortepianu, dygnęła z poważną miną i odeszła, a serce waliło jej jak młotem z emocji i trwogi. Stało się. Po raz pierwszy w życiu wystawiła się na pośmiewisko.

Chcąc przed udaniem się na spoczynek uniknąć wściekłości rodziców, postanowiła ukryć się w rzadko używanym salonie w północnym skrzydle domu i przeczekać tam aż do nocnej pory. Po drodze słyszała odgłosy śmiechu - męskiego śmiechu - dobiegały zza drzwi za zakrętem, wiodących z głównej klatki schodowej.

Zaciekawiona ruszyła w tamtą stronę i otworzyła drzwi. Zajrzała ostrożnie do środka - Rawlins stał ze skrzyżowanymi na piersi ramionami i śmiał się do rozpuku.

Oślupiała ze zdumienia, po pierwsze dlatego, że nigdy jeszcze nie widziała, żeby kamerdyner się śmiał, a po drugie dlatego, że wyglądał tak atrakcyjnie, gdy dawał upust swojej wesołości. Przetarł oczy chusteczką.

- O Boże - wystękał i nagle zdał sobie sprawę, że nie jest sam.

- Nie, nie, śmiej się dalej - powiedziała. Weszła do środka zamykając za sobą drzwi. Zobaczyła spiralę służbowych schodów. - Tak ładnie się śmiesz. Aż przyjemnie posłuchać.

- Przepraszam, lady Saro - rzekł. - Gdyby ktoś inny mnie na tym przyłapał, to byłaby prawdziwa katastrofa. - Zebrał się w sobie, po czym spojrzął na nią, i choć się starał, nie mógł zapanować nad uśmiechem. - Gdzie nauczyła się pani tej jarmarcznej ballady?

- Na jarmarku - odparła, nie mogąc się wciąż nadziwić, jak śmiech odmienił milczącego i pełnego powagi kamerdynera.

- I córce księstwa Somertonów pozwolono na udział w tak pospolitej rozrywce?

- Oczywiście, że nie - powiedziała lekko speszona. - Ledwo zdążyłam wymówić słowo jarmark, a już mi zabroniono. Ale mam cudowną pokojówkę, która zgodziła się nas tam zaprowadzić, to znaczy mnie i moją przyjaciółkę, obecnie Charlotte Doherty, wówczas Charlotte Winthrop, i obiecała dać mi alibi w razie pytań, gdzie się podziewałam. No i byłam tam. Wspaniała przygoda! Miałam szesnaście lat i wszystko wprawiało mnie w zachwyt. Do tego stopnia, że poszłam na jarmark jeszcze raz. Wtedy nauczyłam się tej ballady na pamięć. Jak się potem dowiedziałam, napisał ją William Blake. Ja tylko dodałam hej ho, tralala.

- Bardzo trafnie - oświadczył Jack, opierając się o ścianę i spoglądając na nią wzrokiem człowieka, który nawet nie stara się ukryć swego podziwu,

- Dziękuję ci - odrzekła z szerokim uśmiechem. - Mam nadzieję, że wyrwie to zamierzony skutek.

- Zaśpiewała to pani w jakimś określonym celu?

- Tak, na Boga! Nie zamierałam dla zabawy szokować ludzi. Nie jestem aż tak okrutna. Cel mojego występu był oczywisty - chciałam, żeby moi przyszli teściowie raz na zawsze się do mnie zrazili.

- Wielce jest prawdopodobne, lady Saro, że efekt przekroczy najśmielsze pani oczekiwania - powiedział Jack.

- Oby to była prawda. Tylko że państwo Lavesly z uporem chcą się pięć w górę. Nie tak łatwo zrezygnują z córki księcia. Jestem dla nich łakomą zdobyczą, Jack.

- Czy jutro zaśpiewa pani jakąś inną jarmarczną balladę?

- Nie - odparła. - Będę płatać im coraz to inne figle, aż pozostanie im tylko jedno wyjście - odzegnać się od wszelkiego ze mną powinowactwa. - Rozejrzała się dokoła. - To świetne miejsce. Nie wiedziałam, że można się ukryć przy schodach dla służby. Nikomu nie przyjdzie do głowy mnie tu szukać. - Usiadła na stopniu. - Tu będę bezpieczna.

- Bezpieczna, wielmożna pani? A co pani zagraża?

- Gniew moich rodziców. Nie sądzisz chyba, że ujdzie mi to płazem? Gdybym dziś wieczór dostała się w ich ręce, pewno by mnie wychłostali. A jutro rano może wysłucham tylko ostrego kazania.

- A więc nie wolno pani się stąd ruszać. Czy mogę pani przynieść filiżankę herbaty?

Spojrzała nań rozjaśnionymi oczami.

- Bardzo to miłe z twojej strony, Jack. Dziękuję.

Zaopatrzona w herbatę i ciastko przesiedziała kilka godzin w kryjówce. A gdy Jack zapewnił ją, że zaciętrzewieni rodzice przestali szukać swej wyrodnej córki i udali się na spoczynek, wspięła się krętymi schodami na górę i przez nikogo nie widziana dotarła do swego pokoju bez uszczerbku na duchu i ciele.

Nazajutrz rano, gdy kończyła właśnie toaletę, rodzice wpadli do jej sypialni, byli wściekli, oburzeni, pełni pogardy. Przez dobrą godzinę znęcali się nad nią za jej wczorajszy ordynarny występ, brak dobrych manier przy tak znamienitym rodowodzie, za samowolę, nieprzyzwoite zachowanie, barbarzyństwo, zarozumiałstwo. Obarczyli ją siedmioma śmiertelnymi grzechami, po trzykroć, i już mieli zacząć nową turę, gdy Sara przeprosiła ich pokornie i obiecała, że to się już nigdy nie powtórzy. Koncert miał tak uroczysty charakter, mówiła, że pomyślała sobie, iż goście chętnie posłuchają czegoś łżejszego. Nie zamierzała nikogo obrazić. Obraziła jednak, oświadczyli kategorycznie rodzice.

- Przy śniadaniu przeprosisz całe towarzystwo - oznajmił książe, mierząc ją surowym spojrzeniem.

- Tak, ojcze - odparła potulnie.

- Będiesz wzorem układności przez resztę naszego pobytu, Saro, bo inaczej zbiję cię - oświadczyła księżna.

- Tak, matko.

Somertonowie wyszli z pokoju córki w niewiele lepszym nastroju.

Sara patrzyła chwilę na drzwi, które zamknęli za sobą. Tak czy owak całkiem dobrze to zniosła. Sama była zdziwiona, z jakim spokojem wysłuchiwała ich tyrad. Czyżby nabrała śmiałości? A może po prostu stała się bardziej przebiegła?

Zgodnie z danym słowem, podczas śniadania przeprosiła z pokorą wszystkich gości i przez cały dzień zachowywała się wręcz wzorowo, choć nie kierowała się poczuciem obowiązku. Doszła natomiast do wniosku, że przed następnym atakiem należy uspić uwagę państwa Lavesly i sprawić, by odzyskali - fałszywe wprawdzie, ale jednak - poczucie bezpieczeństwa. Ponadto była absolutnie pewna, że gdy za szybko podejmie działania, księżna naprawdę ją zbije.

Fitz również przyjął bardziej umiarkowaną postawę. Przed obiadem udał pijanego i uciał sobie drzemkę na szezlongu w salonie, podczas gdy większość gości grała w karty w patio. Jego basowe chrapanie nie uszło uwagi Somertonów, którzy, wzruszywszy ramionami, skoncentrowali się na grze.

Prawdę mówiąc, zbyt było gorąco, by wszczynać jakieś zamieszanie. Fala upałów trwała, pozbawiając ludzi energii - marzyli tylko o chłodnych napitkach i spokoju.

- Pewno fatalnie się czujesz - powiedziała Sara do Charlotte, gdy tego popołudnia siedziały na ławce w cieniu starego kasztana.

- Matka uprzedzała mnie, że brzemiennosc w lecie ciężko się znosi - rzekła Charlotte z nikłym uśmiechem, dotykając czule dłonią swego wydatnego brzucha. - Staram się przebywać w cieniu i możliwie jak najmniej się ruszać. Oooh!

Sara spojrzała na nią pytająco.

- Dziś mój potomek jest dość niespokojny - powiedziała z uśmiechem.

- Myślisz, że to będzie chłopak?

- Tak mi się zdaje, ale Phineas chce dziewczynki; i ja byłabym temu rada, bo dałabym jej twoje imię.

Sara nie kryła zadowolenia.

- Kochana Charlotte!

- Przecież jesteś moją najlepszą przyjaciółką- rzekła, ujmując jej dłoń - nawet jeśli wyśpiewujesz takie szokujące ballady.

- Śmiałaś się z niej serdecznie, tak jak i inni.

Charlotte zachichotała.

- Dziś w nocy Phineas śmiał się przez sen. Na pewno mu się śniłaś.

- Cieszę się, że wniosłam trochę radości w ludzkie serca.

- Państwo Lavesly nie byli uradowani. Raczej wstrząśnięci.

- To dobrze.

Charlotte rozłożyła wachlarz i chłodziła nim twarz.

- Wasz plan może zaowocować wcześniej, niż się spodziewacie. Jeszcze jedno takie przedstawienie i przyszli teściowie nawet nie spojrzą w twoją stronę.

- Muszę być bardzo ostrożna. Nie wolno działać pochopnie, bo księżę i księżna zaczną coś podejrzewać. Jak wiesz, nigdy przedtem nie sprzeciwiałam się ich woli.

- Byłaś zbyt dobrze wychowana.

- Raczej zbyt bojaźliwa - poprawiła Sara przyjaciółkę. - A przez ostatnich parę dni zaznałam wolności i bardzo w niej zagustowałam.

- Dla panny z twoją pozycją umiłowanie wolności to rzecz niebezpieczna.

- Wiem - rzekła Sara z westchnieniem, opierając się o szeroki pień kasztanowca. - Z każdą niemal godziną to umiłowanie we mnie się powiększa. Aż samej siebie nie poznaję. Uważałam się zawsze za szarą

myszkę, i oto przemieniam się w ryczącego lwa. To wszystko wprawia mnie w zakłopotanie i stwarza... komplikację. Co ja ze sobą pocznę po wyjeździe z Charlisle? Nie sądzę, bym potrafiła żyć tak jak przedtem. Już teraz jestem niezadowolona z własnego życia. Nie mogę dłużej przymykać na to oczu. Lecz jaki mam wybór? Jak powinnam postąpić? Co zrobić?

- Być może ten letni pobyt tutaj da ci odpowiedź albo... Wydaje mi się, Saro, że jeśli powiesz się twój plan, to rodzice przez jakiś czas nie będą chcieli cię widzieć. Poproszę ich, by pozwolili ci zamieszkać u mnie, byłabyś przy mnie aż do połogu i parę tygodni po narodzinach dziecka.

- Jesteś taka dobra, Charlotte - rzekła Sara, całując jej rękę. - Przez kilka miesięcy czułabym się bezpieczna i szczęśliwa, i miałabym czas zastanowić się nad własnym życiem.

- Każda niewiasta winna mieć odwagę to uczynić - zgodziła się Charlotte.

Sara, wracając przez ogród, zauważyła ojca. Siedział na ławce z ładną lady Throwbright, ramieniem otaczał jej kibić, głowa tuż przy głowie, najwyraźniej pochłonięci byli bardzo przyjemną rozmową. Nie zwalniając kroku, Sara szła dalej. Nie po raz pierwszy widziała ojca flirtującego z mężatką. Książę Somerton znany był z licznych romansów, jednakże, w przeciwieństwie do innych dżentelmenów, zachowywał jak najdalej idącą dyskrecję.

Z obserwacji Sary wynikało, że romanse są nieodłączną częścią życia małżeńskiego. Wszyscy mieli romanse; i wszyscy o tym wiedzieli; i wszyscy czekali na taką okazję. Goście zaproszeni tego lata do Charlisle czynili już zapewne zakłady, kto pierwszy zostanie jej kochankiem.

- Droga lady Saro, nareszcie mam możliwość widzieć panią samą.

Zmierzała właśnie przez hall ku schodom, chcąc zaszyć się w swoim pokoju choćby na godzinę. Tymczasem na schodach pojawił się lord Pontifax. Podbiegł do niej w podskokach i z uwielbieniem spojrzął jej w oczy.

- Muszę z panią pomówić na osobności - powiedział.

- Skoro pan musi - odrzekła z rezygnacją. - Czy pokój poranny odpowiada panu?

Lord Pontifax zgodził się ochoczo, złapał ją za rękę, wepchnął niemal do pokoju, zamykając za sobą drzwi. Przyłożył sobie do piersi jej dłoń. Miarowe bicie jego serca, zauważyła Sara, nijak się miało do okazywanej przezeń żarliwości.

- Moja najdroższa Saro, niechże pani nie wychodzi za tego żółto-dzioba! - wykrzyknął. - Lyleton nie jest pani wart! Nawet jego najlepsi

przyjaciele uważają go za trzpiota i głupca! Nie dorównuje pani ani umysłem, ani duchem. To zgoła nieodpowiedni dla pani człowiek!

- Moi rodzice wybrali mi go na męża - powiedziała Sara potulnie.

- Dokonali fatalnego wyboru! - oświadczył lord Pontifax, spoglądając na nią tak płomiennie, że omal nie wybuchnęła śmiechem. - On nie da pani szczęścia. Nie będzie opoką w złych chwilach. Nie okaże zrozumienia dla pani wzniosłych uczuć. I nie wzbudzi ich w pani dla siebie. Najdroższa Saro, niechże mi pani pozwoli towarzyszyć sobie w drodze życia. Pragnę być pani opoką, kochankiem, mężem i przyjacielem.

Nie przyszło jej nigdy przez myśl, że będzie wdzięczna rodzicom za to, że kazali jej zaręczyć się z Fitzem, ale teraz, gdy lord Pontifax zaczął mokrymi pocałunkami pokrywać jej rękę, była im bardzo, bardzo wdzięczna. Uznała swoje narzeczeństwo za fortunne zrządzenie losu.

- Lordzie Pontifax, pan się zapomina - powiedziała ostro, wrywając rękę i cofając się o krok. - Jeśli w wyniku mojego zachowania doszedł pan do wniosku, że jest pan dla mnie kimś więcej niż przyjacielem, to bardzo pana przepraszam. Nie miałam takiego zamiaru.

- Saro, co też pani mówi? - wykrztusił pobladły nagle lord.

- Prawda jest taka - zaczęła, ciesząc się w duchu, że z takim spokojem prowadzi tę kłopotliwą rozmowę - że ja pana nie kocham. I choć nie kocham również lorda Lyletona, to nie odejdę od niego, żeby poślubić pana. Moi rodzice, sir, nie ścierpieliby takiego nieposłuszeństwa. Pozbawiliby mnie wszelkich funduszy. Byłabym bez grosza, lordzie Pontifax.

Jeszcze większa błądź pokryła jego oblicze.

- Co znaczą pieniądze... - wyrzekł słabym głosem.

- Bardzo wiele - przerwała mu. - Nie jestem głupią dziewczyną, która ma w głowie romantyczne mrzonki i myśli o niebieskich migdałach. Znam życie aż za dobrze. Zerwanie zaręczyn - a o to zapewne panu chodzi - byłoby z mojej strony dowodem nie tylko wielkiej nierozwagi, lecz także głupoty. Narazilibyśmy się na ostracyzm całej śmietanki towarzyskiej, z moimi rodzicami włącznie, i skazani na siebie żylibyśmy w biedzie do końca naszych dni. Nic z tego, drogi lordzie. Sądzę, iż pojął pan sedno sprawy. Dziękuję za okazywane mi względy, lecz skoro nie odwzajemniam pańskich uczuć, rozstańmy się jak przyjaciele i nie wracajmy już do tego.

Dygnęła wdzięcznie i wyszła z pokoju, zanim lord Pontifax zdołał otworzyć usta.

Upojona zwycięstwem zastanawiała się, ile jeszcze smoków przyjdzie jej dziś pokonać. Czuła się jak prawdziwa Amazonka.

Los jej sprzyjał. Na ten dzień bowiem przypadały urodziny hrabiego Lavesly - zamierzano je godnie uczcić wspianiałym wieczornym festykiem. Tak dobrej okazji nie sposób pominąć, orzekli zarówno Sara, jak i Fitz. Kazali Jackowi posadzić przy kolacji Sarę obok hrabiego, aby mogła się nad nim znęcać do woli. Jak zdołała się już przekonać, łatwo było lorda Lavesly wyprowadzić z równowagi. Rozpoczęła więc monolog o poprzednich znamienitych pretendencjach do jej ręki, dając mu ostrożnie do zrozumienia, jaką to ujmę przynosi jej małżeństwo z Fitzem.

Hrabia Lavesly zjeżył się na te słowa, broniąc tytułu i pozycji syna. Efekt był taki, że ta piegowata, nieokrzesa diaboliczna (tak się później o niej wyraził) zrobiła sobie z niego pośmiewisko. Gdy po kolacji udali się wszyscy do salonu, aby wznieść toast szampanem i wręczyć jubilatowi prezenty, hrabia czmychnął stamtąd jak mógł najszybciej, co wprawiło Sarę w cudowny nastrój.

Przez następną godzinę zachowywała się przyzwoicie, tyle tylko, że piła szampana. Kieliszek za kieliszkiem. I niebawem doszło do tego, że ilekroć ktoś się do niej odezwał, wybuchała śmiechem. Okazało się także, że nie może przejść po linii prostej - od zdziwionego Freddy'ego Braithwaite'a do przerażonej hrabiny Lavesly. Nawet stanie w wyprostowanej pozycji stwarzało pewne trudności. Musiała oprzeć się o ramię hrabiny, która, z wyniosłą miną, czyniła heroiczne wysiłki, by nadal toczyć z nią rozmowę.

- Rzecz jasna, Fitzwilliam jest zamożnym młodym dżentelmenem - rzekła - i nie zabiega o karierę, ale zawsze myślałam sobie, jaki byłby z niego wspianiały parlamentarzysta, a nawet członek rządu.

Sara zaniósła się śmiechem. Hrabina spurpurowiała aż po korzonki włosów, co Sarę rozśmieszyło jeszcze bardziej. U jej boku pojawił się książę Somerton i z zaciśniętymi ustami patrzył na nią ponuro. Hrabina, z uniesioną dumnie głową, skorzystała z okazji i odeszła.

- Saro! - wysyczał książę. - Co za kompromitacja? Co cię opętało?

- Absolutnie nic, wasza wysokość - odparła chichocząc. - Udzielałam się towarzysko, tak jak mi zawsze zalecasz, i słuchałam, jakie ta hrabina plecie bzdury o przyszłości swego nieudanego potomka. Rząd! - Potrząsnęła głową i zatoczyła się, chwytając ojca za klapę.

- Jesteś pijana! - wykrzyknął książę.

- Ja, pijana? - zamrugwała powiekami. - To niemożliwe. Przecież szampanem nie można się upić.

- Oczywiście, że można, głupia dziewczyno.

- Zatem aż dziw bierze, dlaczego całe towarzystwo nie chodzi zamroczone przez całą dobę. A dlaczego ty, ojczyste, nie lubisz szampana? -

zapytała dobrotliwie, ledwo trzymając się na nogach. - Szampan działa na mnie tak... podniecająco.

- Czy mogę w czymś pomóc, wasza wysokość? - Jack wyrósł przy nich nagle jak spod ziemi.

- Owszem - odparł księżę ze złością. - Zaprowadź moją córkę do jej pokoju i przekazaj pokojówce moje polecenie: lady Sara ma pozostać u siebie aż do jutra.

- Dobrze, wasza wysokość.

- Ale ja nie chcę nigdzie iść! -zaprotestowała Sara. - Cudownie się bawię. A ty, ojczy, nie bawisz się cudownie?

- Nie mam ci nic więcej do powiedzenia! - krzyknął księżę, ale gdy spostrzegł, że wszyscy w pokoju ich obserwują, natychmiast ściszył głos. Spojrzenie jego małżonki było szczególnie wymowne. - Masz w tej chwili iść do siebie, Saro.

Potrząsnęła z żalem głową.

- Nie lubisz się zabawić, prawda? Trafiłam w sedno. I dlatego zapewne nie lubisz szampana. A szampan jest taki... podniecający.

- Rawlins - warknął księżę.

- Już, wasza wysokość. - Jack chwycił mocno Sarę za łokieć i wyprowadził z pokoju.

- Ostro sobie poczęłam - powiedziała konspiracyjnym szeptem, chwiejnym krokiem przemierzając hall.

- Takież wysnułem wniosok, wielmożna pani - rzekł z niewzruszonym spokojem.

- Nigdy w życiu nie byłam pijana. Usta mi zdrętwiały.

- To oznaka ciężkiego zatrucia, lady Saro.

- Ooo! - zerknęła na niego kokieteryjnie. - Czyżby zdarzyło ci się upić?

- Niech Bóg broni, bym się kiedy doprowadził do tak opłakanego stanu.

Sara skinęła głową ze zrozumieniem.

- Nie, oczywiście nie. Ominęło cię jednak w życiu bardzo interesujące doznanie. Czy ja mówię wyraźnie? Nie mam czucia w ustach.

- Wyraźnie, lady Saro.

- Ciekawe. Chwileczkę, Jack. - Zatrzymała się tuż przed schodami. - Każ im, żeby stały równo, bo nie wejdem nawet na pierwszy stopień.

Jack przyglądał się jej przez moment. Potrząsnął głową.

- Tam do licha - powiedział i wziął Sarę na ręce, i zaniósł ją na górę.

- Jack, to wysoce niestosowne!

- Istotnie, wielmożna pani, ale nie ma innego wyjścia.
- Mogę chodzić!
- Nie, nie może pani.
- Dworujesz sobie ze mnie!
- W żadnym wypadku. Jakżebym...
- Zapominasz się... Tak, tak, wiem, co mówię. Dworujesz sobie ze mnie. Widać to po twoich oczach.
- Przepraszam, wielmożna pani.

Skrzywiła się.

- Och, ty nie jesteś skory do żartów. Fitz tak. Ma mnóstwo wad, ale umie żartować, świetnie udaje pijanego, nie uważasz? Niech to diabli, on bardziej udaje pijanego, niż jest, a ja... - Westchnęła i przytuliła się do piersi Jacka. - Wiesz, nie mam chyba głowy do szampana...

Jack się zatrzymał i popatrzył na nią ze zdziwieniem. Spała ufnie w jego ramionach.

- „Och, nie ma na świecie słodsze stworzenia” - zacytował cicho, ciepłym głosem. Nie przestając się uśmiechać, wchodził wolno po schodach, a potem wniósł ją do jej pokoju. Maria uniosła wzrok znad roboty - obszywała rąbek sukni wieczorowej - i oczy jej zaokrągliły się z przerażenia.

- O Boże, jasnie panienka chora? Nie żyje? - krzyknęła, zrywając się z miejsca i podbiegając do łóżka, na którym Jack położył Sarę.

- Ani jedno, ani drugie - sprostował. - Jest pijana.

- Lady Sara? Pijana?

- Lady źle znosi szampana.

Maria pokiwała głową.

- Zdradliwy trunek. Człowiek nie czuje ani szmerku, a potem nagle popada w pijackie otępienie, leci z nóg. Wyobrażam sobie, jak wszyscy byli wstrząśnięci tym widokiem.

- Do gruntu wstrząśnięci - potwierdził Jack.

Maria spojrzała z czułością na swoją panią.

- To moja dziewczynka. Dziękuję, że doprowadził pan ją do bezpiecznego portu.

W szarych oczach Jacka pojawił się cień uśmiechu.

- Drobnostka. Dobranoc, panno Jenkins.

Wyszedł z pokoju. Maria, odprowadzając go wzrokiem, westchnęła smętnie. Gdybyż była o dziesięć lat młodsza!

Nazajutrz o siódmej rano weszła, tak jak zazwyczaj, do sypialni Sary, niosąc tacę z filiżanką gorącej czekolady, chlebem, masłem i melonem w miseczce. Nogą zamknęła za sobą drzwi.

Sara drgnęła i przebudziła się z głębokiego snu.

- Dobry Boże, co się dzieje? - Wyraz lęku odbił się na jej twarzy. - Ojej, głowa mi pęka! - Padła znowu na poduszki, uciskając palcami pulsujące skronie.

- Źle się pani czuje, lady Saro?

Sara aż się skuliła.

- Nie krzycz tak! Dobrze cię słyszę.

Maria uśmiechnęła się.

- Przepraszam, jaśnie panienko. Zapomniałam, że szampan daje takie skutki.

- Szampan? - W oczach Sary pojawił się błysk przypomnienia. - Szampan!

- Tak jest, lady Saro. Pomogę pani usiąść.

Maria nie szczędziła sił, Sara nie szczędziła jęków, lecz wkrótce siedziała wsparta wygodnie o poduszki, otulona kołdrą, mając przed sobą tacę ze śniadaniem. Zerknęła na jedzenie i twarz jej przybrała zielonkawą barwę.

- Proszę cię, zabierz to, proszę!

Pokojówka stawiała właśnie tacę na toalecie, gdy ktoś delikatnie zapukał do drzwi.

Sara chwyciła się za głowę.

- Kto o tak wczesnej godzinie strzela z armat w tym domu?!

Maria otworzyła drzwi - wszedł Jack, niosąc srebrną tacę z filiżanką na spodeczku.

- Dzień dobry, panno Jenkins - rzekł cicho. - Pozwoliłem sobie przynieść trochę pewnego naparu. Przyda się lady Sarze, jak mniemam.

- Bardzo się przyda - rzekła Maria z uśmiechem, lecz odwracając się w stronę Sary, pozbyła się go skrzącym. - Pan Rawlins pospieszył na ratunek, lady Saro.

Sara popatrzyła na Jacka, potem na filiżankę, i wzruszyła ramionami.

- Nie przełknę dziś ani kropli herbaty, ale dziękuję ci, Jack... przepraszam, Rawlins.

- To nie herbata, wielmożna pani - odparł, stawiając tacę na szafce nocnej. - To jest coś, co przyniesie pani ulgę.

- Skąd wiesz, co przyniesie mi ulgę?

- W mojej karierze pomagałem często dżentelmenom cierpiącym rankiem na nieprzyjemny kociokwik po wieczornej biesiadzie. Ta mikstura zawsze stawiała ich na nogi i spodziewam się, że na panią również wywrze zbawienny wpływ.

- A więc to jest kociokwik - mruknęła Sara i przymknęła oczy, bo głowę jej rozsadało. - Już wolałabym śmierć.

- Proponuję pani inne wyjście.

Otworzyła oczy i spojrzała na filizankę, którą Jack jej podsuwał. Wzięła ją do ręki i zlustrowała podejrzliwie płyn.

- Wygląda ohydnie.

- I smakuje ohydnie - rzekł. - Ale jest skuteczny.

- Twierdzisz, że to lepsze niż śmierć?

Uśmiechnął się z lekka.

- Z całą pewnością. Proszę wypić.

Sara zmobilizowała resztki sił, nabrała powietrza w płuca i jednym haustem opróżniła filizankę.

- Oooch -jęknęła, krzywiąc się niemiłosiernie. - Paskudniej smakuje, niż wygląda.

- Dzięki temu w ciągu półgodziny zje pani z apetytem śniadanie.

- Doprawdy? - zapytała. - A te łomoty w mojej głowie?

- Zanikną w tym samym czasie.

- Sam Bóg mi ciebie zesłał - powiedziała ciepło.

Jack skłonił się nisko, ukrywając w ten sposób żartobliwe iskierki w oczach. Odkąd poznał Sarę Thorndike, jego życie nabrało jaśniejszych barw.

- Zawsze rad jestem pani służyć.

Sara została w łóżku i nie zeszła na śniadanie - i nie czuła z tej racji żadnych skrupułów. Jej przedłużająca się nieobecność w towarzystwie spowoduje, że państwo Lavesly nie przestaną myśleć o skandalu, jaki wczorajszego wieczoru wywołała. I coraz mniej będą jej przychylni.

Szykowała się tymczasem na rodzicielską reprimendę, której niechybnie przyjdzie wysłuchać.

Nie czekała długo. Księżna w furii wkroczyła do pokoju, kazała Marii wyjść i przez trzy kwadranse besztła swoją wyrodną córkę. Wszystkie słowa krytyki, inwektywy, wrzaski Sara przyjmowała z pokorą i okazywała należyłą skruchę.

- Pomyśleć, że wychowałam pijaczkę - powiedziała księżna grobowym głosem. - Do końca tego lata nie weźmiesz do ust ani kropli alkoholu, słyszysz, Saro?!

- Tak, matko.

Księżna wyszła z jej pokoju wyraźnie uspokojona - uwierzyła, iż Sara zacznie się wreszcie zachowywać stosownie do swej pozycji.

Jakże mało znała swoją córkę!

10

Nazajutrz Sara starała się w miarę możliwości uniknąć spotkania z rodzicami. Cały czas przebywała w otoczeniu państwa Doherty, Corliss Braithwaite, lorda i lady Danversów, żeby nie można jej było zarzucić, iż nie wywiązuje się z obowiązków towarzyskich. Gdy przyczała się na podeście, zastanawiając się nad obraniem najbezpieczniejszej trasy, zobaczyła Johna Rawlinsa; stał w hallu tyłem do ściany, a tuż przed nim lady Winster, dosłownie tuż, tuż, jakby przyparła go do muru.

- Dziękuję za pani wspaniałomyślną propozycję, lady Winster - powiedział Jack lodowatym tonem - ale nie mogę jej przyjąć.

- Oczywiście, że możesz - rzekła z kokieterijnym dąsem, dotykając dłonią jego policzka. - Wystarczy, że powiesz „tak”, a potem już będzie sama rozkosz. Zawsze dostaję to, co chcę, Rawlins, a chcę ciebie.

- Ponownie muszę odmówić. A teraz, lady Winster, proszę mi wybaczyć...

- Czy wiesz, z kim rozmawiasz? - zapytała, a głos jej trochę się załamał. - Czy wiesz, komu ośmielasz się odmówić?

- Wiem doskonale, wielmożna pani.

- Muszę to rozważyć, Rawlins - oznajmiła, obwodząc palcem wskazującym guzik jego kamizelki. - Jeśli zechcę, mogę zrujnować ci życie.

- Wątpię, wielmożna pani.

Zmieniła się na twarzy, spoglądała teraz na niego z groźbą w oczach.

- Postąpisz wedle mej woli albo powiem Lyletonowi, by cię zwolnił, i już ja się postaram, aby nikt w Anglii cię nie zatrudnił, chyba że w charakterze stajennego.

- Rzecz jasna, że zrobi pani to, co uzna za stosowne, lady Winster. Uderzyła go w twarz, aż echo się rozniosło.

- Jesteś bezczelny, i gorzko tego pożałujesz.

- Nie sądzę. Życzy pani sobie coś jeszcze, lady Winster?

Sara, której uszy płonęły, a serce waliło jak młotem, zeszła na dół.

- Rawlins! Rawlins! O, jesteś tu - powiedziała, podchodząc do nich, jak gdyby nigdy nic. - Rawlins, mój dobry człowieku, musisz mi pomóc. Panie chcą jutro zrobić wycieczkę na wieś po sprawunki, a mnie wyznaczyły na organizatorkę tej eskapady. Mamy zjeść obiad w jakimś zajeździe, ale ten tępak Lyleton nie może sobie za nic w świecie przypomnieć jego nazwy. No i powozy muszą być gotowe. O, witam, lady Winster. Dołączy pani do naszego grona?

- W wiejskim sklepie nie ma nic, co mogłoby mnie zainteresować - odburknęła. - Przemyśl swoją decyzję, Rawlins. - Co rzekłszy, oddaliła się majestatycznie.

- Cóż za antypatyczna niewiasta - stwierdziła Sara, odprowadzając ją wzrokiem.

- Powiedziałbym, że jest taka jak wiele innych z jej sfery - odparł ze spokojem kamerdyner.

- Nic dziwnego, że nas nie lubisz.

- Och, niektóre spośród was mają pewne zalety - oznajmił. - Przybyła mi pani na ratunek?

- Wiedziałam, że sam sobie dasz radę - rzekła oczarowana jego uśmiechem. - Jesteś sprytny jak mało kto. A mnie robiło się już niedobrze.

- A wycieczka po sprawunki?

- Earnshaw załatwi wszystko co trzeba. To bardzo przedsiębiorczy młodzieniec. A jeśli chodzi o nazwę zajazdu, brzmi ona Pod Kucykiem. Matka będzie wstrząśnięta.

- Zdaje się, że ten zajazd słynie z dobrej kuchni. Może to poprawi książęcej humor.

- Być może. Matka odznacza się wspaniałym apetytem. Mam wrażenie - ciągnęła z uśmiechem, oddalając się już od Jacka - że lady Winster też nie narzeka na jego brak.

Usłyszała jego szczery śmiech i zrobiło się jej przyjemnie. Mężczyzn tak łatwo zaskoczyć jakimś powiedzeniem. Lecz wkrótce uśmiech znikł z jej twarzy. Pomyślała o tym, że lady Winster usiłowała zaciągnąć Jacka do swego łoża, i zrobiło jej się przykro. Ale dlaczego na Boga, to błahe wydarzenie tak bardzo ją poruszyło?

Na szczęście jej rozważania przerwał Freddy, który wpadł do hallu, gdy stamtąd właśnie wychodziła.

- Dobrze, że cię widzę! - krzyknął uradowany. - Wszędzie cię szukałem. Lord Danvers organizuje zawody łucznicze i ty masz być moją partnerką.

- Ja? Dlaczego ja? Nie przypominam sobie, by ktoś mnie do tego werbował.

- To moja inicjatywa. Danvers uparł się, bym wziął w tym udział, a jak wiesz, Saro, nie trafiłbym nawet w stodołę. Ty zaś jesteś znakomitą łuczniczką. Liczę, że uratujesz mnie przed hańbą.

Zawody łucznicze oderwały myśli Sary od kłopotliwych rozważań i złagodziły w pewnej mierze wściekłość jej rodziców, albowiem ich córka, utalentowana w tej dziedzinie, spisała się bardzo dobrze. Wpraw-

dzie zastanawiała się na początku, czy by nie zestrzelić, całkiem przypadkowo, tego okropnego kapelusza z głowy lady Lavesly, doszła jednak do wniosku, że plan jej nie dozna uszczerbku, jeśli przez jeden dzień zawiesi działania wojenne. Kapelusz zatem ocalał.

Wydłużające się cienie, oznaka bliskiego zmierzchu, sprawiły, że towarzystwo udało się do domu, by przebrać się przed kolacją. Fitz zgłosił chęć odprowadzenia Sary na górę, co państwo Lavesly przyjęli z widomą ulgą. Doznaliby zgoła innych uczuć, gdyby podsłuchali rozmowę narzeczonych - omawiających strategię następnego ataku.

Podczas kolacji Fitz ostentacyjnie ignorował Sarę i cały czas wiódł ożywioną rozmowę z Corliss Braithwaite, która siedziała po jego lewicy i była wyraźnie uszczęśliwiona nieoczekiwanymi zalotami gospodarza. Gdy po kolacji goście przeszli do salonu, gdzie rozstawiono stoliki do gry w karty, Fitz poprosił, aby Freddy i Corliss byli jego i Sary partnerami. Nalegał, by tę partię wista rozegrać właśnie z Corliss.

Grali już dobre pół godziny, gdy Sara zaczęła się wyśmiewać z gry Fitz'a. Odpłacił się jej pięknym za nadobne i rozgorzała kłótnia. Po piętnastu minutach Fitz wypadł jak burza z salonu, co wszyscy obecni przyjęli z pełnym zrozumieniem. Lady Sara Thorndike miała wyjątkowo uszczypliwy język, odziedziczony niewątpliwie po matce. Siedziała teraz przy stoliku, wachlując zarumienioną z emocji twarz.

- Saro, czy ty... dobrze się czujesz? - zapytał nieśmiało Freddy.

- Nigdy w życiu nie czułam się lepiej - odparła z uśmiechem.

Gdy całe towarzystwo orzekło, że pora udać się na spoczynek, Sara wstała grzecznie z miejsca i poszła na górę do siebie. Zaledwie zdążyła zdjąć biżuterię, a już księżna wparowała do jej pokoju, aby wygłosić córce kazanie. Rozzłoszczona dała upust swym żalom, nie dopuszczając do żadnych przeprosin. Wyszła równie wściekła.

- Zaczyna się powtarzać - powiedziała Sara do Marii, i był to jej jedyny komentarz.

Sara nie mogła zasnąć, dręczył ją niepokój, lecz nie miał on nic wspólnego ani z księżną ani z upałem, którego nawet noc nie zdołała poskromić. Przewracała się z boku na bok, nie mogąc znaleźć wygodnej pozycji. Myśli jej biegły własnym torem, i niewiele mogła na to poradzić. Ciągle miała w uszach śmiech Jacka sprzed dwóch dni - wydał jej się wtedy taki młody i radosny. W jego oczach nie było smutku ni goryczy.

- Istna komedia! - wykrzyknęła, odrzucając kołdrę i wstając z łóżka. Otworzywszy okno stwierdziła, że powietrze jest przyjemnie chłodne, zachęcające do spaceru. Z oddali, z obozu cygańskiego dobiegały ją słabe dźwięki muzyki, co tym bardziej skłoniło ją do wyjścia.

Włożyła ranne pantofle i jedwabny szmaragdowy szlafrok i zbiegła ze schodów, ku wolności. Wolała nie być blisko domu, bo ktoś niepowołany mógłby ją zauważyć, pobiegła więc przez wschodni ogród, wdychając chłodne nocne powietrze, rozkoszując się widokiem tajemniczych cieni, jakie rzucał księżyc na przyszyżone krzewy i kopyły drzew.

Zawsze lubiła przyrodę. Przedkładała drzewa, kwiaty, zielen nad fotele, kanapy i dywany. W domu - zwłaszcza tu, w Charlisle - była jak w więzieniu. Na łonie natury czuła się wolna, i chłonoła tę wolność.

Może tańczyć w świetle księżycy - co też teraz czyniła - i nie przejmować się opinią innych. Może zadrzeć głowę do góry i wpatrywać się w niebo usiane gwiazdami, upajać się ich pięknem i nie tłumaczyć się z tego przed pewnym młodzieńcem albo, co nie daj Boże, przed matką.

Minęła ogród i weszła na krętą dróżkę leśną wiodącą w dół, do jeziora. Im bliżej była wody, tym powietrze stawało się chłodniejsze. Wokół rozbrzmiewały wszystkie dźwięki letniej nocy: granie świerszczy i żabi chór; cichy szelest w koronach drzew i trzask gałązki, gdy jakieś zwierzę przechodziło obok.

Dotarła wreszcie do jeziora i zapatrzyła się w jego ogromne czarne lustro. Spokój. Szczęście. Ruszyła wzdłuż brzegu, kroki jej tłumiła miękka ziemia. Ujrzała wąski pomost wcinający się w jezioro, weszła nań, deski trzeszczały pod jej stopami, a gdy znalazła się na końcu, usiadła. Zdjęła ranne pantofle i zanurzyła stopy w chłodnej wodzie.

- Bosko! - mruknęła, opierając się o poręcz.

Ten spokojny nocny krajobraz przypomniał jej Barlow, niewielką posiadłość jej ojca w Berkshire. Dom w stylu jakobińskim miał tylko dwanaście pokoi, nie licząc pomieszczeń dla służby, otaczał go ładny park, a w pobliżu znajdowało się podobne do tego jezioro. Była tam zaledwie cztery razy, lecz zawsze owo miejsce wywierało na niej silne wrażenie. W tej posiadłości ojca czuła się najlepiej. W tajemnicy przed rodzicami nauczyła się nawet pływać w tamtym jeziorze. Poznała smak wolności.

Podziwiała teraz to jezioro w świetle księżycy, i już zamierzała zebrać się i wskoczyć do wody, gdy jakiś odgłos kazał jej się odwrócić.

Po lewej stronie pomostu stał Jack, tylko w spodniach i białej koszuli, bosonogi!

- Dobry wieczór - powiedziała.

- Dobry wieczór, lady Saro.

Ciekawe, od jak dawna tu stał.

- Też nie mogłeś zasnąć? - zapytała.

- Tak, ten upał...

- No właśnie.

Odwrócił się, jakby zamierzał odejść.

- Nie odchodź! - zawołała. - Nie chcesz ochłodzić sobie nóg w jeziorze?

- Chciałbym, wielmożna pani, ale nie będę przeszkadzał...

- Przestań! Usiądź tutaj. Jest aż nadto miejsca na nas dwoje. - Dostrzegła jego wahanie. - Nie przyprowadzaj mnie o poczucie winy, że pozabawiam cię tej przyjemności. Chodź. Obiecuję, że nie powiem nikomu o tym nie licującym z godnością kamerdynera incydencie.

- Zgoda - powiedział. Usiadł obok niej i zanurzył nogi w wodzie.

- No widzisz - rzekła uradowana..- I nikt za to głowy ci nie utnie. Są na świecie znacznie przyjemniejsze rzeczy niż gra w karty.

- To oczywiste. Gra w kości też mózg wyjaławia.

Roześmiała się.

- Nie, nie, takie bzdurne zajęcia nie pasują do ciebie. Szedłeś boso po chłodnej trawie. Ty znasz się lepiej na przyjemnościach tego świata, Johnie Rawlinsie, niż ci wszyscy w tym przeklętym domu, z któregośmy uciekli.

- Trzeba wierzyć w słuszność własnego wyboru, wielmożna pani.

- Hultaj z ciebie, Jack - powiedziała, uśmiechając się do niego.

- Hultaj kamerdyner? Nie sądzę, lady Saro.

- „Jeśli nie głupiec, to hultaj...” A ty nie jesteś głupi.

- Wykorzystuje pani Drydena przeciwko mnie?

- Wykorzystuję wszystko, co służy mojej sprawie. Bunt jest niebezpieczny, Jack. Przejawia się w każdej rozmowie i kieruje myśli na taki tor, o jakim przed paroma minutami nawet się nie marzyło.

Milczeli dłuższą chwilę, przebierając nogami w wodzie, wpatrzeni w jezioro. Jakie to dziwne, myślała Sara, że jedyny w tym domu człowiek, którego obecność tak bardzo ją cieszyła, zjawił się tu nieoczekiwanie. Bogowie widocznie jej sprzyjają.

Spoglądała na Jacka siedzącego tak blisko niej. I nie mogła się nadziwić, że po tak krótkiej z nim znajomości czuje się tak dobrze w jego towarzystwie. Wszystko w nim ją zachwycało - od gęstych włosów po wrażliwe dłonie, po ładny kształt stóp, którymi przebierał w wodzie od niechcenia.

Nie wiedzieć czemu zaczerwieniła się, odwróciła więc głowę i spojrzała na księżyc, starając się zebrać rozproszone myśli.

Jack przerwał ciszę:

- Czy wolno mi, lady Saro, wypowiedzieć się na temat sprzeczki, jaką dziś wieczór zaaranżowała pani z wicehrabią? Zrobiła to pani po mistrzowsku!

- Dzięki za uznanie- odrzekła, pozbywszy się już rumieńców. — I ja sądzę, że dobrze to wypadło. Lecz duża w tym zasługa Fitz'a, jego inwencji. Nazwał mnie glistą. Co za pomysł! Nie podejrzewałam, że go na to stać. Coraz bardziej go lubię.

- Może zatem zdecyduje się pani go poślubić?

- O Boże, nie! - odparła Sara. - Gdyby został moim mężem, ja przemieniłabym się w megierę, doszukiwałbym się w nim samych wad. On zaś uznałby mnie za osobę niezrównoważoną, irytującą wręcz. Możemy być wyłącznie przyjaciółmi.

- Rodzi się pytanie, łady Saro, kogo chciałaby mieć pani za męża, skoro wicehrabia nie wchodzi w rachubę?

Poczuła ukłucie w sercu.

- Kiedyś skierowałam swoje uczucia ku pewnemu zwykłemu szlachcicowi.

Jack spojrzął na nią uważnie.

- Kim był ten szczęśliwiec?

Westchnęła z zadumą.

- Najpierw nikim. Moim ideałem. Zrozum, zwykły szlachcic to ktoś mi niedostępny, zajmujący znacznie niższą niż ja pozycję. A szlachcic musiał być zwykły, bo ja też chciałam być zwykła. Nie nadaję się do pełnienia roli, jaką narzuca mi mój status społeczny. Moja siostra Arabella czyni to od dwóch lat i świetnie się z niej wywiązuje; nawet Frances odniosła sukces w tej dziedzinie, ale ja tego nie potrafię, jestem inna. Mój pierwszy sezon minął bezowocnie. Toteż uznałam swój przypadek za beznadziejny. Lecz oto pewnego dnia spotkałam zwykłego szlachcica i polubiłam go.

Jack zachowywał kamienny spokój.

- Naprawdę?

- Tak. Był to sir Geoffrey Willingham. I o dziwo, on także polubił mnie. Nawet mi się oświadczył. Wiem, Jack, że trudno ci będzie w to uwierzyć, ale ja należę do osób realnie myślących. Nie szukałam miłości ani romantycznych uniesień - na szczęście, bo Geoffrey nie mógłby mi tego dać. Ale był porządnym człowiekiem i wszystko wskazywało na to, że będziemy stanowili dobraną parę, a niczego innego po małżeństwie się nie spodziewałam. Lecz ojciec niebawem położył temu kres.

- Miał do niego zastrzeżenia?

- Ogromne. Błędnie oceniłam sytuację. Ojciec poinformował mnie, że muszę wyjść za mąż za kogoś, kto zajmuje właściwą pozycję i ma pieniądze. Nikt inny nie wchodzi w grę. Zwykły szlachcic nie przystaje do moich rodziców. Mógłby równie dobrze być subiektem w sklepie bądź

sir Kimstam. Nie zaakceptowałyby nawet baroneta. Przynajmniej biednego baroneta. W tym sęk, jak widzisz. Geoffrey nie miał właściwego tytułu, ale to jeszcze by uszło, gdyby był bogaty, a bogaty nie był. Dochody miał skromne i przy tym owdowiałą matkę na utrzymaniu. Ojciec niemal psami go poszczuł.

- Sprawa całkiem oczywista - powiedział cicho Jack. Choć wciąż siedział blisko Sary, odniosła wrażenie, że oddalił się od niej o dobrych parę jardów.

- No tak - rzekła, spoglądając na niego z ciekawością, lecz z jego twarzy nic nie mogła wyczytać. - Działo się to przed dwoma laty, winnam była potem znaleźć sobie innego mężczyznę, którego jako małżonka mogłabym tolerować. Stąd zacierzowanie moich rodziców w kwestii zaręczyn z Fitzem. Byłam pewna, że nim to się stanie, spotkam kogoś... - Westchnęła. - Niestety... A najdziwniejsze w tym wszystkim jest to, że jeśli idzie o kojarzenie par, to dla mego brata i sióstr miałam nadzwyczaj dobrą rękę.

Jack, wpatrując się w jezioro, bełtał stopami wodę.

- Brała pani czynny udział w ich sercowych sprawach?

- W pewnej mierze - odpowiedziała, opierając się o poręcz; żal jej było, że ów klimat koleżeństwa, jaki zapanował między nimi, nie wiedzieć czemu nagle się ulotnił. - Muszę przyznać, że dobrze im się przysłużyłam. Pierwszy był Gerald. Bardzo lubię mego brata, choć jak na mój gust zbyt przestrzega konwenansów. Wydawało mi się, że skoro pewnego dnia i tak zostanie księciem, to nie ma najmniejszego sensu, by żenił się z tą bryłą lodu w osobie lady Gertrude Bertram-Smyth. A ją właśnie upatrzyli sobie na synową moi rodzice. Gerald, jak pierwszy lepszy głupiec, posłuszny byłby ich woli, gdybym ja nie wkroczyła.

- Czy nie okazała pani zbytnej arogancji?

- To była sprawa życia lub śmierci. Lady Gertrude zdominowałyby Geralda bardziej niż ojciec. Skan i przerobienie pana.

- A tego, rzecz jasna, trzeba unikać za wszelką cenę - zgodził się Jack z całą powagą. I jakby znowu zbliżył się do Sary, nie ruszając się wcale z miejsca. - Odważę się zapytać, lady Saro, w jaki sposób zapobiegła pani temu małżeństwu?

Zachichotała na samo wspomnienie.

- Zaręczyny odbyły się w naszej wiejskiej posiadłości w Lincolnshire, co wieczór toasty na cześć młodej pary, bale, moc tych wszystkich strasznych ceremonii. No więc nocą, kiedy wszyscy już poszli spać, wychodziłam przez okno swojej sypialni i zewnętrznym parapetem docierałam do okna sypialni lady Gertrude.

- Parapetem? - Jack patrzył na nią z przerażeniem.
- Ależ tak, był wystarczająco szeroki i bezpieczny. A poza tym od wczesnego dzieciństwa wspinałam się na drzewa i skały. To dla mnie fraszka, naprawdę.
- Zaczynam utwierdzać się w przekonaniu, że istotnie nie powinna pani poślubić wicehrabiego - oznajmił. - Skróciłaby mu pani życie o dobre dziesięć lat.
- Zawsze byłam niesforna. Rodzice co rusz mi to wypominają.
- Jaki cel pani przyświecał?
- Szatański, oczywiście. Jednej nocy wpęłzałam do jej sypialni ze słoikiem pełnym pajaków, potem z dwoma wężami z ogrodu, potem z pięcioma małymi myszkami, które wypuściłam na jej łóżko. Lady Gertrude Bertram-Smyth nie sprawiła mi zawodu. Gdy któregoś razu podrzuciłam jej okazałą ropuchę, darła się wniebogłose i jako żywo przypominała handlarzkę z targu rybnego. Krzyczała, że prędzej już poślubi Belzebuba niż Geralda. Wyzwała księżnę od czarownic, a twarz księcia porównała do bułki. Geralda, który istotnie był oczkiem w głowie rodziców, obwołała maminsynkiem. Skutek był taki, że zaręczyny zostały zerwane.
- Znając teraz pani możliwości, nie dziwię się, że uknuła pani tak misterny spisek przeciwko małżeństwu z lordem Lyletonem. Historia odnotowuje wiele takich przedsięwziętych niewiast: Salome, Kleopatra, Lukrecja Borgia...
- Sara wybuchnęła śmiechem.
- Bardzo ci dziękuję!
- A kogo wynalazła pani na miejsce markizy? - zapytał.
- I tu historia nabiera pięknych barw. Gerald sam znalazł sobie żonę. Helen jest najśodsza na świecie dziewczyną, ponadto nie brak jej dowcipu i zna się na żartach. Pobrali się przed trzema laty i wciąż są bezgranicznie szczęśliwi. Helen sporo się natrudziła, by zwalczyć w Geraldzie tę jego pryncypialność, i bardzo jej jestem za to wdzięczna. Stanowi przeciwieństwo mojej siostry Frances. Frances postanowiła wyjść za mąż za markiza Riddlefielda. Markiz, choć zda się to niemożliwością, jeszcze bardziej zadziera nosa niż ona.
- A co pani zrobiła, by zerwać te zaręczyny?
- Nic, dosłownie nic. Wręcz przeciwnie, w miarę możliwości utwierdzałam siostrę w tej decyzji. Markiz był typem człowieka, z którym, wiedziałam o tym, będzie szczęśliwa, o ile ona w ogóle potrafi być szczęśliwa. Zawsze chciała iść w ślady matki i zostać księżną. Wyszła więc za swojego markiza i wszystko wskazuje, że przed trzydziestką otrzyma ten tytuł. Ma po temu uprawnienia. Co zaś się tyczy mojej siostry Ara-

belli, to sprawa wygląda całkiem inaczej. Zakochała się do szaleństwa w lordzie Stephenie Harigote i on do szaleństwa się w niej zakochał, bo Arabella jest piękna, urocza i dobra, dokładnie odwrotnie niż ja. Lecz moi rodzice wybrali jej już męża, hrabiego Laradida, dwadzieścia lat starszego od niej i cuchnącego alkoholem; i ona, głupia dziewczyna, poddała się ich woli. Wylewając strumienie łez, które mogłyby zatopić cały nasz dom - a to duży dom - pożegnała barona Harigote'a i była gotowa, niczym męczennica chrześcijańska, stanąć z hrabią na ślubnym kobiercu.

- Sądzę jednakowoż, że do tego nie doszło - powiedział Jack szczerze ubawiony.

- Słusznie rozumiesz - potwierdziła Sara. Teraz jego bliskość wyczuwała bardzo wyraźnie. Uczyniła ruch, by ująć go pod ramię i oprzeć się umie o niego. - Gerald, Helen, Stephen i ja stworzyliśmy syndykat.

- Syndykat?

- Tak. Zebraliśmy pieniądze na przekupienie aktualnej *chere amie* hrabiego. Chodziło o to, aby, pijana, wdaruła się do sali jadalnej, gdzie odbywała się kolacja zaręczynowa, i publicznie oskarżyła go o różne nieczne czyny, znane jej i nieznanne. Wspaniale odegrała swoją rolę i Stephen, wykorzystując przerażenie rodziców na wieść o ohydnych wiarołomstwie hrabiego - który zresztą w pośpiechu się ulotnił - poprosił o rękę Arabelli i niezwłocznie uzyskał zgodę, był wszak bogaty, tak więc w ciągu miesiąca odbył się ich ślub. W styczniu przyjdzie na świat ich pierwsze dziecko - oświadczyła Sara, westchnąwszy głęboko. - Widzisz zatem, jak pomyliłam się w rachubach: zakładałam, że skoro druga urocza córka księcia mogła wyjść za mąż za zwykłego barona, to trzecia nieurocza córka księcia uzyska zgodę na poślubienie zwykłego szlachcica. Zapomniałam - bo często o tym zapominam - że istnieją zasady, które mnie obowiązują, i że stanowią smakowity kąsek dla dżentelmena o właściwej pozycji bądź z właściwą fortuną - a najlepiej, gdyby miał i tytuł, i fortunę.

- Niechże pani tak o sobie nie mówi, lady Saro.

- Znam swoją cenę. Uczono mnie tego niemal od kołyski.

- O, nie mogę się z tym zgodzić - zaprzeczył, hipnotyzując ją wzrokiem i odgarniając pukiel włosów z jej czoła. - Zaćmiono pani umysł fałszywymi teoriami. Czy nie ma pani dla siebie choć trochę tej wielkoduszności, jaką okazuje pani innym?

- Znam swoje wady - odrzekła.

- Wie pani tylko to, że jest pani człowiekiem, a człowiek ma również wady, nie stanowi bowiem sterowanej przez rodziców, działającej

bezbłędnie maszyny. Ja osobiście wolę niewiastę z charakterem, a nie marionetkę, jaką rodzice chcieliby z pani zrobić.

Serce waliło Sarze tak głośno, że słowa Jacka z trudem do niej docierały.

- Uważałam cię za mężczyznę o nader wybrednym guście.

Przyłożył palec do jej ust.

- Ciii...

Długo czuła na wargach ten dotyk.

- Proszę siebie cenić - ciągnął - i nie tak, jak to czynią pani rodzice, ale jak cenią panią... jej przyjaciele.

Upłynęła chwila, zanim zdołała wydobyć z siebie głos:

- Czy twoi rodzice cię doceniają, Jack?

- Mam tylko matkę, kocha mnie. Można rzec, że świata poza mną nie widzi.

- Dobra kobieta. A ojciec? Też nie widział świata poza tobą?

- Z nim było inaczej. Uważał, że przysparzam mu kłopotów.

- Biedny Jack. To jest coś, co nas łączy, prawda? - Spojrzała na niego. Wyraz twarzy miał nieodgadniony.

- Łączy nas więcej, niż mogłaby pani sobie wyobrazić - rzekł, i wyczuła w jego głosie nutę goryczy.

Speszona nieco odwróciła wzrok.

- Mam zostać chrześną matką pierwszego dziecka Charlotte i Phineasa. Zostało poczęte w miłości, a to liczy się nade wszystko.

- Państwo Doherty są szczęśliwym małżeństwem?

Sara uśmiechnęła się, księżyc oświetlał jej twarz.

- O tak, bardzo szczęśliwym. - Zamilkła na chwilę: - Darzą się głębokim, szczerym uczuciem i dotrzymują przysięgi małżeńskiej; nie będą też żądać od własnych dzieci, by były bez skazy. - Odrzuciła od siebie czarne myśli, które ją nagle opadły. Rozczulanie się nad sobą nie było w jej stylu. - Zawsze lubiłam jeziora - powiedziała, siląc się na wesołość. - Kryją w sobie jakąś tajemnicę, albowiem pod ich lustrem świat jest zupełnie inny. Właśnie w jeziorze nauczyłam się pływać... A ty umiesz pływać, Jack?

- Umiem.

- ... jak miałam dwanaście lat - dokończyła.

- Ja miałem siedem.

Zmarszczyła brwi.

- A kiedy pierwszy raz wsiadłeś na konia? Bo przecież jeździsz konno.

- Odkąd skończyłem dziewięć lat.

- A ja jeździłam już jako czterolatka.
- Staniemy do zawodów w różnych konkurencjach? - zapytał z uśmiechem.

- Nie - odrzekła. - Dlatego że ty masz tyle... Jack, i ja się pogubię, i nie znajdę dziedziny, w której mogłabym cię pokonać.

- Dlaczego pani powiedziała, że ja mam tyle...? Myśli pani, że jestem bogaty, lady Saro?

- Jesteś bogaty, bo masz to, co jest naprawdę ważne - rodzinę, zdolności, rozum, wolność... Tak. - Uniosła głowę, jakby zastanawiając się chwilę nad tym, co chce powiedzieć. - Nie uświadamiasz sobie, jakich dostąpiłeś łask?

Spojrzał na jezioro.

- Uszły mi one z pamięci... - Odwrócił się ku niej i tak ciepło się uśmiechnął, że wydało się Sarze, iż dotknął ustami jej ust. - Dziękuję, że raczyła mi pani przypomnieć.

- Nie ma za co - odparła zaskoczona tym konwencjonalnym zwrotem. Ucieczka wydała jej się nagle jedynym ratunkiem. - Czas na mnie - rzekła. - Zrobiło się późno.

Uniosła się z miejsca, ale Jack był szybszy, wstał błyskawicznie i wyciągnął ku niej obie ręce.

Serce jej waliło, gdy poczuła dotyk jego dłoni, żar z palców Jacka przeniknął do jej żył, płonęła cała, płonęły jej policzki, czuła ucisk gardle. Z jego pomocą stanęła wreszcie na nogi. Była tuż przy nim, wpatrywała się w jego oczy, niezdolna spojrzeć w inną stronę. Wyraz jego twarzy, sposób, w jaki trzymał jej ręce, nie, nigdy czegoś podobnego nie przeżyła. Cudowne uczucie i przerażające zarazem, i pełne... intymności.

Mogłaby go teraz pocałować. Wystarczyło wspiąć się na palce...

Twarz jej przybrała barwę ciemnej czerwieni. Wyrwała dłonie z jego rąk i ruszyła pomostem ku brzegowi.

- Dobranoc, Jack.

- Dobranoc, wielmożna pani.

Zadrżała, słysząc jego niski głos. I przyspieszyła kroku.

Nie widziała już, jak Jack gwałtownie się od niej odwrócił. Głupiec! Szalony! - wymyślał sobie w duchu. Jak mógł pozwolić sobie na coś takiego? Wiedział przecież, kim jest. Wiedział, kim jest ona! Z przekleństwem na ustach spojrzał na jezioro. I w jednej sekundzie skoczył do wody, jakby chciał zmyć z siebie obłąd, który tak nagle i nieoczekiwanie zawładnął nim w świetle księżyca.

Nazajutrz rano Sara zaniepokoiła się - Jack nie podązał za nią wierzchem, tak jak to czynił od prawie dwóch tygodni. Czyżby zachorował? Nigdzie nie natknęła się na niego i aż zaczepiła panią Clarke, która zapewniła ją, że pan Rawlins dobrze się czuje, tylko jest po prostu zajęty.

Sarę ta informacja powinna ucieszyć, ale nie ucieszyła. Skoro nie jest chory, to dlaczego rano nie towarzyszył jej na przejażdżce? W miarę upływu dnia opadały ją coraz gorsze myśli. Odnosiła wrażenie, że Jack jej unika, ale dlaczego? Gubiła się w domysłach. Jego nieobecność bardzo ją zasmuciła. A gdy w końcu traf chciał, że znaleźli się w jednym pokoju, to zachowywał się chłodno i powściągliwie, tak jak na początku pobytu Sary w tym domu.

Co się stało? Jack najwyraźniej unikał spotkania z nią w cztery oczy. Udała się do swojego pokoju smutna i przygnębiona. Położywszy się do łóżka, zabrała się za czytanie, skończyła książkę, ale wciąż nie czuła zmęczenia. Ostatnio nie spała dobrze. Straciła również apetyt. Parokrotnie Maria pytała ją, czy życzy sobie czegoś, lecz Sara niczego sobie nie życzyła. Aż do dziś dnia pełna była werwy, jak nigdy dotąd. I skończyło się.

Wstała z łóżka i zeszła na dół - zamierzała w bibliotece poszukać sobie czegoś do czytania. Otworzyła wielkie dębowe drzwi i stanęła jak wryta - oczom jej ukazał się taki oto widok: Fitz, wciąż jeszcze w wieczorowym stroju, klęczał przed kominkiem i wrzucał do ognia małe skrawki papieru. Ale to Jack przykuł jej spojrzenie: pochylał się właśnie nad sir Marcusem Templetonem, który leżał rozciągnięty na dywanie, wyglądał jak nieboszczyk.

- Boże Świąty, co tu się dzieje? - wykrzyknęła Sara, zamykając za sobą drzwi.

Fitz z miną winowajcy patrzył na nią szeroko rozwartymi, przerażonymi oczami.

Jack tymczasem liczył pieniądze w kopercie, wyglądało na to, że suma była pokaźna.

- Mieliśmy do załatwienia pewną drobną sprawę, wielmożna pani - powiedział.

- Czy on nie żyje? - zapytała.

Jack uniósł wzrok. Oczy mu rozbłyły figlarnie.

- Po prostu śpi - odparł.

Sara, uciekając przed jego spojrzeniem, obróciła głowę w stronę sir Marcusa. Nie wiedzieć czemu, poczuła łyzy pod powiekami.

- Dziwne miejsce na drzemkę - rzekła. Popatrzyła na Fitz, który strzepywał coś nerwowo ze swoich białych pantalonów. - O co tu chodzi, Fitz? Powiedz, wiesz przecież, że możesz mi zaufać.

Wicehrabia przesłał Jackowi zdesperowane spojrzenie. Ten skinął głową.

- Ale zachowaj tę tajemnicę aż po grób - zastrzegł Fitz.

- Już od progu wyczułam, że chodzi tu o jakiś sekret - rzekła oschle. - A więc co tu wyprawiacie?

Ku jej zdziwieniu Fitz zaczerwienił się.

- Dopuszczałem się czynu dość lekkomyślnego...

- Ty? - mruknęła Sara z ironią.

- Istna jędrza z ciebie - oświadczył, uśmiechając się mimo to od ucha do ucha. - I bardzo się cieszę, że nie chcesz za mnie wyjść. To wszystko zaczęło się przed pięcioma miesiącami. Pewnego wieczoru upiłem się i napisałem ten... wielce... nierozważny list... do jednej z moich znajomych.

- Tancerki czy może...?

Fitz wytrzeszczył na nią oczy.

- Skąd wiesz, na Boga?

- Nietrudno się domyślić. Więc do kogo?

- Do tancerki operowej - odparł Fitz, któremu to wyznanie przyniosło wyraźną ulgę. Dalsza opowieść o ponętnej Aldorze Higgins i szantażu Marcusa Templetona poszła mu już znacznie łatwiej. - Niech to wszyscy diabli — dodał. - Rawlins nigdzie nie mógł znaleźć tego listu.

- Rawlins? - Sara obróciła się w stronę kamerdynera.

- Wicehrabia był tak uprzejmy i obdarzył mnie swoim zaufaniem - odpowiedział Jack, łypnąwszy okiem na Fitz. - Lord wpadł na pomysł, że mnie będzie łatwiej przeszukać pokój sir Templetona.

- Lecz listu w pokoju nie było - wyjaśnił Fitz. - Po dokładnym przeszukaniu i po upewnieniu się, że tego listu nikt dla Templetona nie przechowuje, Rawlins doszedł do wniosku, że sir Marcus cały czas nosi go przy sobie. Rawlins ma głowę na karku. Uznał, że chcąc odzyskać ów list, musimy przytruć Templetona, no i w ten sposób znaleźliśmy się tutaj.

Sara patrzyła ze zgrozą na nich obu.

- Jack przytruł Templetona?

- Nigdy w życiu tak się nie ubawiłem - oznajmił Fitz, wnosząc swawolną nutę do swej relacji. - Umówiłem się z Templetonem, żeby wręczyć mu pieniądze. I zaproponowałem toast na cześć zakończonej pomyślnie transakcji. Nie spodziewałem się, biedaczysko, że Rawlins dosypał coś do czerwonego wina. W jednej chwili Templeton stał się we-

soły i radosny jak skowronek, a w następnej padł na dywan jak długi i tak chrapał, że nieboszczyka by zbudził. Nim zdołałem ochłonać, Rawlins wręczył mi ten list i zaraz kazał mi go spalić. Zastałaś mnie właśnie na tej czynności.

- Udane przedsięwzięcie- rzekła Sara z podziwem. Dostrzegła, zaskoczona, lekki rumieniec na policzkach Jacka. - I co dalej?

Fitz, speszony nieco, spojrzął na Jacka.

- Otóż to, co dalej?

- Moim zdaniem - zaczął Jack - nastąpiła pora, by sir Marcus spakował manatki i wyniósł się. Zachodzi jednak obawa, że prosek będzie jeszcze działać przez parę godzin.

- Może jakoś byśmy mu w tym pomogli - rzekła Sara.

Jack wciąż miał tę swoją maskę na twarzy.

- Świetny pomysł, lady Saro. Gdyby był pan łaskawy, lordzie, przypilnować, by nikt tutaj nie wszedł i nie natknął się na sir Marcusa, to ja sprowadzę powóz i każę jego lokajowi spakować rzeczy. W ciągu pół godziny już go tu nie będzie.

Po półgodzinie Sara stała na dziedzińcu i machała dłonią, żegnając powóz Templetona z pogrążonym we śnie pasażerem.

- Chwała Bogu, już jest po wszystkim - powiedział stojący u jej boku Fitz, wydając głębokie westchnienie ulgi. - Po raz pierwszy od wielu miesięcy będę tej nocy spał spokojnie.

- To musiało być straszne - rzekła Sara ze współczuciem. - Akurat w czasie, gdy obarczono cię piegowatą narzeczoną, podczas gdy tamta...

Fitz uśmiechnął się do niej serdecznie.

- To było czarne lato mego życia. A teraz jeden kłopot już nie istnieje, a drugi niebawem przestanie istnieć. U progu jesieni, dzięki tobie i Rawlinsowi, stanę się znów wolnym człowiekiem.

- Chwileczkę, Fitz, wszak to nie tylko moja zasługa; twój udział w naszej kampanii jest niebagatelny. Twoje pijackie awanse wobec mojej matki nie mają sobie równych.

- Nie wiedziałem, że zuchwalstwo może dostarczyć tyle uciechy.

- Ani ja.

Sara poszła na górę, do swego pokoju, Fitz zaś na dyskretny znak Jacka wrócił do biblioteki, zamykając za sobą starannie drzwi.

- Sukces! - wykrzyknął. Ucisnął serdecznie dłoń Jacka. - Musimy to uczcić szampanem.

- Nie wtedy, kiedy jestem na służbie, sir.

- Jesteś wspaniałym kamerdynerem - stwierdził Fitz z uśmiechem. - Zarówno lady Winster, jak i lord Marbles prosili, bym im ciebie odstąpił.

- Cieszę się, że jest pan zadowolony z mojej służby.
- Zadowolony? - powtórzył Fitz. - Uratowałeś mnie z opresji, gdyby nie ty, całe życie miałbym zatrute. Nie wiem, czy kiedykolwiek zdołam ci się odwdziżyć za twoją dobroć i błyskotliwą akcję.

- Może pan zacząć od sprowadzenia Greevesa. Im szybciej obejmie swoje stanowisko, tym szybciej ja odzyskam spokój.

- Spokój?

Spojrzawszy na drzwi biblioteki, Jack zmarszczył brwi.

- Jeśli w ogóle mogę go w życiu osiągnąć.

Raczej nie, pomyślał. Choćby nie wiedzieć jak się starał, chwycił się różnych środków, czuł się szczęśliwy i spokojny tylko u boku Sary. Dziś rano nie udał się jak zwykle na przejażdżkę... i przeżył katusze. Jakże tu marzyć o spokoju?

Teraz, kiedy Sara konsekwentnie zrażała do siebie państwa Lavesly, zachowywanie rezerwy i odpowiedniego dystansu było dla Jacka niezmiernie trudne. Potulna córka księcia już nie istniała. Przeistoczyła się w urocze diablątko, które tylko on potrafił docenić i zrozumieć, choć powtarzał sobie po wielekroć, że nie powinien tak myśleć.

Że Sara z jakichś dziwnych powodów lubiła przebywać w jego towarzystwie i nigdy go nie unikała. Że potrzebne jej było wsparcie przyjaciół, jeśli bez szwanku miała przebrnąć przez to lato, a wiedział o tym tylko on.

Sądził, że wszelkie troski zostawił na Półwyspie. Mylił się.

Trzeciego dnia po nagłym wyjeździe Templetona Jack ujrzał Sarę w ogrodzie - siedziała na ławce, ramiona skrzyżowała na piersi i zanościła się od płaczu - poczuł, że serce mu pęka.

- Lady Saro! - zawołał cichym, zatroskanym głosem, podchodząc do niej szybko. - Czy coś się stało? Coś złego?

Uniosła głowę i stwierdził niepomiernie zdziwiony, że ona istotnie płacze, ale ze śmiechu.

- Jak to dobrze, że jesteś - wykrztusiła, ocierając łzy. - To po prostu cudowna historia! Świat musi się o tym dowiedzieć.

- Co musi? - zapytał głupio, wyrywając słowo z kontekstu i nie wiedząc, jak nawiązać do sedna.

Sara trzymała w ręku pomięty list.

- Napisała do mnie lady Wainwright, moja przyjaciółka. Cały Londyn o tym mówi. Wiesz oczywiście, kim jest Beau Brummel? - Uśmiechnęła się czarująco.

Jack przywołał się do porządku. Założył ręce do tyłu; tam były bezpieczniejsze.

- Nawet kamerdyner z głuchej prowincji słyszałby o pierwszym elegancie całej Anglii.

- Naturalnie. Co też ja wygaduję! Możliwe więc, że wiesz także o tym, iż najjaśniejszy książę i Brummel przez jakiś czas nie odzywali się do siebie. Książę, czyli Prinny, traktował nawet z jawną wrogością sir Henry'ego Mildmaya, jednego z przyjaciół pana Beau. I tu, Jack, jest klucz do tej całej historii.

- Słucham z uwagą, wielmożna pani.

- Przechodzę zatem do sedna sprawy: Beau Brummel, Mildmay, lord Alvanley i Henry Pierrepont wygrali ostatnio u Watiera niebagatelną sumę pieniędzy, a ponieważ oni wszyscy zaliczają się do ludzi rozsądnych, postanowili wydać całą kwotę na urządzenie balu w Argyle Rooms. Wysłali zaproszenia. Rzecz jasna nie mogli nie zaprosić Prinny'ego... i on przyszedł! Cztery znakomite osoby witały przybyłych gości. Prinny, jak to on, wystroił się jak lalka. Wymienił uścisk dłoni z Alvanleyem, Pierrepontem, po czym... przeszedł obok Brummela i Mildmaya, nie zaszczyciwszy ich nawet spojrzeniem; wszyscy byli świadkiem tego afrontu, ale nasz bohater zachował obojętną twarz. Alvanley - krzyknął Beau wesoło - kim jest ten twój tłusty przyjaciel?

Jack, zdumiony, popatrzył na Sarę i wtórując jej śmiechowi opadł na ławkę obok niej, niezdolny z wrażenia utrzymać się na nogach.

- Ależ odważny z niego człowiek - rzekł chichocząc. - Co za dowcip!

- Zawsze go lubiłam za te jego frywolne żarty - powiedziała Sara, nie przestając się śmiać. - To pograży go w towarzystwie, nie ulega kwestii, ale co za rozkoszna beczelność!

Siedzieli, śmiejąc się, ramię przy ramieniu, i przez chwilę Jack zapomniał, jaka przepaść dzieli go od Sary Thorndike.

W lipcu nastały deszczowe dni, kładąc wreszcie kres upałowi. Jack wdzięczny był Opatrzności za złą pogodę - uniemożliwiła poranne przejażdżki Sarze, a dla niego stanowiła dobry pretekst. Goście natomiast nie byli jej radzi. Napięcie, które w Charlisle dawało się wyczuć już przedtem, teraz znacznie się wzmoгло. Dwudziestu ośmiu osobom trudno było wytrzymać pod jednym dachem, coraz częściej dochodziło do sprzeczek. Sara i Fitz kłócili się z lada powodu, nie dbając wcale o konwenanse. Ponadto okazało się, że zginęło gdzieś prawie dwanaście sztuk biżuterii - Charlisle stało się beczką prochu.

Pierwsi zrejterowali państwo Winster, Throwbright, Marbles oraz pan Davis; umknęli tuż po wschodzie słońca, a każde z nich przysięgało sobie w duchu, że nigdy tu nie wróci.

Nikt nie wyraził żalu po ich wyjeździe. Panowie udali się na ryby nad obfitujący w pstragi potok, ale nie była to nazbyt miła eskapada, bo Fitz szafował obraźliwymi komentarzami na temat wstrętnych metod, jakich używają wędkarze, bezsensu wędkowania, skoro w wiosce istnieje wspaniały rybny targ; ponadto dzień był duszny i parny i komarów bez liku. Fitz stwierdził także ni stąd, ni zowąd, że Brookes i White nie umywają się do Watiera. A że wszyscy obecni dżentelmeni należeli do któregoś z pierwszych dwóch klubów, skutecznie ich do siebie zraził.

Ten głośny i nieprzerwany monolog zraził do niego również ryby, które nie dały się skusić na przynętę. Tego już ksiązę Somerton nie wytrzymał. Był doskonałym wędkarzem i szczycił się umiejętnością właściwego zarzucania wędki oraz łupem o okazałych rozmiarach. Nie miał się dzisiaj czym pochwalić i przez całą powrotną drogę wymawiał Fitzowi jego bezsensowną gadaninę, ubóstwo myśli, brak żyłki sportowej i ogólnie - niedżentelmeńskie zachowanie się.

Fitz objął księcia serdecznie, powiedział, że jest najwspanialszym człowiekiem pod słońcem, i tak głośno cmoknął go w policzek, że aż niektórzy z panów nie zdołali powstrzymać chichotu.

Panie i ci spośród dżentelmenów, którzy nie wzięli udziału w wyprawie - w tym Freddy Braithwaite, stwierdził bowiem, że nie zna się ani na wędcie, ani na kołowrotku - grali w krykieta na zachodnim trawniku, szczęśliwi, bo mogli wreszcie zażyć ruchu na świeżym powietrzu. Nie wszystkim jednak dopisywało szczęście. Hrabina Lavesly, która chlubiła się tym, że jest świetną krykiecistką, przegrała raz, drugi i trzeci z Sarą Thorndike. Kierowane do córki subtelne uwagi księżnej nie odniosły żadnego skutku. Sara nie tylko wygrywała, ale i głośiła wszem wobec każde swoje zwycięstwo; w efekcie lady Lavesly rzuciła pobijak i rozżłoszczona poszła do domu.

Sara z prawdziwą satysfakcją odprowadzała ją wzrokiem. Wydawało jej się, że państwo Lavesly bliscy są już myśli o zerwaniu zaręczyn. Fitz ze swej strony nieustannie naprzykrzał się jej rodzicom, tak więc niebawem ona, Sara, będzie wolna.

A potem? Somertonowie możliwie jak najszybciej zechcą wyjechać z Charlisle, a przecież ona wcale sobie tego nie życzy. I nie z tej przyczyny, że polubiła ten dom - za duży jak na jej gust - polubiła natomiast kogoś z tutejszych mieszkańców. Spojrzała ukradkiem na Jacka, który z poważną miną częstował gości lemoniadą.

Drażnienie rodziców i państwa Lavesly sprawiało Sarze perwersyjną przyjemność; uśmiechała się radośnie na widok gruchających ze sobą Charlotte i Phineasa, śmiała się z głupich dowcipów Freddy'ego Braithwaite'a, ale najszczęśliwsza czuła się wtedy, gdy obok niej był John Rawlins. Nie przejmowała się już tą jego niezrozumiałą rezerwą, z jaką się do niej obecnie odnosił, tym bowiem większą miała satysfakcję, gdy udało jej się wywołać uśmiech na jego twarzy, a w szarych oczach zapalić wesołe iskierki.

Gdyby nawet nie mogła z nim rozmawiać, sama jego obecność radowała ją. Wysoki, postawny, był nad wyraz przystojnym mężczyzną, poruszał się z gracją. Lubiła mu się przyglądać, podobał jej się kształt jego nosa, wyraziste rysy twarzy. Lecz najbardziej lubiła jego oczy, dostrzegała w nich jakby więcej radości życia niż przedtem.

Sara i Fitz dopuścili go do antymażeńskiego spisku. Pełniąc aż nadmiar obowiązków, znajdował jednak czas na ustalanie miejsca pobytu państwa Lavesly, ilekroć więc Sara wykazywała chęć ponownego ich nękania, dostarczała jej niezbędnych informacji.

Po powrocie panów z wędkowania, a pań - z krykieta - Jack wszedł do salonu porannego, gdzie Sara i Fitz obradowali nad finalną kampanią.

- Jeszcze najwyżej parę dni i będzie po wszystkim - powiedziała Sara. - Zgadzasz się ze mną, Rawlins?

- Tak i ja sądzę, lady Saro - odparł.

- Wyprawa na ryby była kapitalnym posunięciem - oświadczył Fitz szczerze uradowany. - Jestem pewien, że księżę już gotów odwołać wesele.

- Łowienie ryb jest dla ojca rzeczą świętą, nie znosi, gdy mu kto wtedy wchodzi w paradę. Ale według mego mniemania matka wciąż nie daje za wygraną. Czas wytoczyć najcięższe działa.

- Chciałbym nadmienić - wtrącił Jack - że lord i lady Danvers namówili gospodarzy na bal, który w tych dniach ma się tu odbyć. Lady Lavesly zamierza sprowadzić orkiestrę. Mają być zaproszone niektóre rodziny z sąsiedztwa.

- Tam do diaska! - wykrzyknął Fitz.

- Bal to nader romantyczne wydarzenie - rzekła Sara z ponurą miną. - Ale przecież nie oznacza to, że przez pół wieczoru będę tkwić w twoich, Fitz, ramionach.

- Niewątpliwie - przyznał Jack.

- Nie wolno nam zaprzepaścić naszych dotychczasowych osiągnięć - dodał Fitz.

Sara bębniła palcami o gzyms kominka.

- Proponuję trzyetapowy atak: jutro rano kłótnia przy śniadaniu po mojej haniebnej jeździe wierzchem, następnie utarczka na balu, potem wolny dzień, żeby to, co się stało, dotarło do wszystkich, po czym - ciągnęła rozpromieniona - dokonamy *coup de grace*.

- No dobrze, ale na czym to będzie polegać? - zapytał Fitz.

- Jeszcze nie wiem - odparła z westchnieniem. - Masz jakiś pomysł, Rawlins?

- W miarę wulgarny występ was obojga powinien załatwić sprawę, wielmożna pani.

Oczy Fitz'a rozbłysły radośnie.

- Wulgarny, powiadasz? To dopiero byłaby zabawa!

- Do pewnych granic - zastrzegła Sara. - Musimy zachować styl. Nie będziesz mnie chyba napastować podczas śniadania. To zresztą do ciebie niepodobne.

Fitz roześmiał się głośno.

- Czy to ma być komplement?

Obdarowała go ciepłym uśmiechem.

- Naturalnie, głuptasie. A na razie przemyślmy sobie ten wulgarny występ. Na pewno przyjdzie nam do głowy jakiś znakomity pomysł. Zawsze można rzucić jakimś grubym słowem... A może... gdyby nas przyłapano na kradzieży klejnotów... ?

- Nie, lady Saro. Tu trzeba ująć prawdziwego sprawcę. Zbyt wiele zdarzyło się tych zaginięć.

- Podejrzewasz kogoś? - zapytał Fitz.

- Mam trochę danych, wielmożny panie. Ale muszę poczynić pewne kroki, żeby zyskać pewność.

- Fitz zlecił ci tę robotę zamiast wezwać chłopców z Bow Street?

- To z pewnością da lepszy skutek w schwytaniu złodziei - odparł Jack.

- Podzielam twoją opinię - rzekła Sara. - Ustalmy więc pewne sprawy. Dziś przy kolacji zaproponujemy wspólną przejażdżkę konno, i to koniecznie z udziałem obu rodzicielskich par - może trzeba będzie przełamać ich ewentualne opory.

- Słowo się rzekło - powiedział Fitz, i rozeszli się każdy w swoją stronę.

Wbrew ich obawom propozycja wspólnej wycieczki spotkała się z życzliwym przyjęciem rodziców. A fakt, że inicjatorami był Sara i Fitz, uznano za dobry omen. Gdyby nie to, że przez całą kolację Fitz uwodził zapamiętałą księżnę, i gdyby Sara nie skwitowała śmiechem wypowiedzi

dzi lorda Lavesly, jaki to z księcia regenta będzie przykładowy ojciec i małżonek, państwo Somertonowie i państwo Lavesly uznaliby wieczór za wcale udany.

12

Sarę z godziny na godzinę ogarniał większy niepokój. Nie mogła usiedzieć przy kartach, nie była w stanie prowadzić konwersacji, niezdolna była nawet do pogawędki z Phineasem i Charlotte. Chętnie by wyszła z domu, uciekła przed złym wzrokiem matki, która śledziła każdy jej krok.

Korzystając z tego, że księżna skupiła przez chwilę uwagę na kartach, Sara wyszła na patio - miała nadzieję, że może dotrą do jej uszu dzięki muzyki cygańskiej unoszącej się w przestrzeń nieba.

Uciec stąd - coś raz za razem szeptało jej w duszy. Urzekający dźwięk cygańskich skrzypek poruszał ją do głębi.

- Saro! Saro! Wracaj natychmiast, bo się zaziębisz! - zawołała matka głosem ostrym jak brzytwa.

Sara wróciła niechętnie do pokoju, acz w jej umyśle zrodził się plan wręcz bezczelny. Brummel pokazał, co potrafi. Dlaczego ona miałaby być gorsza?

Kiedy przed spoczynkiem znalazła się w swoim pokoju, kazała Marii odłożyć nocny strój i wyjąć z szafy zwykły bawełniany kaftan i takąż białą spódnicę. I solidne buty. Poleciała jej również posłać łóżko jak zazwyczaj, żeby w razie czego nie posadzono pokojówki o współdziałanie. W trosce o dobro swej pani Maria odwodziła ją od tego planu, ale Sara była nieugięta. Musi choć przez parę godzin zażyć prawdziwej wolności, choćby miała życie postradać.

Godzinę jeszcze czytała, dopóki nie pogasły ostatnie światła. Po czym, nastawiwszy pilnie uszu, wyjrzała ostrożnie na korytarz i wymknęła się z pokoju. Rozglądając się na wszystkie strony, zeszła po cichutku na dół. Parę kroków przed wejściem do hallu stanęła nagle - usłyszała szmer głosów dobiegający z salonu porannego.

- Państwo Lavesly prosili, żeby o siódmej rano ich obudzić - powiedział Jack, wychodząc z salonu wraz z Earnshawem. Sara błyskawicznie przysiadła na stopniu i przywarła całym ciałem do ściany. - Ale jak ci wiadomo - ciągnął - hrabina potrzebuje na toaletę mnóstwo cza-

su i chętnie opóźniłaby wyjazd co najmniej o godzinę. Zatem obudź ich o wpół do siódmej.

- Dobrze, sir - odparł Earnshaw.

Jack dostrzegł Sarę, choć udał, że nie, i skierował się z lokajem w drugi koniec korytarza.

Sara odczekała pięć minut, aż wszelkie głosy umilkły, potem wstała i pewnym już krokiem ruszyła ku wyjściu.

- Czy wolno zapytać, jaśnie panienko, dokąd zamierza się pani udać?

Odrzuciła się gwałtownie - jakieś sześć stóp przed nią stał Jack, ująwszy się pod boki, i przyglądał się jej ze stoickim spokojem.

- Idę się zabawić i nie waż się mnie zatrzymywać - wypaliła.

- A gdybym miał czelność - mówił, zbliżając się ku niej - zadać pytanie o takim brzmieniu: Czy udaje się pani na potajemne spotkanie?

- Ależ nie, ty niesforny kamerdynerze! Pomyślałam sobie po prostu, że jeśli jutro mam zrobić z siebie niedorajdę w siodle, to dziś wieczór mam prawo do przyjemności. Idę tam, gdzie los mnie wzywa.

Jack zbladł.

- Nie zamierza pani chyba o tej godzinie, bez opieki, iść do obozu cygańskiego?

- Jestem święcie przekonana, że to uroczy ludzie i że włos mi z głowy nie spadnie. Nie muszę zresztą iść sama. Możesz mi towarzyszyć.

Wyrzeczył na nią oczy i wyprostował się dumnie.

- Żaden kamerdyner nie poniży się aż tak, by przebywać wśród ludzi o podobnie wątpliwej reputacji.

- Owszem, ale powiedziałeś mi też kiedyś, że kamerdynerzy nie zwykli się śmiać, a ty śmiałeś się, więc coś tu nie pasuje. Chodź ze mną, Jack, będzie wspaniale!

- Za żadne skarby świata!

- No to będziesz miał mnie na sumieniu. Co zrobisz, jeśli mnie porwą i zażądatają okupu?

- Pani mnie szantażuje, lady Saro!

- I owszem. Ale to byłaby dla ciebie przygoda znacznie chyba przyjemniejsza niż dzielenie łoża z lady Winster.

- Nie dopuszczam do żadnego szantażu w tej kwestii, również z pani strony.

- Trudno - rzekła. - Siedz w czterech ścianach, jeśli taka jest twoja wola. Ja zamierzam się zabawić. - Zamknęła za sobą drzwi.

Nie przeszła nawet sześciu jardów, gdy usłyszała za sobą jego kroki i wyrażenie całkiem niekamerdynerskie. Tak jak przypuszczała, poczuł się w obowiązku zapewnić jej bezpieczeństwo w tej ryzykownej wyprawie.

- Uroczą noc na przechadzkę, nieprawdaż? - zapytała.
- Pani jest... zupełnie szalona! - odparował John Rawlins, nie przebieając w słowach.

Roześmiała się.

- Jestem, to prawda! Lecz żaden kamerdyner nie zapomniałby się do tego stopnia, by mi to powiedzieć prosto w oczy.

- Zmusiła mnie pani - powiedział z rozdrażnieniem, idąc obok niej. - Przypuszczam, że nawet kamerdyner Somertonów uczyniłby to samo.

- Istotnie, albowiem Millikin, mimo iż wygląda tak ponuro, jest człowiekiem o gołębim sercu. Podrzuca mi czekoladki, gdy wyczuje, że mam na nie ochotę, i przymyka oczy na wszystkie moje wybryki.

- Zepsuty człowiek, do gruntu zepsuty - oświadczył Jack ze smętym uśmiechem. - Jest pani plagą kamerdynerów, lady Saro Thorndike.

- Być może, ale gdy jestem w pobliżu, zawsze poprawia im się nastrój.

- Od kamerdynerów dobrego nastroju się nie wymaga, ponadto nie jest im potrzebny.

- Ale ludziom jest. A teraz przyznaj mi się: czy nie jesteś zadowolony, że choć przez chwilę uwolniłeś się od Charlisle i swoich uciążliwych obowiązków?

- Będę się cieszył z upragnionej wolności, gdy wreszcie Greeves powróci tutaj.

- Greeves? - zapytała ze zdziwieniem. Nagle ogarnął ją chłód. - Zupełnie o nim zapomniałam. - Czy on tu wraca niebawem?

- Tak.

- Och.

Szli parę minut w milczeniu, cykanie świerszczy dobiegało ze wszystkich stron.

- Jack - zaczęła, wyzwalając się z melancholijnych rozważań o przyszłości. - Ile ty masz lat?

- Słucham, lady Saro?

- Ile masz lat?

Milczał.

- Dajże spokój, Jack, to kobiety zawsze ukrywają swój wiek, nie mężczyźni. Wykrztuś wreszcie,

- Dwadzieścia siedem.

- Naprawdę? Sądziłam, że jesteś starszy.

- Trudno to uznać za komplement.

- Nie powiedziałam, że wyglądasz starzej, tylko że ja sądziłam, iż jesteś starszy. Być może dlatego, że z twoich oczu wyziera nieszczęście.

- Ja... - zająknął się z lekka. - Ja nie jestem nieszczęśliwy.

- Ależ tak, chociaż teraz jesteś inaczej nieszczęśliwy, niż kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy. Dlaczego wynajdujesz coraz to nowe odmiany smutku?

- Przysłowie mówi: „Każda gorycz ma w sobie coś słodkiego”.

- Zgadza się, ale dotyczy to tylko „spragnionej duszy”. Dlaczego twoja dusza jest spragniona?

Stanął i wpatrywał się w nią tak intensywnie jak nigdy dotąd.

- Bo nie wiedziała, gdzie szukać właściwego napoju.

- Rada jest prosta: „Chwal więc Boga, kochaj... życie”. - Sara szybko zmieniła tekst Szekspira, bo Benedyk powiedział: „...kochaj mnie, a popraw się”.*

- Łatwiejsze to, niż pani przypuszcza, lady Saro.

Zaczerwieniła się rozgniewana. Gdybyż ona czytać słów nie umiała! Chwyciła go za ramię, nie przejmując się jego zdziwieniem, i oboje pomaszzerowali przed siebie.

- Doprawdy łatwiejsze? - zapytała wciąż rozsierdzona. -- To dlaczego tego nie czynisz?

- Zawsze powodowałem się roztropnością.

- Znowu jesteś tajemniczy. Często ci się to zdarza, i z wrednym skapstwem dawkujeś informacje o sobie. Zmuszona jestem sięgać po własne koncepty, a obawiam się, że wiele jest w nich nieścisłości.

- Lady Saro, z tego, co zdołałem zaobserwować, nie jest pani osobką, która zdaje się na cudze koncepty, trzyma się z dala od arabskich hord i zasiada potulnie do celebrowania angielskiej herbaty.

- Dziękuję za uznanie - rzekła nieco zdziwiona. - Nikt dotąd tak do mnie nie mówił. - Znajdowali się już jakieś sto jardów od obozu cygańskiego. Coraz głośniejsza muzyka ekscytowała ją i dodawała odwagi. - Czy byłbyś skłonny wyjaśnić mi pewną zagadkę?

- Kto wie, może w przypływie szczerości...

- Wątpię nadzieja, ale będę nalegać. Skoro liczysz sobie dwadzieścia siedem lat i osiągnąłeś sukces w wybranym przez siebie zawodzie, to dlaczego do tej pory się nie ożeniłeś?

- To pytanie bardzo osobiste, wielmożna pani.

O tym Sara wiedziała, lecz postanowiła brnąć dalej.

- Daj spokój. Ja ci powiedziałam, dlaczego nie wyszłam za mąż, winieś mi zatem rewanz.

Westchnął. Sara Thorndike była niewątpliwie najbardziej stanowczą niewiastą, z jaką dotąd miał do czynienia.

* *Wiele hałasu o nic*, przełożył Leon Ulrich.

- W całym moim życiu byłem tak zajęty innymi sprawami, że nie starczyło mi czasu ani chęci na rozejrzenie się za odpowiednią żoną.

- Ani chęci? - Zastanowiło to Sarę. - Ale na pewno twoja rodzina liczy na to, że się ożenisz i spłodzisz następcę, kontynuatora zawodu, który Wykonujesz, jak wszyscy widzimy, tak nienagannie.

- Mam jeszcze czas na wypełnienie rodzinnych obowiązków. Daleko mi na szczęście do zgrzybiałej starości.

- Istotnie. - Milczała chwilę, rozważając coś w duchu. - Jakich wartości będziesz szukał w kandydatce na żonę?

- Lady Saro!

- Znowu pytanie zbyt osobiste? Prawidłowa odpowiedź kogoś spoza mego środowiska brzmiałaby: szlachetna, nie lękająca się pracy niewiasta o godziwym posagu.

Potrząsną głową.

- Jak to się stało, że córka księcia tak dobrze zna rządzące tym światem reguły?

- Niania Beechem, Maria Jenkins, Bill Regis i Henry Jenkins - to im zawdzięczam tę wiedzę. Rzadko kto może się pochwalić tak oddaną rodziną.

- Jak to „rodziną”? - zapytał.

- Kochali mnie, troszczyli się o mnie, uczyli mnie życia i wpajali we mnie te wartości, które uważali za najważniejsze. Czyż nie spełniali zatem powinności rodzinnych?

- A rodzice?

- Płacili za to.

Milczał przez pewien czas.

- I oto okazuje się, lady Saro - rzekł cicho - że ma pani znacznie więcej lat niż te swoje dwadzieścia jeden.

- Nie odpowiedziałeś mi na pytanie.

- Bo nie znam na nie odpowiedzi. Nie myślałem wcale o ożenku.

- Nigdy?

- Nigdy. Nie było takiej potrzeby.

- Dlaczego?

- Pochłaniały mnie inne sprawy.

- Hm - mruknęła. - Inne sprawy, powiadasz. - I w tym momencie uświadomiła sobie, jak mało o nim wie, podczas gdy on zna prawie całe jej życie. O jego rodzinie wiedziała tylko tyle, że byli służącymi. Nie miała pojęcia o jego dzieciństwie i wczesnej młodości. Zdawało się, że odebrał staranne wykształcenie, ale czy tak było w istocie, i gdzie pobierał nauki? Dlaczego był taki tajemniczy wobec niej?

Znajdowali się już na obrzeżach obozowiska - siedem pomalowanych jaskrawo wozów cygańskich tworzyło szerokie koło. Każdy wóz miał własne ognisko. Natomiast w punkcie centralnym obozu znajdowało się największe ognisko. Wokół niego muzykanci grali na skrzypcach, harmoniach, tamburynach i fletach. Młoda dziewczyna tańczyła wśród nich, wdzięcznie się przeginając, a tłum ludzi ze wsi, przeważnie mężczyzn, rzucał jej szylingi.

Rozemocjonowana Sara chwyciła Jacka mocno za ramię.

- Ona jest wspaniała! - szepnęła. Wpatrywała się jak zahipnotyzowana w czerwoną spódnicę dziewczyny, w jej długie czarne włosy rozwiewane w tańcu, w ramiona posłuszne rytmowi. Dołączyła do niej inna młoda Cyganka, w podobnym stroju, tańcząca z równym wdziękiem, a po chwili dwóch chłopaków. Tłum radował się i bił brawo. Wydawało się, że ognisko jaśnieje coraz większym blaskiem.

Wspaniałe widowisko! Sara wprost oniemiała z zachwytu.

- Szylinga za taniec! - rozległ się cienki głosik.

Sara i Jack spojrzeli na małego oberwańca, ośmiolatka najwyżej, nie wiadomo, chłopaka czy dziewczynę, który wyciągał ku nim rękę.

- Lady życzy sobie wróżby - powiedział Jack.

- O, to babcia, jest potrzebna.

- A gdzie ona jest?

Urwis wskazał zielono-żółty wóz po lewej stronie.

- Dziękuję ci, dziecko - rzekła Sara, wręczając mu monetę.

Ruszyli w kierunku wozu. Sara, wciąż wsparta na ramieniu Jacka, nie odrywała wzroku od wielkiego ogniska. Muzyka burzyła jej krew, serce wystukiwało rytm szaleńczej melodii. Marzyła o tym, by wraz z Jackiem rzucić się w wir tańca i zapomnieć o bożym świecie.

Wtedy ujrzała starą Cyganekę, matkę rodu. Siedziała przy małym stoliku, wpatrując się w rozłożone karty oświetlone latarnią zwisającą z wozu. Była niższa niż Sara i gruba, choć może wrażenie to potęgowały niezliczone fałdy jej niebieskiej spódnicy oraz szal, jaki ją spowijał. Czarne włosy osłaniała czarna wdowia opaska. Oczy - równie czarne i duże - mądrym spojrzeniem obejmowały zbliżającą się parę. Brązowa, spalona słońcem twarz, głębokie bruzdy wokół oczu i ust - w świetle latarni trudno było orzec, czy wyłóbił je śmiech, czy smutek.

- Dobry wieczór, sir, wielmożna pani - powiedziała, skinąwszy głową królewskim gestem. - Przyszliście poznać wyroki swego losu?

- Tak, matko, jeśli łaska - odparła Sara.

Cyganka zmierzyła ich oboje bystrym spojrzeniem.

- Z przyjemnością to uczynię. Kto pierwszy?

- On - rzekła Sara pospiesznie.
 - Dobrze sobie - powiedział Jack z uśmiechem. - Ja jestem tylko opiekunem, to przecież pani, lady Saro, szukała przygód.
 - Wiele mogę ci powiedzieć, sir - rzekła Cyganka.
 - Naprawdę? - Uniósł lekko brew. - Coś ciekawego?
- Sarze wydało się, że Cyganka uśmiechnęła się w mroku.
- Bardzo wiele - dodała, zbierając karty ze stolika.
 - No dobrze. - Jack wyciągnął monetę z kieszeni. - Pozbywam się zatem skrupułów, jakie winien mieć piastujący mój urząd człowiek, i oto moja dłoń, proszę z niej czytać.
 - Czytam więcej, niż mówi dłoń - rzekła Cyganka, wskazując krzesło obok.
 - Rozumiem - odparł Jack. - Czyta matka przyszłość.
 - I czytam w ludzkich duszach - dodała, zapalając świecę.
- Płomień oświetlił twarz Jacka. Cyganka musiała dostrzec w jego rysach - a Sara dostrzegła to także - niewiarę, a nawet cień rozbawienia. Czy wróżka dojrzała coś więcej?
- Proszę o dłoń, sir.
- Podał jej prawą rękę. Wpatrywała się uważnie w nią w blasku świecy, brązowymi palcami wodziła po liniach. Obróciła ją parokrotnie i poprosiła o lewą. Badała ją równie skrupulatnie. Potem, na dobrą minutę, utkwiała wzrok w jego oczach. Wreszcie oparła się wygodnie o poręcz krzesła.
- Wiedziałam, że ta noc przyniesie ciekawych gości, ho, ho! - powiedziała z uśmiechem.
 - Rad jestem, że się w tej mierze matce przysłużyłem - odparł. - Ale co takiego matka wyczytała?
 - Nie jesteś tym, sir, za kogo się podajesz. Zwiodłeś wiele osób, bo inny masz charakter i inny cel ci przyświeca.
- Twą twarz Jacka wyrażała zdumienie i - aż trudno uwierzyć! - zakłopotanie.
- Bogowie wszechmocni - mruknęła Sara. - Czyżbyśmy zbójcy dali schronienie?
 - Nie, wielmożna pani, ze strony tego dżentelmena nic ci nie zagraża. Nie stracisz pieniędzy ani życia.
 - Cenię sobie wysoko tak dobrą opinię - zauważył Jack.
 - To nieprawda, sir - oświadczyła Cyganka. - Nigdy nie zależało ci na zdaniu innych ludzi. Chodzisz własnymi ścieżkami. Prowadziły wśród wielkich niebezpieczeństw.
- Wyraźnie wstrząsnął nim dreszcz.

- I... doprowadzą wkrótce do nowych kłopotów. Rozważ je sobie dobrze, weź pod uwagę ich znaczenie i stosownie do tego postąp.

Milczał dłuższą chwilę.

- A co powiesz o sławie i fortunie?

- Pytasz mnie o sprawy, które cię nie obchodzą. Jeśli masz odwagę, zapytaj o serce.

Znów zapadło milczenie. Patrzył na Cygankę równie przenikliwie, jak ona na niego.

- Dobrze - powiedział.

Pochyliła się ku niemu.

- Czeka cię, sir, długie życie. Musisz zrozumieć, co jest dla ciebie ważne, i domagać się tego, pokonując obawy, wszelkie przeszkody. Szczęście jest w zasięgu twojej ręki.

- To niemożliwe! - zaprotestował gwałtownie.

- Już teraz jesteś ślepy - ciągnęła wróżbiarka. - I nie ogłuchnij w dodatku, bo stracisz na zawsze to, czego szukasz.

- Czy to efemeryda?

- Nie, sir, ale może zniknąć. Omijaj niebezpieczne rafy, i te, które są w twojej duszy, i te, które inni przed tobą ustawili. Miej głowę na karku, a zwyciężysz.

Jack wstał nagle z miejsca.

- Nie dawaj złudnej nadziei człowiekowi, który aż nadto dobrze zna świat - rzekł chłodno.

Cyganka uśmiechnęła się z rozbawieniem.

- Nie jesteś, sir, aż tak wszytkowiedzący, jak ci się wydaje. Teraz twoja kolej, wielmożna pani - powiedziała, obracając się w stronę Sary.

Sara prawie jej nie słyszała. Zaintrygowana była tą ich rozmową i nie bardzo mogła zrozumieć, o co w niej chodzi. John Rawlins nie jest tym, za kogo się podaje? Czyżby pomyliła się w ocenie jego charakteru, przypisała mu cechy, jakich nie posiada? To niemożliwe. Jakie zagrażały mu niebezpieczeństwa i jakie kłopoty go czekają? I dlaczego z taką powagą, nie z humorem, jak można by przypuszczać, zadawał Cygance pytania?

- Wielmożna pani?

Sara drgnęła i szybko usiadła na krześle, które Jack zwolnił.

- Przepraszam - rzekła.

Wróżbiarka uśmiechnęła się znacząco.

- Za wiele rozmyślasz, wielmożna pani. Powinnaś bardziej zaufać swemu sercu.

Ujęła delikatnie jej rękę, suchą i gorącą. Szorstkimi palcami wodziła po liniach jej dłoni. Sara siłą woli zapanowała nad drżeniem - ta kobieta

to przecież nie wiedźma. Lewej dłoni Cyganka przyglądała się pilnie. Dopiero gdy puściła obie jej ręce, Sara zaczęła normalnie oddychać.

- Mocne masz serce, wielmożna pani. Obejmujesz nim świat, choć ludzie wznoszą mury wokół ciebie. Wierz w jego siłę, siłę swego serca. Zaufaj prawdzie, która szepcze ci do ucha, kiedy nocą sen cię omija. - Sara nie mogła zapobiec rumieńcowi, który okraślił jej policzki. - Widzę przed tobą długą drogę życia, podzieloną na trzy - ciągnęła Cyganka. - Musisz wybrać jedną z nich. Twój wybór będzie cię drogą kosztował, towarzyszyć mu będzie lęk, napady słabości, borykać się będziesz z siłami przeciwnymi, nękana będziesz pokusą ucieczki. Lecz jeśli chcesz znaleźć szczęście, którego szukasz, winnaś słuchać tego, co serce ci każe.

- Mówisz, matko, samymi zagadkami. Mogłabyś powiedzieć coś bardziej konkretnego?

- Spotkałaś już swego przyszłego męża - odparła Cyganka.

- Na Boga, nie! - wykrzyknęła Sara. - Na pewno nie... Mylisz się!

- Ja się nigdy nie mylę.

- To straszne! Potworne!

- Będziesz miała czworo dzieci.

- Czworo?

- Twoja córka zostanie znaną pisarką.

- Ale...

- Jeśli pójdziesz drogą, jaką ci serce wskazuje, znajdziesz na niej szczęście. Inne drogi wiodą ku rozpacz - rzekła wróżbiarka. - Tak czy owak żyć będziesz długo. Powiadają, że piekło jest wieczną męką. Życie w rozpacz jest piekłu podobne. Pomyśl o tym, wielmożna pani, zanim podejmiesz ostateczną decyzję. Zastanów się nad hodowlą koni.

- Koni? - powtórzyła Sara, całkiem już zbita z tropu.

- Odniesiesz w tym sukces.

Cyganka wstała. Sara, odrętwiała i ledwo żywa, również uniosła się z miejsca i wręczyła kobiecie szylinga.

- Dziękuję- szepnęła. Mgła zasnuła jej oczy, gdy wraz z Jackiem opuszczali obozowisko. Czuła jednak, że oddalił się od niej, tak jak ona oddaliła się od rzeczywistości. Niebawem wchłonął ich las. I ciemność. Chór świerszczy rozlegał się wokół.

- Bardzo... interesująca wyprawa- odezwał się w końcu Jack. - Choć nie tego się spodziewałem.

- To straszne! - wybuchnęła Sara. - Nie chcę poślubić żadnego ze znanych mi mężczyzn! Są bezmyślni, napuszeni albo głupi, albo podli, i z każdym z nich byłabym nieszczęśliwa. Prawdę mówiąc... - rozważała coś w myślach. - Dlaczego miałabym tkwić u boku jakiegoś głup-

ca, skoro mam dość pieniędzy, by jako stara panna żyć sobie całkiem wygodnie?

- Chwileczkę, lady Saro - zaczął Jack z sardonycznym uśmiechem. - Nie będzie pani chyba tak okrutna i nie pozbawi świata znanej pisarki?

- Co takiego?

- Mówię o córce spośród tych czworga dzieci.

- O Boże! - westchnęła zakrywając twarz obiema dłońmi. - Jestem zgubiona!

- Niekoniecznie. Cyganka orzekła, że gdy pójdzie pani za głosem serca, dostąpi pani szczęścia.

Sara była ogromnie rada, że w lesie panowała ciemność, a księżyc skrył się za chmurami. Obawiała się tylko wymowy swych oczu, gdy spojrzała na Jacka, toteż szybko odwróciła wzrok.

- Nie, to zupełnie niemożliwe - rzekła bezbarwnym tonem. Przyszłość źle jej wróżyła. Nie usłucha tych wróżb.

W milczeniu zbliżali się do Charlisle.

13

Nazajutrz rano Sara musiała zrezygnować ze swej codziennej przejażdżki z Henrym, żeby nie przemęczać Dune. Zamierzona wyprawa jeździecka wymagała od nich obu skupienia sił. Sarze to nawet odpowiadało. Oszczędzi to jej rozczarowania, gdyby Jack znowu się nie pojawił. Jego powtarzająca się nieobecność o tych porannych godzinach wprawiała ją w coraz większe przygnębienie, a co więcej, po tej nocnej eskapadzie nie wiedziała, jak z nim rozmawiać i jak się wobec niego zachowywać. Serce jej drgnęło, gdy przed śniadaniem Jack, poważny i niewzruszony jak zawsze, podsunął jej krzesło.

Pobudziło to jednak Sarę do działania. Kłótnia, jaką wszczęła z Fitzem, była prawdziwym majstersztykiem i przyczyniła się do zaburzeń trawiennych nie tylko w żołądkach państwa Lavesly. Uniosła potem wzrok na Jacka, licząc, że udzieli jej milczącej aprobaty, ale nie udzielił.

Zawiedziona wstała od stołu.

- Życz mi szczęścia, Jack - szepnęła, gdy otwierał przed nią drzwi.

— Oczywiście, lady Saro.

Przygryzła wargę, dotknięta do żywego rezerwą, z jaką się do niej odnosił, a przecież parę dni temu inną miał wobec niej postawę. Zapragnęła

wyść z domu, zażyć świeżego powietrza. Głowa ją rozboleła. Mało spała tej nocy. Muzyka cygańska brzmiała jej w uszach, podobnie jak słowa wróżki drażące jej mózg - myślała, że oszaleje. Trzy drogi, z których jedna zapewni jej szczęście. Jedna to małżeństwo i dzieci, i... konie. Wydawało jej się to absolutnie niemożliwe. Jeżeli istotnie spotkała już swego przyszłego męża, to szczęścia w tym związku nie zazna, albowiem nikt ze znanych jej wolnych mężczyzn nie wyrzesał iskry w jej sercu, nie poruszył strun jej duszy, a nawet nie podzielał wartości dla niej cennych. Małżeństwo, wbrew przepowiedni, nie stanowi zatem dla niej drogi do szczęścia. Wiedzie ku rozpaczcy. Pozostawały dwie inne, jedna z nich - groźna. Jakież są te drogi?

Dreszcz ją przeszył na myśl, że jako starej pannie przyjdzie jej spędzić życie pod rodzicielskim dachem. Rzecz jasna, istniała możliwość uniknięcia tego - z użyciem wszelkich środków. A trzecia droga? Och, żeby ta Cyganka wyrażała się jaśniej! Żeby powiedziała jej, jak ochronić się przed nieszczęściem!

Słuchanie nakazów serca to żadna rada, bo jej serce nieświadome jest wielu rzeczy. Nieświadome wysokiej pozycji, jaką Sara zajmowała.

Nie, serce to zdradliwy przewodnik. Lepiej zaufać wiedzy, jaką posiadała, i znajomości życia, jaką zdołała nabyć. Zdaniem Jacka ma środki po temu, by wyrwać się ze swego środowiska. Pozwoliłyby jej również uniknąć dramatycznej sytuacji, w jakiej mogłaby się znaleźć.

Rżenie koni przywróciło ją rzeczywistości. Odwróciła się i ujrzała stajennych, z Henrym Jenkinsem na czele, wiodących konie w stronę dziedzińca; obok Henry'ego dreptała radośnie Dune.

- Witaj, Henry! - zawołała Sara, gdy byli już bliżej.
- Moje uszanowanie, lady Saro. Dzień w sam raz na galopadę.
- Istotnie - przyznała.

Tymczasem całe towarzystwo zaczęło się gromadzić na dziedzińcu. Henry pochylił się, aby podsadzić Sarę na siodło, lecz ona powstrzymała go, dotykając jego ramienia znaczącym ruchem.

- Przyniosę ci dziś wstyd, Henry - szepnęła mu. - Ale to jest konieczne. Za parę dni wyjaśnię ci wszystko, masz moje słowo.

- Robi pani to, co uważa za stosowne, lady Saro - rzekł Henry ze stoickim spokojem. Podsadził Sarę na siodło. - Dziś dałem Dune dodatkowe jabłko, by lepiej zniosła ten wstyd. - Mrugnął do Sary.

Pochyliła się i uściśnieła mu dłoń.

- Mój drogi Henry - rzekła.

- Saro!

Księżna zmierzała ku niej na jednym ze swoich słynnych arabów. Sara stłumiła westchnienie i przywołała uśmiech na twarz.

- Słucham, matko?
- Ile razy mam ci powtarzać, byś nie spoufalała się ze służbą, szczególnie ze stajennymi. - To ostatnie słowo wypowiedziała niemal z obrzydzeniem.
- Nie spoufalałam się, matko, byłam po prostu uprzejma. Somertonowie słyną wszak z dobrych manier.
- Nie sądz, że pochlebstwami i niewinną miną skłonisz mnie do zmiany stanowiska w tym względzie. Powtarzam ci codziennie tego lata, że twoje zachowanie bardzo mi się nie podoba. Będziesz dziś robić wszystko, by wyrzucić na państwu Lavesly dobre wrażenie, będziesz okazywać im jak najdalej idącą uprzejmość, będziesz towarzyszyć przez cały czas lordowi Lyletonowi i nie powiesz nic, co by zaszokowało towarzystwo bądź wprowadziło je w zakłopotanie. Czy jasno się wyrażam?
- Tak, matko - odparła Sara i lekki rumieniec pokrył jej policzki.

Pół godziny później, kulejąc, wsparta na ramieniu księżnej Somerton, przekroczyła próg Charlisle.

- Co za okropny, pożałowania godny incydent! - mówiła z oburzeniem księżna. Prawiła Sarze kazania przez całą drogę do domu. - Jak mogłaś wykazać się takim brakiem taktu i przyzwoitości, spadając z konia tuż przed państwem Lavesly?

- Uległam wypadkowi, matko - rzekła Sara, krzywiąc się z bólu. - Lyleton coś do mnie powiedział i odwrócił moją uwagę od konia. Jestem równie jak ty zdenerwowana tym wydarzeniem, uwierz mi.

- Lady Saro! - krzyknął Jack, dostrzegłszy ją zza rogu domu. Wpadł do hallu przerażony widokiem kulejącej Sary, niepomny stosowanej przez siebie zasady wstrzemięźliwości. - Coś się pani stało?

- Owszem, stało się - warknęła księżna Somerton. - Spadła z konia i skręciła sobie nogę w kostce. Ty pomożesz jej wejść po schodach i zaprowadzisz do pokoju, a ty - zwróciła się do Earnshawa, który wyszedł właśnie z porannego salonu - pojedziesz na wieś i sprowadzisz lekarza. Ja muszę się czegoś napić.

- W porannym salonie przygotowałem bufet, wasza wysokość - powiedział Earnshaw.

Jack prowadził Sarę na górę.

- Nie przypominam sobie, by uszkodzenie ciała stanowiło część pani planu - odezwał się z wyrzutem; idąc obejmował ją w pól, podczas gdy ona zawisała na jego silnym ramieniu.

- Ale ja nie doznałam żadnego uszczerbku.

Chwilę milczał zdezorientowany.

- Nie skręciła pani kostki?

- Skądże! - zaprzeczyła z drwiącym uśmiechem. - Wierz mi, Jack, umiem spadać z konia. Przyszło mi jednak do głowy, że taki incydent przysłuży się skutecznie dwóm ważnym sprawom. Po pierwsze spotęguje niechęć hrabiostwa do mojej osoby. Szkoda, że nie widziałeś ich min, kiedy na prawie równej drodze przydarzył mi się upadek. Po drugie oznacza to, że nie będę towarzyszyć Fitzowi na balu dziś wieczór i nikt nie będzie mówił naszym rodzicom, jak to oboje do siebie pasujemy, aczkolwiek niestety, Jack, pasujemy do siebie.

- Już to zauważyłem, lady Saro, ale pasujecie do siebie bardziej jak rodzeństwo.

- Też jestem tego zdania, lecz księżę i księżna go nie podzielają. Chyba żadna na świecie córka nie jest takim utrapieniem dla rodziców.

Jack roześmiał się mimo woli.

- Jest pani również utrapieniem wszystkich chyba kamerdynerów, lady Saro - oświadczył.

- Czyżby? - zapytała, unosząc wzrok i serce załomotało jej w piersi, gdy dostrzegła ciepły błysk w jego oczach.

- W rzeczy samej. A ponadto powinna pani egzaminować kandydatów do Królewskiej Straży Konnej.

Po czym, nie zważając na jej protesty, wziął ją na rękę i resztę drogi przebyła w jego ramionach.

- Ja przecież mogę chodzić, Jack - powiedziała, nie mogąc się naziwić, z jaką lekkością on ją niósł i jaką to jej sprawiało przyjemność.

- Zdaniem księżnej nie może pani - odparował. - Proszę nie zapominać o toczącej się grze.

Jakie to cudowne i niepokojące zarazem czuć jego usta tak blisko swoich!

- Gdyby wdowa Formantle skręciła kostkę, nie wniósłbyś jej na górę - wyraziła przypuszczenie Sara.

- Rzetelna prawda. Zastrzeliłbym ją, skracając tym jej i innych niedolę.

Sara chichotała aż do drzwi swego pokoju.

Ponieważ księżna Somerton nigdy w życiu nie odwiedzała swoich chorych dzieci, Sara mogła spokojnie porozmawiać z tutejszym wiejskim lekarzem. Zaskarbiła sobie jego łaski miłym uśmiechem i gwineą, toteż mrugnawszy porozumiewawczo, zabandażował jej stopę. Pożegnała go wielce zadowolona. Lekarz nie tylko dochował tajemnicy, ale jeszcze oznajmił wszem wobec, że jego pacjentka będzie kulą przez tydzień.

Mimo sukcesu całego przedsięwzięcia Sara tego wieczoru smutnym okiem przyglądała się sobie w lustrze. Jej suknia balowa koloru lawendy była piękna. Maria jak zwykle dokonała cudu, nadając rudym włosom Sary doskonały kształt. Naszyjnik z brylantów i ametystów lśnił w blasku świec. Tak, Sara wywrze wrażenie dziś wieczór, ale nie będzie tańczyć, nie może tańczyć, skoro ma do odegrania tak ważną rolę. Kłopot w tym, że przepadała za tańcem. Po jeździe wierzchem było to jej ulubione zajęcie. Gdyby w grę nie wchodziła cała jej przyszłość, byłaby niepokieszona, że musi zrezygnować z takiej przyjemności.

- Czeka mnie straszna nuda - rzekła wstając z krzesła. Na nogach miała sandały, bo jej zabandażowana stopa nie zmieściłaby się w żaden pantofel.

- O ile wiem, jaśnie panienko, wicehrabia ma za zadanie zorganizować jakąś rozrywkę - powiedziała Maria, wręczając Sarze wachlarz, na którym namalowane były figlujące wśród zieleni amorki.

- To prawda - odparła Sara z uśmiechem. Przyglądała się teraz uważnie czerwonej mahoniowej laseczce. - Powiadasz, że mam się nią podpierać z lewej strony, bo lewą stopę mam chorą, tak?

- Tak. Podczas chodzenia ciężar ciała winien spoczywać na lasce.

Sara, kuśtykając, wyszła z pokoju. Jedną ręką trzymała się poręczy schodów, a z drugiej strony Maria, z laską w dłoni, prowadziła ją pod ramię, i w ten sposób dotarły do hallu. Tam Maria podała jej laskę i Sara kuśtykała już dalej samodzielnie.

Czując na sobie czyjś wzrok, odwróciła się i ujrzała Jacka, który obserwował ją z ukrywanym starannie rozbawieniem.

- Jest pani urodzoną aktorką, lady Saro.

- Zawsze umiesz dodać mi odwagi, Jack.

Weszła kulejąc do salonu, gdzie przed kolacją zebrali się wszyscy goście. Później dołączają do towarzystwa goście z sąsiedztwa, by wziąć udział w balu. Zdażyła zrobić parę kroków, gdy podbiegł do niej Freddy i podał jej ramię.

- Wyglądasz dziś wieczór czarująco, Saro - rzekł, prowadząc ją w stronę najbliższego krzesła. - Z tego, co słyszałem od państwa Lavesly, wysnułem wniosek, że będziesz cała w siniakach.

- Uważają prawdopodobnie, że mój upadek był znacznie groźniejszy - powiedziała zajmując miejsce. Wachlarzem zasłoniła uśmiech.

Z drugiego końca pokoju dobiegł ją donośny głos Fitz'a, który oświadczył starszemu panu Braithwaite, że kobieta, która nie umie utrzymać się w siodle, jest zakałą towarzystwa. I właśnie do tej zakały - z wyraźną niechęcią - zbliżali się teraz państwo Lavesly. Dość chłodno przyjęli

wylewne przeprosiny Sary, że wskutek tego niefortunnego upadku ze-psuła całą wycieczkę. Nieumiejętność powodowania koniem była dla nich równoznaczna z brakiem wszelkich zasad. Wyczytała to z ich twar-zy. Jedyne zatem, co jej pozostało, to zapanować nad wybuchem trium-falnego śmiechu. Odeszli po niespełna minucie. Zwróciła więc radosną twarz ku młodemu panu Braithwaite.

- Popadłam w niełaszkę, Freddy - powiedziała.

- Owszem - stwierdził z nietypową dla siebie przebiegłą miną. - I by poznać sedno sprawy, gotowem poświęcić swą najlepszą tabakierkę.

- Niebawem poznasz.

- Prowadzisz jakąś grę. Upadek z konia - to zupełnie do ciebie nie-podobne, nie wspominając już o niewyparzonem języku, jakim się ostat-nio posługujesz. Wczoraj wieczorem prawie że się za ciebie czerwieni-łem.

- Wszystko to ma swój cel, ale nie piśnij o tym nikomu ani słowa.

- Mówisz tak, jakbym kiedykolwiek pomieszał ci szyki - powie-dział urażony.

Sara obdarzyła go serdecznym uśmiechem.

- Jesteś naprawdę kochany, Freddy. Obiecuj, że choć raz w trakcie balu porozmawiasz ze mną, bo inaczej zanudzę się na śmierć.

- Możesz na to liczyć, dziewczyno. Te urodziwe sąsiadki mało mnie obchodzą. Nie zapomnę o tobie.

Towarzystwo przeszło wkrótce do sali balowej, słynnej z bładoró-zowej marmurowej posadzki i trzech kryształowych kandelabrow oświe-tlających pięknie całe wnętrze. Fitz - na znak dany przez Jacka - naka-zał grać orkiestrze i pary ruszyły do poloneza.

Tak się składało, że co lepsze rodziny w sąsiedztwie miały ładne córy. Fitzowi i Sarze nie psuło to nastroju, lecz większość pań nie była tym faktem zachwycona.

Fitz jako pan domu miał obowiązek witać gości w drzwiach sali balowej i donośnym głosem anonsować towarzystwu ich przybycie. Witał zatem - dobrze to sobie zaplanował - uśmiechając się uwodzicielsko do każdej nowo przybyłej niewiasty, obojętnie, mężatki czy panny. Trzeba przyznać, że czynił to bez wielkiej przykrości. Wbrew dobrym manie-rom obtańcowywał tylko piękne panny i tak natarczywie prawił im kom-plementary, że rumieniły się jedna po drugiej, jękały i skromnie spuszcza-ły wzrok.

Wszyscy widzieli, jak Fitz, znacznie goręcej, niż zwykła uprzejmość tego wymagała, całuje dłoń panny Marlow. Wszyscy widzieli, z jak pło-miennym zaangażowaniem tańczy i rozmawia z uznaną pięknnością, jaką

była panna King. Nie uszedł również niczyjej uwagi fakt, że między Fitzem a panną Tempie coś się zaczęło dziać, jego ciemna głowa i jej jasna dotykały się prawie, a rozmawiali ściszym tonem, nie odrywając od siebie wzroku, i czasem słychać było ich zbyt już radosny śmiech.

Wszyscy również zauważyli, że Fitz w ciągu trzech godzin, wypełnionych tańcem i prowadzeniem konwersacji, ani razu nie podszedł do Sary. Odnotowali sobie w myślach z tajoną uciechą, iż państwo Lavesly przywdziali maski na twarze, ukrywając pod nimi zakłopotanie. I nikt nie mógłby nie odnotować sobie w myślach, że księstwo Somertonowie siedzieli w złowrogim milczeniu na zdobnych złoceniach fotelach, ustawionych na honorowym miejscu sali balowej.

- Całkiem nieźle idzie, nie uważasz? - szepnęła Charlotte do Sary. Siedziały obok siebie w drugim końcu sali.

- Wspaniale - potwierdziła Sara, uciekając spojrzeniem przed rozżalonym wzrokiem rodziców. - Ostatnio byli podobnie wściekli, gdy *chere ami* hrabiego Laradida zrobiła mu awanturę podczas kolacji zaręczynowej Arabelli. Gdybym to ja miała takiego lorda Harigote'a, który zabiegałby o moje względy...

- Nie bój się, zjawi się któregoś dnia jemu podobny. Mając takie jak ty otwarte na miłość serce, na pewno spotkasz człowieka, którego pokochasz.

Sara spojrzała w dal.

- Arabella jest stworzona dla księcia z bajki, ja nie. Nie jestem typem kobiety, która budzi namiętność w męskim sercu.

- Och, przestań, nie pozwalam, żebyś była o sobie tak niskiego mniemania. A pan Davis i lord Pontifax? Przez dwa tygodnie nic innego nie robią, tylko padają ci do nóg.

- Z takich adoratorów zaprawdę żadna niewiasta nie byłaby dumna. Nie zwracaj sobie mną głowy, Charlotte. Jestem wściekła jak diabli, bo nie mogę tańczyć, a wszyscy tak dobrze się bawią.

- Szczególnie lord Lyleton.

Chichotały obie jak dzierlatki, co budziło w Somertonach tym większy gniew.

Miejsce Charlotte zajął niebawem Freddy, tak jak obiecał, a później miejsce Freddy'ego - lady Danvers. Potem przez jakiś czas miejsce obok Sary było wolne. Dostrzegła po chwili lorda Pontifaksa, który, tańcząc kadryla, rzucał jej wymowne spojrzenia. Zdażył już zauważyć, że między Fitzem a Sarą coś się nie układa, wzmógł zatem swoje starania o jej względy. Niemajętny wielbiciel wykazuje w takim wypadku większą niż inni determinację. Groza zawisła nad Sarą. Korzystając z tego, że kadryl

nie dobiegł jeszcze końca, pokuśtykała pospiesznie do salonu obok, gdzie rozstawiono stoliki do gry dla nieskorych do tańca biesiadników.

- George, ty dumiu skończony, trefle to przecież atu! - wrzasnęła wdowa Formantle.

Przebywanie tutaj stanowiło wątpliwą przyjemność, toteż Sara, kulejąc oczywiście, wyszła z domu, kierując się do wschodniego ogrodu. Księżyc, dziś niemal w pełni, rzucał blade światło na kwiaty, drzewa owocowe, żywopłot. Kilka par, wśród nich Fitz z jakąś ładną panną, której nazwisko umknęło Sarze z pamięci, stało na tarasie w świetle księżyca i rozmawiało. Przebywanie tutaj także stanowiło wątpliwą przyjemność.

Przestrzegając zasady utykania, żeby nikt nie powziął podejrzeń, ruszyła przez ogród brukowaną ścieżką, słysząc dobiegające z sali dźwięki muzyki i śmiech balowiczów. Doszła do ogrodu o ozdobnie przyszczyżonych krzewach - w blasku księżyca wyglądały jak wielkie nieruchome zwierzęta.

Czuąc się bezpiecznie, z dala od ludzkich oczu, oparła laskę o krzew i zaczęła tańczyć skoczną gigę, którą zagrała właśnie orkiestra. Nie wytrzymała, uległa rytmowi muzyki. Takie miała już usposobienie.

- Przepraszam, wielmożna pani...

Stanęła jak wryta, a gdy obejrzała się i zobaczyła obserwującego ją spokojnie Jacka, rumieniec pokrył jej policzki.

- Księżna Somerton życzy sobie panią widzieć - oznajmił.

- Tylko nie waż się ze mnie śmiać! - Pogroziła mu palcem.

- Nawet nie zamierzam.

- O, tak, śmiejesz się ze mnie. Widzę to po twoich oczach, ty nicponiu. W nagrodę za moje poświęcenie należy mi się jeden taniec i na nie się zdadzą twoje perswazje.

- Jakżebym mógł, jaśnie panienko.

- Przestań, Jack! Nie ma w tobie ani krzty pokory, i dobrze o tym wiesz. Związałybys mnie i zakneblował mi usta, gdybym zachowywała się, według twego przekonania, nedorzecznie. - I nagle szalona myśl przyszła jej do głowy. - Zatańcz ze mną!

Jack osłupiał.

- Co takiego?

- Muszę zatańczyć dziś choć raz. Jeden jedyny. Fitz jest zapracowany, a poza nim jesteś jedynym mężczyzną, który wie, że z tą moją nogą to błaga. Proszę cię, Jack, zatańcz ze mną.

Cofnął się o krok.

- Lady Saro, byłoby to wysoce niewłaściwe, gdyby człowiek pełniący taką jak ja funkcję...

- Daj spokój zasadom, Johnie Rawlinsie. Znam je na pamięć. Jeden krótki taniec nie przyniesie ci ujemy. Nikt nie widzi.
- Nie mogę jednakowoż...
- Możesz, w przeciwnym razie napiszę do lady Winster, że marzysz o jej powrocie do Charlisle.

Kamerdyner zmierzył ją surowym spojrzeniem.

- Szantaż nic tu nie pomoże, wielmożna pani.
- Nie bądź taki zasadniczy, Jack! - Podeszła do niego raptownie i obiema dłońmi chwyciła go za rękę. - Jesteś stworzony do tańca; każdy to może poświadczyć.

Nagle jakby się speszył.

- Od tyłu lat...
- Orkiestra gra teraz ecossaise. Każde dziecko wie, jak to się tańczy. Proszę cię, Jack.

Popatrzył na nią, ale z jego twarzy nie sposób było niczego wyczytać. Wydawało jej się, że westchnął.

- Szalony pomysł. Dzięki Bogu, że Greeves wraca niedługo. - Skłonił się nisko. - Czy mogę prosić panią do tańca, lady Saro?
- Wielce pan uprzejmy, sir.

Ujął jej dłoń w rękawicze i zaczęli tańczyć. Pasował wzrostem do jej sylwetki. Rękę miał dużą i silną, a przy tym delikatną. Sara, posłuszna jego ruchom i krokom, czuła się cudownie, jak po paru kieliszkach szampana. Jack, choć tak się przed tym bronił, tańczył dobrze i z gracją. Był świetnym partnerem.

- Tańczysz walca? - zapytała.
- Nie - odparł, nie patrząc na nią - lecz widziałem pokaz tego tańca.
- Matka nie pozwoliła mi brać lekcji. Jej zdaniem jest skandaliczny. Księżna to wzór dobrych manier i nikt na świecie nie może się z nią równać. W ubiegłym roku nawet Almack zaakceptował walca, a jak wiesz, tam stale preferuje się menueta.
- To chyba klub bardzo konserwatywny.
- Nudy na pudy. Chwała Bogu, jest jeszcze w Londynie parę klubów, gdzie wiedzą, jak zabawić gości.
- Wygląda mi na to, że nie przepada pani za życiem w mieście.
- Jestem wieśniaczką z krwi i kości, a ponadto lubię co jakiś czas płątać figle dla urozmaicenia. Reszta mojej rodziny ubóstwia Londyn.
- No tak. Pani jest czarną owcą.

Uśmiechnęła się na wspomnienie jednej z ich pierwszych rozmów i raptem... zamarła z wrażenia. Jack tak na nią patrzył, że aż zabrakło jej tchu. Światło księżyca nadawało jego twarzy ostre kontury, wyda-

wał się wyższy i jakby wbrew prawu grawitacji unosił się w powietrzu.

Rumieniec nie okraślił jej policzków. Z pobladłą twarzą wpatrywała się w niego, niezdolna oderwać od niego wzroku, serce jej waliło, domagało się od niej słów prawdy, przed którą próbowała się ustrzec.

Orkiestra zamilkła. Sara drgnęła odruchowo, wciąż, jak zahipnotyzowana, wpatrując się w Jacka. Zakręciło jej się w głowie. Zachwiała się. Pochylił się ku niej, chcąc ją podtrzymać.

I w tym momencie cofnął się, w jego twarzy nie było kropli krwi.

- Czy mogę zaprowadzić panią do księżnej, lady Saro?

Powrót do rzeczywistości był jak bolesny upadek. Szybko się odwróciła, odnalazła laskę.

- Tak, proszę - rzekła.

Jack stał kilka stóp za nią, z głosu jego wionął chłód:

- Mam nadzieję, że ten jedyny taniec dziś wieczór sprawił pani przyjemność?

- Tak, dziękuję - odparła i ruszyła w stronę domu. Ten taniec sprawił jej znacznie większą przyjemność, niżby sobie życzyła.

Sara natychmiast po przebraniu się do snu zwolniła pokojówkę.

- Ale pani włosy... - zaczęła Maria.

- Równie dobrze mogę sama uczesać się i zapleść warkocz. A ty na pewno od paru godzin marzysz o łóżku. Idź.

- Ależ, lady Saro, coś chyba pani dolega. Proszę mi pozwolić.

- Świetnie się czuję, Mario. Jestem tylko zmęczona. Im szybciej sobie pójdziesz, tym szybciej ja się położę.

Maria służyła Sarze już od dziewięciu lat i dobrze знаła to jej stanowcze spojrzenie. Jej pani chciała być sama. Pozostało zatem Marii życzyć Sarze dobrej nocy i udać się do swojego małego pokoju na poddaszu. Może nazajutrz lady Sara będzie w lepszym nastroju.

Lecz lady Sarze nastrój się nie zmienił, gdy, już w samotności, usiadła przed toaletką i zaczęła rozczesywać włosy. Była wyczerpana i nie pragnęła rozmowy z nikim, szczególnie z samą sobą. Myśli jednak nie były jej posłuszne, nie chciały zamilknąć. Ręka ze szcnotką znieruchomiała nagle. Popatrzyła ponuro na swe odbicie w lustrze - twarz blada

jak płótno, rude włosy w nieładzie, szeroko rozwarte niebieskie oczy. Upuściła szczotkę i ukryła twarz w dłoniach.

Zakochana. Po raz pierwszy w życiu była zakochana, i któż to był wybrankiem jej serca? Kamerdyner? Nawet nie duchowny czy baronet, choć to też oczywiście nie byłiby właściwi kandydaci na męża, tylko kamerdyner!

Uważała się dotąd za nieszczęśliwą, ale miłość bez nadziei była jeszcze gorszym nieszczęściem, gorszym nawet niż to, do czego zmuszali ją rodzice. Ból, który tamował jej oddech, był wszechobecny i bezmierny. Rozumiała teraz, dlaczego z takim zapałem usiłowała bronić się przed prawdą. Dlaczego tak brutalnie odcinała się od głosu swego serca. Lecz prawda była silniejsza. Nie było przed nią ucieczki. Zakochała się w Johnie Rawlinsie tuż po przyjeździe do Charlisle. Od tamtej chwili miłość jej wzmagąca się z każdym dniem.

- O Boże, jak ja mogłam? - szepnęła.

Rzecz jasna, rodzice, którzy z powodu braku fortuny i godnego tytułu odmówili jej ręki sir Geoffreyowi Willingham, nigdy nie wyrażą zgody, by poślubiła służącego. Jeszcze bardziej przygnębiła ją myśl, że sam Jack nigdy się nie zgodzi jej poślubić, no bo jakżeby mógł zakochać się w kimś z wyższych sfer? Owszem, może i lubi jej towarzystwo, ale nie mógłby i nie chciałby się w niej zakochać. Gdyby chciał... Och, gdyby chciał, to odważyłaby się nawet zostać jego konkubiną. Ale nie chciałby.

Odkryć miłość i zarazem zabić ją w sobie - to było ponad ludzkie siły.

Ledwo żywa wstała z krzesła, zgasiła świece, wśliznęła się do łóżka i otuliła kołdrą ze wszystkich stron - kłębuszek nieszczęścia. Zawsze sądziła, że jest odporna na ból, a teraz? Cierpi z powodu Jacka. Poczuła na policzkach gorące łzy, lecz nie chciała płakać. Nie chciała. I nie chciała przyznać racji księżnej, która ostrzegała ją, by nie poufaliła się ze służbą.

„Jeśli chcesz znaleźć szczęście, którego szukasz, masz słuchać tego, co serce ci każe”.

Sarą wstrząsnął dreszcz. I łzy polały się ciurkiem z jej oczu. Nakaz serca zagroził jej wszystkie drogi do szczęścia.

Obudziła się zboląta, gdy Maria odsłaniała kotary w jej sypialni, mówiąc, że oto nastał kolejny piękny dzień.

I wtedy pomyślała, że ze swej miłości nikomu się nie zwierzy. Po raz pierwszy będzie miała przed Marią tak ważną tajemnicę. Po raz pierwszy skłamię swojej przyjaciółce.

„Pani jest urodzoną aktorką, lady Saro”.

I oto musi teraz udowodnić, że Jack miał rację. Zły to znak, pomyślała z rezygnacją, wstając z łóżka, że pamięta każde jego słowo do niej skierowane.

Mimo iż żołądek Sary wzdragał się przed jakimkolwiek posiłkiem, wypita poranną filiżankę czekolady. Zmusiła się do wysłuchania relacji pokojówki z rozmów służby, w których wiodącym tematem były błazeństwa Fitz'a z ubiegłej nocy. Podobno jej rodzice wpadli we wściekłość i na pewno zastanawiają się już nad sensem tych zaręczyn.

- Fitz czyni cuda - rzekła Sara z wymuszonym uśmiechem. Wstała i odwróciła się szybko od lustra. - Włożę chyba tę batystową suknię w kwiaty - powiedziała.

Unikała jak mogła dociekliwych spojrzeń Marii. Pomyślała, że bardzo byłoby wskazane, gdyby dziś rano zrobiła przy śniadaniu dobre wrażenie. Zatem z ciężkim sercem i rezygnacją w duszy zeszła na dół, wspierając się na lasce.

Większość gości po trudach nocy odpoczywała jeszcze we własnych sypialniach, toteż w pokoju śniadaniowym Sara zastała jedynie George'a i Susan Formantle'ów. Czując potrzebę oderwania się od bolesnych myśli, które ją trawiły, wszczęła z nimi rozmowę i doszła do wniosku, że bez wdowy Formantle są oni bardzo sympatyczni; inteligentni, mili i zakochani w sobie po uszy. Aż żał, że żyją pod nieustanną presją tej okropnej matrony.

Sara zaczęła mówić o koncercie podczas pikniku, jaki dziś po południu zamierzali wydać państwo Marlow - większość gości zgłosiła w nim udział. I wtedy właśnie Jack wszedł do pokoju, i Sara straciła wątek i nie wiedziała, gdzie podziać wzrok. Na szczęście Susan Formantle lubiła muzykę i podtrzymała temat, ciesząc się z perspektywy usłyszenia włoskiego sopranu, co państwo Marlow obiecali towarzystwu.

Gdyby Sara miała choć cień wątpliwości co do swego uczucia - że to tylko przejściowe zauroczenie, zwykła sympatia - ów cień rozwiałyby się teraz, bo serce zaczęło jej walić jak młotem i poczuła żar na policzkach, krew krążyła jej w żyłach coraz szybciej.

- Dzień dobry, lady Saro.

- Dzień dobry, Rawlins - wykrztusiła. Stał przy niej. Czuła jego obecność każdym swoim zmysłem.

- Czy dobrze się pani czuje?

- Tak, dziękuję ci.

- Czy mogę zapytać, jak się ma pani kostka?

- Dobrze... coraz lepiej, dziękuję. - Nie odrywała spojrzenia od kromki chleba z masłem na talerzyku. Nie mogła unieść wzroku.

- Księżna Somerton prosi, by odwiedziła ją pani w jej pokoju.
- Już idę. - Pokuśtykała niezwłocznie do drzwi. Woli towarzystwo matki niż Jacka? O Boże, do czego to doszło?

Przez następnych parę godzin starała się go unikać. Nie zdążyła się jeszcze oswoić z własnym do niego uczuciem i przebywanie w jego towarzystwie było teraz dla niej bardzo kłopotliwe. Przez tę niby skreconą kostkę skazana była na siedzenie w domu, uciekała więc do biblioteki, do pokoju muzycznego, gdzie często towarzyszyli jej państwo Doherty, a w najgorszym razie - do własnej sypialni.

Podczas obiadu Fitz oświadczył, że nie weźmie udziału w koncercie. Źle się czuje. Wszyscy odczytali to jednak - jest chory po przepiciu. Oczy wszystkich zwróciły się na Sarę - jak ona przyjmie tę wiadomość.

Wzruszyła ramionami.

- Nic dziwnego - powiedziała tylko i sięgnęła po drugi kawałek łośosia.

To już im wystarczyło. Domyślali się, co się święci - dla nich sprawa nie ulegała kwestii. Stałby się cud, gdyby w sytuacji, jaka się wytworzyła, a której przyczyną było fatalne prowadzenie się Lyletona, doszło do tego małżeństwa. Żyjąc wśród tych ludzi, Sara świetnie się orientowała, co sobie myślą. Przynajmniej to jedno się powiodło. Jeśli ktoś wystarczająco moźny i utytułowany poda w wątpliwość sens ich małżeństwa, jej rodzice nie pozostaną wobec tej opinii obojętni.

Gdybyż ona mogła pozostać obojętna wobec Jacka, który z chłodną rezerwą przemierzał salę jadalną, spełniając wszelkie potrzeby gości. Niestety nie potrafiła, i pogrążała się coraz bardziej. Siedziała wśród napuszonych dam i dżentelmenów, i pragnęła z całej mocy, aby John Rawlins uśmiechnął się do niej tak samo ciepło, jak pozwalał sobie czasem, gdy byli tylko we dwoje. Dziś miał twarz tak ponurą, że korciło ją, by powiedzieć jakiś dowcip, który by go rozśmieszył. Pragnęła, aby choć jeszcze raz w życiu objął ją tak jak wczoraj. Pragnęła dotyku dużych ciepłych dłoni dających jej takie poczucie bezpieczeństwa.

Siedziała w milczeniu, śledząc wzrokiem każdy jego ruch, dopóki nie wyszedł z jadalni. Jak ona przeżyje jeszcze trzy tygodnie, skoro trzy minuty przysparzają jej tylu cierpień?

Nie, tak dłużej być nie może. Musi wziąć się w karby, pożegnać się z marzeniami i rozważyć sobie to wszystko. Nie chce wyjść za mąż za Fitz'a. Nie może wyjść za mąż za Jacka. Nie może tkwić przy rodzicach. Nie ma nawet nadziei na rychłą śmierć. Somertonowie są długowieczni. Cóż ma zatem począć ze sobą?

Dwie drogi, o których mówiła Cyganka, są już przed nią zamknięte. Jaka jest ta trzecia?

Być może pewnego dnia pokocha kogoś innego i poślubi go, i będzie z nim miała czworo dzieci, jak obiecała jej Cyganka?

Jej serce odrzuciło taką możliwość. Nie ma na świecie drugiego takiego mężczyzny, który skupiałby w sobie siłę i wrażliwość zarazem. Nie ma na świecie drugiego takiego mężczyzny, którego ciepłe spojrzenie ogrzewałoby ją z odległości pięćdziesięciu stóp. Nie ma na świecie drugiego mężczyzny tak szlachetnego i pełnego wrodzonej godności. Nie ma na świecie drugiego mężczyzny o tak bystrym umyśle. Nie ma na świecie drugiego mężczyzny, który czułby tak jak ona, którego tak samo cieszyłyby lasy, rzeki i ogrody. Nie ma na świecie drugiego mężczyzny, z którym chciałaby usiąść w świetle księżyca nad czarnym lustrem jeziora.

Nie ma na świecie drugiego mężczyzny tak miłego jej sercu.

Jaka jest więc ta trzecia droga?

Nie znalazła odpowiedzi na to pytanie.

Tymczasem większość gości wyległa z domu, by udać się do posiadłości państwa Marlow. Dobrze, że sobie poszli, pomyślała.

Wdowa Formantle nigdzie jednak nie poszła i wezwała właśnie Freddy'ego, który nie cierpiał włoskich sopranów, aby zasiadł z nią w salonie do gry w karty. Freddy rzucił Sarze rozpaczliwe spojrzenie, nim poddał się okrutnemu wyrokowi losu. Danversowie ze znacznie większą niż on ochotą podążyli również do salonu gry.

Sara została sama.

Poszła, pamiętając o kuśtykaniu, do swojego pokoju i przez następną godzinę czytała dzieło o edukacji pióra Catharine Macaulay, którą to książkę znalazła o dziwo w bibliotece Charlisle. Skończyła lekturę i okazało się, że nie ma co robić. Wybrałaby się na przejażdżkę po łąkach, musiała sobie jednak odmówić tej przyjemności - miała przecież skreconą kostkę. Do rozmowy z kimkolwiek nie miała nastroju. A na samą myśl o grze w karty poczuła dreszcz zgrozy. Nie była nawet głodna.

Z westchnieniem wzięła książkę i wyszła z pokoju. Na szczęście istniała biblioteka.

Zastała tam Fitz, i to w całkiem dobrej formie. Póleżał na czerwonym skórzanym szeszlunku i przeglądał od niechcenia „Gentleman's Magazine”.

- Bezwstydnie się wylegujesz - powiedziała Sara półszepem.

Spojrzał na nią i uśmiechnął się.

- Bawidamek musi mieć coś do powiedzenia, czerpać skądś różne ciekawostki.

Sara również się uśmiechnęła, naprawdę się uśmiechnęła, nie tak sztucznie jak przez cały dzień. Kochany chłopak z tego Fitz'a, pomyślała.

- Wszyscy wyrażali mi swoje ubolewanie - rzekła - z powodu twoich wczorajszych sukcesów. Świetnie odegrałeś rolę. Nawet Charlotte była zaszokowana twoimi wyczynami. A ja byłam z ciebie dumna.

Fitz skinął głową łaskawie.

- Nigdy w życiu tak setnie się nie ubawiłem. Jeszcze trochę wysiłku z naszej strony i mamy upragnioną wolność!

- Z. plotek, które podsłuchałam, też to wynika. A może dziś wieczór powitalibyśmy naszych gości kolejną kłótnią?

- Przednia myśl!

Po trzech godzinach wszczęli kłótnię, która wspaniale się udała. Na dany przez Jacka znak, że goście wracają, Fitz i Sara przemknęli do biblioteki, nie zamykając za sobą drzwi. Gdy usłyszeli w hallu gwar głosów, rozpoczęli ostrą i donośną wymianę zdań.

- Jak śmiałeś mnie tak publicznie upokarzać?! - krzyczała Sara.

- Wcale cię nie upokarzałem - odparował Fitz. - Byłem po prostu uprzejmy wobec gości!

- Uprzejmy?! Obściskiwales się w tańcu z panną King!

- Ona przynajmniej wie, jak zainteresować mężczyznę!

- Aha, więc ja cię nudzę?

- I zdręczasz nieustannie! Jesteś jak komar: tylko bzykasz koło ucha bez umiarkowania!

- To twoi rodzice, sir, nie znają miary! - wrzasnęła, wiedząc, że państwo Lavesly współ z innymi gośćmi nadstawiają pilnie ucha. - Tak są zaślepieni chęcią poprawienia swojej pozycji, że wystawiają się na pośmiewisko!

- Nie waż się źle wyrażać o moich rodzicach! - krzyknął. - Dokładają wszelkich starań, by ich jedyny syn osiągnął coś w życiu. Nie lekce sobie ważą zaszczytnego tytułu i majątku. Szanują swoich sąsiadów i znajomych: ich pojawienie się gdziekolwiek nie doprowadza obecnych do białej gorączki, tak jak się to innym zdarza.

Fitz, zauważyła Sara, był całkiem mądry, wbrew opinii, jaka o nim krążyła. Tym wystąpieniem obnażył błyskotliwie ich wady, a zarazem stanął w ich obronie, jak na dobrego syna przystało. W odpowiedzi nazwała go safandulą i maminsynkiem. Nie pozostając jej dłużny, wykrzyzczał, że jest nieokrzesaną pannicą bez serca.

- Jak śmiesz wygrażać mi tą swoją laską?! - wrzasnęła.

Sarę zbiło to najpierw z tropu, ale szybko odzyskała rezon i krzyknęła:

- Jesteś wyliniałym kundlem, Lyletonie, i tylko kijem można cię potraktować!

Przekraczało to już wszelką wytrzymałość księżnej Somerton. Oznajmiła towarzyszącym jej osobom, że najwyższy już czas przebrać się do kolacji. Goście z ociąganiem zaczęli wchodzić po schodach, ona zaś przemierzyła szybko hall i z furją wpadła do biblioteki.

- Jak można się zachowywać w sposób tak ohydny i prostacki? Przynosicie wstyd obydwu rodzinom! Ty, sir - zmierzyła Fitzę pogardliwym spojrzeniem - wyjdź stąd natychmiast, a ja zamienię z córką parę słów.

Fitz rzucił Sarze przepraszające spojrzenie i skulony wyszedł z biblioteki.

- Obrzydlistwo! - natarła na córkę księżna, zatraskując za Fitzem drzwi z taką siłą, że aż cały dom zatrzęsł się w posadach, jakby ktoś strzelił z armaty. - To już przekracza wszelkie granice! - ciągnęła z wściekłością. - Jesteś podłą, nikiemną wiedźmą! - Uderzyła ją w twarz, raz i jeszcze raz, chcąc przemówić jej w ten sposób do rozsądku. - Straciłaś poczucie przyzwoitości. Gdzie twoje dobre maniery, godność osobista? Zapomniałaś o własnej pozycji, skąd się wywodzisz, i pozwalasz sobie traktować pana tego domu jak zwykłą przekupka!

- Wasza wysokość... - zaczęła Sara.

- Nie odzywaj się do mnie! Napawasz mnie wstrętem! Mierzi mnie sam twój widok! Wyrzekam się ciebie! Poczawszy od dziś, nie chcę mieć z tobą nic wspólnego! Jeśli dzisiaj wieczorem zobacę cię przy stole, ja sama wyrzucę cię z tego domu! Zostaniesz u siebie i w spokoju będziesz rozważać swój paskudny charakter, moralne zepsucie i przerażający zanik wszelkich dobrych cech, takich jak posłuszeństwo i poczucie obowiązku.

Księżna odwróciła się na pięcie i trzaskając drzwiami wypłynęła z biblioteki.

I wówczas Sara załamała się. Laska upadła jej na podłogę, gdy skrzyżowała na piersi ramiona i rozszołała się bezradnie. To prawda, zachowała się źle, ale żeby jej własna matka tak ją sponiewierała!

Przykryła ręką usta, chcąc powstrzymać płacz.

- Czy mogę w czymś pomóc, lady Saro? - rozległ się tuż za nią czyjś znajomy, miły głos.

Obejrzała się i przez zasłonę łez zobaczyła Jacka Rawlinsa. Współczucie w jego szarych oczach spotęgowało jeszcze żal.

- O-o-och, Jack - łkała. Postąpiła krok ku niemu i już po chwili trzymał ją w ramionach; poczuła się bezpiecznie, przywierając twarzą

do jego piersi. Głośne bicie jego serca tuż nad jej uchem działało na nią nad wyraz kojąco. Ale płakała coraz bardziej rozpaczliwie.

- Lady Saro, lady Saro - mówił, dotykając niemal ustami jej rudych włosów. - Niechże się pani tak nie zadręcza.

A ona zanosila się od płaczu. Świadomość, że rodzice jej nienawidzą, że nienawidzili jej od dnia narodzin, to straszna rzecz, ciężar nie do udźwignięcia, nie sposób z tym żyć. Jack szeptał słowa otuchy i kołysał ją delikatnie, co najwyraźniej zmniejszało jej ból. I dopiero po dobrych paru minutach dotarło do jej umysłu, że oto trzyma ją w ramionach mężczyzna, którego kocha, i że ten mężczyzna, którego ona kocha, nie może kochać jej.

Uwolniła się pospiesznie z jego uścisku, cofnęła parę kroków, biorąc odruchowo chusteczkę, którą jej podawał. Zakłopotana ogromnie, że Jack był świadkiem jej słabości, wytarła szybko oczy, policzki, nos.

- Przykro mi - powiedziała, z trudem wydobywając głos z zaciśniętego gardła. - Zachowałam się jak prawdziwa beksa.

- Nie, zachowała się pani jak ktoś, komu zadano w życiu zbyt wiele ran.

Drgnęła, gdy jego palce starły z jej policzka resztki łez, i odwróciła głowę.

- Nie bądź dla mnie za dobry, Jack, nie mogę tego znieść.

- Bo nie przywykła pani, że ktoś okazuje pani serce.

- Czy zasłużyłam sobie na taki los? - zapytała. Podeszła do okna, popatrzyła na bujną zieleń trawnika, ale nie przyniosło jej to ulgi. Ulgę dawało jej tylko ciepłe, pełne współczucia spojrzenie Jacka. Przemagając smutek i ból, znowu obróciła się ku niemu. - Czy jeśli człowiek szuka szczęścia albo przynajmniej chce uniknąć nieszczęścia, oznacza to, że jest egoistą?

- To tylko przejaw odwagi, na którą każdy powinien się zdobyć - odparł cicho.

Światło świec rzucało wielki cień na ścianę za jego plecami.

- Nie czuję się odważna. Czuję się inna. Gerald, Frances i Arabella dostosowali się do normy, a ja nawet nie wiem, do czego mam się dostosować. Myślałam swego czasu, że matka musiała mieć romans z którymś z lokai, i stąd ten mój cudaczny charakter. Ale z wiekiem zrozumiałam, rzecz jasna, że ona nigdy by nie uległa tak poniżającej cielesnej namiętności. Aż dziw, że w ogóle miała dzieci. Nie, to nie tak. Matka zawsze z przeraźliwą wręcz skrupulatnością wykonywała i wykonuje wszystkie swoje obowiązki. Dlaczego, Jack, ja jestem taka inna? - zapytała, wyciągając przed siebie dłonie bezradnym gestem. Dlaczego nie

zadowala mnie życie, jakim los tak szczerze mnie obdarzył? Dlaczego nie potrafię podporządkować się jego regułom, być obowiązkowa, solidna, dlaczego nie mieszcę się w tym świecie, który innym, na przykład Frances, tak bardzo odpowiada?

Stał przed nią. Uniósł dłonią jej podbródek, tak aby spojrzała mu prosto w oczy.

- Być może dlatego - rzekł - iż ma pani serce dobre i szlachetne. Być może dlatego, że nazbyt pani kocha wolność, by dać się zamknąć w klatce.

Z trudem złapała oddech.

- A więc nie uważasz tego za zwykłą ułomność?

Uśmiechnął się i tym uśmiechem pocieszył ją, dodał jej otuchy, a nawet rozweselił.

- Jest w tym oczywiście jakiś element ułomności - powiedział. Cofnął się odrobinę i jakby umyślnie znów przybrał pozę służącego. - Życzy pani sobie przed snem filiżankę gorącej czekolady z dodatkiem brandy?

Uśmiechnęła się po raz pierwszy od sceny, jaką zrobiła jej matka.

- Nie, dziękuję, czuję się całkiem znośnie. - Spojrzała na zmiętą chusteczkę, którą dał jej Jack. - Zupełnie ci ją zmoczyłam.

- Nie szkodzi, mam ich dość.

Och, jak ją korciło, by zostać tutaj przy nim, czuć na sobie jego spojrzenie.

- Byłeś bardzo uprzejmy, Johnie Rawlins - rzekła oficjalnym tonem. - Dziękuję ci.

Złożył jej równie oficjalny ukłon.

- Zawsze jestem do usług, wielmożna pani.

Otworzył przed nią drzwi i wyszła z biblioteki, jak gdyby nic niestosownego się nie zdarzyło... Jak gdyby nie czuła jego wzroku obejmującego całą jej postać.

15

tego wieczoru siedziała w swoim pokoju, wcale nie myślała o własnym podłym charakterze, jak zaleciła matka, tylko o miłości i Johnie Rawlinsie, i trzech drogach, jakie miała do wyboru - *coup de grace* swoich zaręczyn nie poświęciła ani chwili.

Fitz, żywiąc przekonanie, iż jego rodzice tylko czekają na inicjatywę Somertonów kładącą kres temu związkowi, po kolacji dopadł księcia w salonie.

A temat, jaki chciał z nim przedyskutować, wiązał się z najbardziej ekskluzywnym w Londynie burdelem, który to przybytek książę zwykł był odwiedzać przy okazji. Księżna oraz cały elegancki świat woleli o tym nie wiedzieć, choć fakt był powszechnie znany. Każdy w towarzystwie wiedział wszystko o wszystkich. Lecz każdy był na tyle dobrze wychowany, by nie poruszać tego wątku, zwłaszcza gdy w grę wchodziła niewiasta o tak wysokiej pozycji jak księżna. Ale co się tyczy Fitz, to nie było dlań złej drogi do osiągnięcia celu, czyli odzyskania wolności.

- Czy to prawda, że oni tam mają najpiękniejsze dziewczyny w Europie? - wybełkotał na cały głos, niby to pijany, kładąc poufałym gestem rękę na ramieniu księcia.

- Nie wiem - odparł jego wysokość, usiłując go wyminąć, ale Fitz do tego nie dopuścił.

- Ależ wie pan, bez wątplenia! - wrzasnął rozradowany. - Jest pan praktycznie członkiem fundatorem tego, powiedzmy, klubu.

- Proszę nie podnosić głosu, sir!

- Sęk w tym - tłumaczył Fitz, czkając - że ja nie jestem jego członkiem, a skoro żenię się z tą pańską jędzowatą córką, to chciałbym nim zostać jeśli mam mieć jakieś... no... ujście. Czy mógłby mnie pan zarekomendować pani Hill?

- Nie zajmuję się czymś takim.

Musi pan się zająć! Zrobi mi pan męską przysługę, jak przysły ojciec synowi, no właśnie! Niech pan, książę, nie żałuje mi łask niewieścich. Nie wejdę panu w drogę, słowo honoru.

- Pan, sir, nie ma pojęcia, co to jest honor! - Księżciu udało się wreszcie odczepić od pijanego gospodarza.

Zachwycony odegraną rolą Fitz skierował swe kroki ku księżnej, która, blada i zaszepiona, stała nieopodal. Towarzysząca jej pani Elinore Braithwaite zdażyła szybko się oddalić, nim Fitz otoczył ramieniem kibić księżnej i zaczął w poetyckich słowach głosić swoją radość z rychłych więzi rodzinnych z tak czcigodną jak ona osobą. Tak się zagalopował, że jął wyliczać jej kobiece zalety, łącznie z całkiem ponętym biustem i wydatnymi, kuszącymi ustami. Zanim zdołała się spostrzec, chwycił ją w ramiona i pocałował.

Nie zaznawszy w życiu aktu podobnie brutalnego, nawet ze strony własnego małżonka, księżna zaskrzeczała - innym słowem określić tego niepodobna - gdy tylko była w stanie wydobyć z siebie głos:

- Barbarzyńca! - Po czym z całych sił, spotęgowanych wściekłością, wymierzyła mu policzek. Fitz runął na podłogę. - Pomylenieć! - krzyczała. - Pierwej trafisz do piekła, niż poślubisz moją córkę!

Wypadła z pokoju. Książę, nim wybiegł za żoną, zakazał Fitzowi zbliżania się do niej na krok.

Fitz tymczasem siedział na dywanie z ręką przy twarzy.

- To wymaga szampana! - zawołał, a wszyscy wokół przyglądali mu się ze zdziwieniem, radzi ogromnie, że oto stali się świadkiem najgłośniejszego skandalu roku.

Wieczorem, gdy goście udali się już na spoczynek, hrabiostwo Lavesly w swoich apartamentach, a księstwo Somertonowie w swoich, doszli do tego samego wniosku. Aczkolwiek skutki tego będą ze wszech miar niekorzystne, należy, kierując się troską o stan własnego zdrowia, odwołać ślub ich latorośli.

Obie pary małżonków źle spały tej nocy. Nazajutrz wstali wczesnym rankiem, zmęczeni odrobinę, ale z mocnym postanowieniem podjęcia stosownych kroków. Gdy nadeszła odpowiednia pora, wymienili listy z prośbą o spotkanie w bibliotece w sprawie ściśle prywatnej. Tylko Jack wiedział o tym spotkaniu i gdy go odprawiono, pobiegł obudzić Fitzę, potem - przez Marię - Sarę, by mieli czas przygotować się na to, co ich czeka.

- Jak do tego doszło? - zapytała Sara, jeszcze w szlafroku, podchodząc do stojącej w progu Marii.

Jack opisał zwięźle przebieg wydarzeń.

- Och, jaki ten Fitz jest mądry! - zawołała radośnie Sara. - Jestem wolna, a lato jeszcze się nie skończyło. Szkoda, że nie widziałam tego przedstawienia.

- Jeśli mogę wyrazić swoją opinię, wielmożna pani, było wspaniałe.

- Dobrze się sprawił! Nie wyczerpaliśmy w końcu wszystkich środków. Ubiorę się i pobiegnę złożyć mu gratulacje.

Pośpiech okazał się konieczny, bo miała tylko pięć minut na uściskanie Fitzę. Zdążył ją zapewnić, że jest najlepszą na świecie byłą narzeczoną, gdy Maria zapukała do drzwi i oznajmiła, że rodzice proszą Sarę do biblioteki. Tę samą wiadomość Jack przekazał Fitzowi.

- Odwagi - szepnęła Jack, a Sara w zamian za jego troskę uśmiechnęła się doń nieśmiało.

Para narzeczonych weszła do biblioteki, Jack zamknął za nimi drzwi. Hrabina Lavesly siedziała na kanapie, hrabia stał obok. Księżna siedzia-

ła naprzeciwko hrabiny na fotelu, księżę stał obok. Wszyscy mieli identycznie posępne miny. Księżna przemówiła pierwsza:

- Kierując się honorem, rozważą i dobrem rodziny, zrywamy łączące was więzy narzeczeństwa.

Fitz i Sara milczeli przezornie. Nawet się nie uśmiechnęli.

- Jakkolwiek przykra to decyzja - ciągnęła ponuro księżna - czymś znacznie gorszym byłoby wasze małżeństwo, albowiem nie mamy już teraz żadnych wątpliwości, iż zamiast przynieść obu rodzinom spodziewane korzyści i splendor, doprowadziłoby ono wszystkich nas do ruiny. Od pierwszego waszego spotkania zachowywaliście się oboje w sposób wręcz odrażający. Jestem do głębi oburzona.

- Przepraszam, matko - powiedziała Sara, dygnawszy skromnie.

- Źle postępowałaś, Saro - oświadczył księżę - ale nie posunęłaś się aż tak daleko jak... ten niegodziwiec - ciągnął - od pierwszej do ostatniej chwili zachowywał się tak obrzydliwie, że w mojej rodzinie nie mógłbym kogoś takiego tolerować.

- Proszę sobie nie pozwalać na krytykę mojego syna! - wrzasnęła hrabina Lavesly. - Pańska córka zachowywała się nieledwie jak ladacz-nica!

- Jak pani śmie?! - wyszczała księżna Somerton, zrywając się na równe nogi. - Pani syn przeszedł samego siebie w obrażaniu mnie każdym słowem i czynem!

- Pani córka, madame - mówił hrabia z wypiekami na twarzy - wykazała taki brak ogłady, że nie powinna pani nawet marzyć o tym, by weszła do mojej rodziny.

- Ojczy... - zaczął Fitz.

- Być może Sara zachowała się czasem bardzo niewłaściwie, ale ona przynajmniej nie jest pijacką! - oświadczyła księżna.

- Matko.. - zaczęła Sara.

- Jest za to łobuzicą - wyrzekła hrabina, powiewając blond lokami.

- A pani syn jest rozpustnikiem - powiedział księżę.

- Kocioł garnkowi przygania - zripostowała hrabina, łyknawszy powietrza.

- Ooo, za wiele sobie pani pozwala - stwierdziła księżna. - Mój małżonek cieszy się powszechnym i zasłużonym szacunkiem. Daleko państwu do jego pochodzenia i fortuny.

- Chce pani przez to powiedzieć, że nie jesteśmy was godni? - zapytał hrabia. Że jesteście lepsi, choć macie taką jak ona córkę?

- Pański syn, sir, odziedziczył wszelkie złe cechy po waszych niskiego stanu przodkach - oświadczył księżę. - Aż dreszcz mnie przechodzi

na myśl, że mogliśmy się związać rodzinnie z kimś o tak prostackim pochodzeniu.

Sara i Fitz słuchali z zażenowaniem tej awantury, jaka wybuchła między dwoma czcigodnymi małżeństwami. Raz czy dwa próbowali interweniować, ale nikt nie zwracał na nich uwagi, obrali zatem najrozsądniejszą metodę - wycofali się z pola walki. Wymknęli się z biblioteki, cicho zamykając za sobą drzwi. Nawet nie zauważono ich zniknięcia.

Sara spojrzała na Fitz'a, Fitz spojrział na Sarę. Uśmiechnęli się jednocześnie i wymienili uścisk dłoni.

Księżciu, jako najwyższemu rangą w towarzystwie, przypadło w udziale wydanie oświadczenia podczas śniadania.

- Mamy szczerą nadzieję, że to niefortunne wydarzenie nie zepsuje nikomu nastroju i że w dalszym ciągu będą się państwo dobrze bawić tego lata. Zerwanie zaręczyn odbyło się w sposób polubowny, zapewniam państwa. Rodziny Laveslych i Somertonów pozostają w najlepszej komitywie i liczą na to, że takąż komitywa trwać będzie między nami wszystkimi.

W uszach Sary zabrzmiało to złowieszczo. Księżna nie odbyła z nią jeszcze rozmowy, więc Sara po śniadaniu podeszła do księcia.

- Czyżbyśmy mieli zostać w Charlisle? - zapytała.

- Musimy - burknął książę.

- To ogromnie kłopotliwa sytuacja...

- Nie ma rady. Nie wolno nam dopuścić do tego, by ludzie mówili, że Somertonowie położyli uszy po sobie i wyjechali jak niepyszni.

- Ależ, ojciec...

- Chodzi o honor Somertonów - rzekł książę chłodno. - Nie powiedziałem, że musimy przebywać w Charlisle do końca lata. Przeciwnie, oboje z księżną ustaliliśmy, iż po tygodniu wrócimy do domu.

- Jeszcze cały tydzień!

Zmierzył córkę pogardliwym spojrzeniem.

- Możesz się nie obawiać towarzystwa Lyletona czy kogokolwiek z rodziny państwa Lavesly. Jestem przekonany, że będą cię unikać, tak jak my będziemy unikać ich. Sytuacja, owszem, niezręczna, ale nie potrwa długo. W końcu tydzień to tylko siedem dni.

- To prawda - mruknęła Sara pod nosem. Obserwowała ojca, który dołączył do starszych Braithewaite'ów i razem udali się na poranny spacer. Tydzień wydawał się jej teraz wiecznością. Jak ona go przeżyje?

- Saro!

Obejrzała się. Corliss nie wyszła wraz z innymi na przechadzkę; spoglądała na nią z niepokojem.

- Czy to prawda - zapytała, a jej policzki przybrały barwę różowej sukni, jaką miała na sobie. - Czy to prawda, że nie poślubisz Fitz'a?

- Szczera prawda.

- Ty nie chcesz za niego wyjść?

- Tak, a on nie chce ożenić się ze mną - zapewniła Sara przyjaciółkę.

- To świetnie - rzekła Corliss z westchnieniem ulgi - bo właśnie ja chciałabym wyjść za niego.

- Co?

- Wiem, że on nie jest za mądry, ale i ja, Saro, mądrością nie grzeszę. Według mojej oceny Fitz jest miły, dobry, uprzejmy. Zawsze doskonale się czuję w jego towarzystwie. Nie przeszkadza mi ani jego sposób ubierania się, ani miłość do koni. Jego dobroć przeważa te drobne usterki.

- Jesteś zakochana - stwierdziła Sara, walcząc zaciekle, by odzyskać jasność umysłu.

Corliss roześmiała się figlarnie.

- Kompletnie, nieodwołalnie, i jestem szczęśliwa z tej racji.

- Kochanie, ale muszę cię ostrzec: Fitz jest jak najdalszy od że-niaczki, z kimkolwiek, nawet z tobą.

- Och, wiem o tym doskonale. On potrzebuje paru lat wolności. Lecz przyjdzie do mnie, Saro. Już moja w tym głowa. Zrobię wszystko, aby uwierzył, że na jego żonę tylko ja się nadaję. Taka jestem rada, że go nie chcesz.

Sara, oszołomiona odrobinę, odprowadzała wzrokiem Corliss. Był to istny dzień cudów.

- Czy mogę złożyć wielmożnej pani gratulacje po tak zwycięskiej kampanii?

Odwróciła się gwałtownie - obok niej stał Jack, w jego oczach igrały radosne błyski.

- Mieliśmy dobrego sojusznika - rzekła.

- Jednakowoż tylko odwadze i bezczelności państwa należy przypisać ten sukces.

Rumieńcem skwitowała komplement.

- Obawiam się, że bezczelność jest ostatnią rzeczą, jaka przystoi córce księcia.

- Książę z pewnością podziela pani opinię w tej kwestii.

Stojąca parę stóp dalej pani Clarke kaszlnęła dyskretnie. Jack ukłonił się, podszedł do gospodyni i zamieniwszy z nią parę zdań opuścił pokój.

Sara, patrząc w ślad za nim, potrząsnęła głową, strapiiona. Zamiast wdychać do tego mężczyzny powinna za wszelką cenę starać się o nim

zapomnieć. Nie wolno jej o nim śnić - tak jak ubiegłej nocy - musi pogodzić się z tym, iż jej życie upłynie bez niego. Dlaczego z takim uporem zadreżcza się bez przerwy?

Dłużej tego znosić niepodobna. Jeszcze przez tydzień musi wytrzymać jego obecność. W tym czasie przemówi sobie do rozsądku, każe zamilknąć sercu i postara się jakoś żyć.

Wyszła z sali jadalnej pogrążona w rozważaniach o swojej przeszłości i przyszłości.

Jak każda młoda dama z wyższych sfer, wiodła dotąd żywot zgodny z wolą rodziców. Respektowała ich postanowienia i wyroki... aż do tego lata. Obecnie jednak, skoro stawiała opór wobec najważniejszej decyzji w jej życiu, nigdy już nie będzie posłuszną córką, jaką do tej pory starała się być. Zmieniła się. Nie była już tą potulną Sarą, którą przejmowało lękiem każde słowo rodziców. Prawdę mówiąc, czuła, że stanie się teraz naprawdę tak krnąbrna, za jaką zawsze księstwo ją uważali.

Nastręczy to mnóstwo problemów, myślała, wchodząc wolno po schodach. Wprawdzie plany małżeńskie z Fitzem skończyły się fiaskiem, ale *to* wcale nie *znaczy*, że rodzice zrezygnują z wydania jej za męż. Nie podda się im. Nie wolno jej się poddać. Nie wyjdzie za męż tylko po to, by ich zadowolić. I nie zamierza spędzić życia u ich boku, pod ciągłą ich kuratelą, jako pogardzana przez nich stara panna.

Kierowała już kroki w stronę swego pokoju, gdy coś nagle przyszło jej do głowy. Zatrzymała się jak wryta. Trzecia droga!

Stała przy naturalnej wielkości posagu Diany w kąpieli, porażona wizją nowego życia, jakie mogłaby sobie stworzyć: niezależna, pełna spokoju, samotna co prawda, ale nie nękana przez rodziców i z dala od reguł jej sfery... I w tej wizji nie było nic z rozpacz. Cyganka nie miała racji. Można osiągnąć szczęście bez męża i bez utalentowanej literacko córki.

Usłyszała odgłos otwieranych drzwi, a że nie chciała z nikim się spotkać i wdawać w rozmowę, gdyż myśli jej wracały z uporem do tej trzeciej drogi, schowała się za posągiem Diany. Obserwowała z zaciekawieniem państwa Danvers, którzy wyszli właśnie z pokoju pani Elinore Braithwaite i zerkając ostrożnie na wszystkie strony, pospieszyli wiodącym do ich sypialni korytarzem.

Gdy ich kroki zamilkły, Sara wyszła zza posagu i spojrzała za nimi. Czyżby to było to, co pomyślała?

Otworzyły się drzwi pomieszczeń dla służby i w progu stanął Jack. Wymienili znaczące spojrzenia.

- Danversowie? - głośnym szeptem zapytała Sara.

- Podejrzywałem ich od dawna - odparł z niezmaconym spokojem.
- O Boże! I masz na to dowody?
- Jeszcze nie. Dokonałem już pobieżnego przeglądu ich pokoju, jednak nie znalazłem nic, co by potwierdzało moje supozycje.

Z założonymi do tyłu rękami Sara zastanawiała się chwilę.

- Musimy zatem coś przedsięwziąć - doprowadzić do tego, by publicznie się skompromitowali.

- My?

Spojrzała na Jacka niemal z wyrzutem.

- Oczywiście, że my! Ty pomogłeś mi obronić się przed niefortunnym małżeństwem, dlaczegoż bym ja nie mogła ci pomóc w schwytaniu złodziei biżuterii?

- Istotnie, pani pomoc bardzo by się przydała.

- Cóż za łaskawość z twojej strony!

Uśmiech rozjaśnił jego oblicze, lecz zaraz zgasł.

- Ośmielam się zauważyć, że spiskowanie W korytarzu jest wielce nieroztropne.

- To prawda. Chodźmy do mego salonu. Tam nikt nam nie przeszkodzi.

Świadoma swoich uczuć stwierdziła z goryczą, że popełniła błąd. Przebywanie sam na sam z Jackiem sprawi jej dotkliwy ból. Ale obiecała mu pomóc. Ponadto jeszcze przez cały tydzień będzie spotykać ukochanego, nie zdoła uniknąć cierpienia. Szczęście, że znalazła już swoją drogę.

W ciągu paru minut obmyśli sposób na zdemaskowanie lorda i lady Danvers. Przedtem jednak należało wejść w posiadanie jakiegoś ukradzionego przedmiotu, a to już było znacznie trudniejsze, wymagało głębszego namysłu.

- Te kosztowności muszą być w ich pokoju - rzekła Sara. - Tylko ukryte gdzieś, żeby ani pokojówka, ani lokaj nie mogli się na nie natknąć.

- W tym pokoju nie ma sejfu ani żadnego schowka. Nie zauważyłem też żadnej sekretnej szuflady ni szafki.

- Muszą więc to sekretne miejsce mieć przy sobie.

- A może ich kuferek ma podwójne dno?

- Otóż to właśnie. - Sara rozwarła szeroko oczy, jakby ją coś tknęło. - A może trzymają te rzeczy w słoiku na tabakę?

- Bardzo możliwe! Wysypał tabakę, na dnie słoika umieścił klejnoty, położył na wierzchu tyle tabaki, ile się dało... Doskonały pomysł!

- Dziękuję za uznanie - uśmiechnęła się, demonstrując dołeczki na policzkach.

- Miałem na myśli Danversów.

Uczucie zawodu rozproszył ciepły i serdeczny uśmiech Jacka. Och, nie ma w całej Anglii podobnie czarującego mężczyzny!

- Z tego, co udało mi się podsłuchać - ciągnął, już bez uśmiechu - lord Danvers na każdą wizytę bierze zawsze ze sobą trzy słoiki i zawsze sam napełnia swoją tabakierkę. W trzech słoikach zmieści się sporo biżuterii.

- Wiesz zatem, co masz robić - powiedziała Sara. - Bez trudu uda mi się zająć rozmową złodziei, podczas gdy ty ponownie przeszukasz ich pokój.

- Tak, i trzeba to zrobić już dzisiaj. Lady Danvers poinformowała mnie bowiem, że pod koniec tygodnia wyjeżdżają z Charlisle do Leicestershire na jakąś rodzinną uroczystość.

- Trzeba więc działać szybko. Jeśli dopisze nam szczęście, zdema-skujemy ich już przed kolacją. Jakim sposobem przez godzinę zatrzy-mać ich przy sobie, abyś ty w tym czasie miał wolną rękę? - Zafrasowa-ła się. - Spacer? Nie, przecież ja wciąż kuleję. Wiem! Pływanie łodzią po jeziorze. Powiem im, że jestem w stanie dojść powoli do jeziora i z po-wrotem - ta moja kostka! - i na wodzie spędzimy co najmniej godzinę. Powiem, że młody Braithwaite obiecał mi przejażdżkę łódką i sprawił mi zawód. Udam, że bardzo nad tym boleję. Nie będą mieli wyjścia i sa-mi zaproponują swoje towarzystwo.

- A jeśli spotkacie pana Braithwaite'a?

- Nic się nie stanie, uprzedzę go. Freddy to uczynny młodzieniec. I nigdy nie zadaje zbędnych pytań.

- Dobra cecha - stwierdził Jack z powagą. - Zatem plan mamy go-towy. Proszę, lady Saro, iść teraz do porannego salonu i przybrać melan-cholijny wyraz twarzy. Postaram się zwabić tam Danversów.

16

Mimo nieciekawego towarzystwa, a właściwie dzięki nieciekawe-mu towarzystwu, Sara bardzo się cieszyła z perspektywy pływania ło-dzią po jeziorze. Nigdy dotąd, przynajmniej świadomie, nie stykała się z przestępcami, i doszła do wniosku, że może to być bardzo emocjonu-jące doświadczenie. Zważając pilnie, by Danversom nie przyszło nawet do głowy, że ona coś wie, aby żadnym słowem nie wzbudzić ich niepo-

koju, przez cały czas wiodła w rozmowie temat biżuterii. Podzieliła się z nimi smakowitą plotką tyczącą hrabiego Larchmonta, który ostatnimi czasy nabył przepiękny pierścionek z rubinem- nie dla swojej żony. Potem zastanawiała się, czy perły lady Winster i hrabiny Lavesly są aby najwyższej jakości, i dodała, że ona miała tylko bransoletkę z perłami, która ostatnio gdzieś się jej zawieruszyła.

Państwo Danversowie - równie jak ona zainteresowani tematem - zachowywali niewzruszony spokój; wyrazili jej współczucie z powodu utraty bransoletki, a także zdziwienie, że Cyganie, mimo tych kradzieży, do tej pory przebywają na wolności; orzekli także, iż ich zdaniem perły lady Winster są najwyższej klasy.

Kontynuując z zapałem ten wątek, Sara wyobrażała sobie jednocześnie penetrującego ich pokój Jacka. To niegodziwe zajęcie zupełnie do niego nie pasowało. Aż skrzywiła się na tę myśl.

Podczas podwieczorku - skoro nie wypadało rozmawiać o tym, co wszystkich interesowało najbardziej, a mianowicie o zerwanych zaręczynach - temat kradzieży klejnotów pojawił się niejako sam z siebie.

- Zginął mi ze szkatułki na biżuterię mój ulubiony brylantowy naszyjnik - lamentowała pani Braithwaite. - Stwierdziłam jego brak dziś po południu. Należał ongiś do mojej babci. Bardzo go sobie ceniłam.

- To straszne - mruknęła ze współczuciem pani Danvers. - W zeszłym roku na przyjęciu u Jerseyów ukradziono mi pierścionek, który dostałam od matki. Płakałam całe dwa dni. - Lokaj podał jej szparagi, nałożyła sobie na talerz solidną porcję.

- Jestem zdumiony, lordzie Lyleton, że do tej pory nie kazał pan arestować tych okropnych Cyganów - rzekł lord Danvers.

Uprowadzony przez Jacka Fitz odparł:

- Oświadczam z całą powagą że winni znajdują się niebawem za kratkami. Możecie zatem państwo spać spokojnie.

- Najwyższy czas! - ryknęła wdowa Formantle. - Mam dość noszenia zawsze przy sobie swoich kosztowności.

- A ja chciałbym odzyskać złotą tabakierkę - powiedział z gniewem pan Braithwaite. - Podarował mi ją najjaśniejszy książę.

- Ooo! - jęknęła Sara.

Siedzący po jej lewej stronie lord Danvers obrócił ku niej zatroskaną twarz.

- Czy coś się pani stało?

Sara przyłożyła dłoń do powieki.

- Coś mi wpadło do oka, ojej... lordzie, mógłby mi pan służyć chusteczką?

- Naturalnie - odparł. - Wyciągnął z kieszeni chustkę wraz z naszyjnikiem pani Braithwaite.

Wszyscy w pokoju otworzyli szeroko usta w osłupieniu.

- Boże Najświętszy, jakim cudem mój naszyjnik znalazł się w pana kieszeni?! - krzyknęła pani Braithwaite wzburzona do głębi.

- N-n-nie wiem - padła szczerą odpowiedź. Zbladł, a po chwili zzieleniał. - To jakiś niecny podstęp. Jestem niewinny!

- Jeśli mogę coś wtrącić, wielmożny panie - powiedział Jack do Fitz'a - to ja już od dawna podejrzewałem państwa Danversów o udział w tych kradzieżach.

- Trzeba przeszukać ich oboje - rzekła Sara.

Sugestię ową natychmiast wprowadzono w czyn. Wdowa Formantle dopadła lady Danvers i wbrew jej protestom przeszukała ją od stóp do głów. Potem chwyciła jej torebkę i wysypała na stół całą zawartość: chusteczka, w którą zawinięte było coś złotego, mała flaszka soli trzeźwiących i portmonetka.

- Moja tabakierka! - ryknął pan Braithwaite, unosząc palec oskarżycielskim gestem.

Na dany przez Jacka znak dwaj lokaje stanęli po obu stronach lorda Danversa, co dałoby się porównać z aktem aresztowania. Lady Danvers znalazła się w podobnej sytuacji.

- Nie! Nie! - krzyczała. - To jakaś pomyłka! Nie jestem złodziejką!

- To oburzające! - krzyczał jej mąż. - Proszę mnie natychmiast puścić!

- Jeśli wolno mi coś rzec, wielmożny panie - zwrócił się Jack do Fitz'a, ubawionego ogromnie całą tą sytuacją- byłoby wskazane, bym wraz z moimi ludźmi przeszukał tymczasem sypialnię Danversów.

- Tak też uczynić - powiedział Fitz.

Jack oraz sześciu lokai udali się na pierwsze piętro. Nie tylko zresztą oni. Podążyła za nimi większość gości spragnionych wrażeń. Ludzie Jacka przez dobry kwadrans dokonywali szczegółowej rewizji pokoju Danversów. Potem Jack wezwał Earnshawa, którego przed godziną wtajemniczył w całą sprawę.

I to właśnie Earnshaw odnalazł słoik z tabaką i jął ochoczo go opróżniać, wrzucając zawartość do porcelanowej miski. Bransoleta Sary, rubinowy naszyjnik lady Winster, inkrustowane klejnotami złote szpilki do fularów lorda Marble oraz kilka jeszcze innych drobiazgów ukrytych pod warstwami tabaki.

Licznie zgromadzeni w pokoju goście mieli niebagatelną satysfakcję.

- Pozwoliłem sobie ostatnio na przeprowadzenie pewnego śledztwa - powiedział Jack. - I ustaliłem, że na przyjęciach, podczas których ginęły kosztowności, zawsze obecni byli lord i lady Danversowie.

I to przypieczętowało ich los. Earnshaw w dalszym ciągu grzebał w tabace i kichając nieprzerwanie, odnalazł jeszcze kilka klejnotów. W końcu całe towarzystwo zeszło triumfalnie na dół. Jack zdążył już wysłać do wioski jednego ze swych ludzi, by sprowadził do Charlisle lokalnych przedstawicieli prawa. Protestujących zawzięcie Danversów odstawiono do więzienia, by nazajutrz rano mogli stanąć przed obliczem tutejszego sędziego. Zapowiadała się niezła zabawa, w której wszyscy goście chcieli uczestniczyć.

- Doskonale się spisalesz, Jack - szepnął Fitz, gdy Jack w sali jadalnej podsunął mu krzesło. - Aż nie do wiary, że Danversowie byli tak nierozważni, aby nosić przy sobie jeden z tych klejnotów.

- Nie byli tak nierozważni, wielmożny panie - mruknął Jack. - Przed obiadem wsunąłem mu go do kieszeni, chcąc zyskać niezbędny dowód uprawniający do ich aresztowania.

Fitz spojrzał na niego z respektem.

- Chytra bestia z ciebie - rzekł.

- Dzięki za uznanie.

Goście o niczym innym nie mówili, tylko o tych kradzieżach i aresztowaniu Danversów. Wdowa Formantle twierdziła z uporem, iż ona już od początku żywiła wobec nich podejrzenia. Księżę Somerton podzielił jej stanowisko. Orzekł, że zawsze miał poważne zastrzeżenia do tej pary. Lord Lavesly stwierdził, że ich upodobanie do rozrywek towarzyskich budziło w nim od dawna pewne wątpliwości. Pan Braithwaite dodał, iż Danversowie, posługując się sprytnie pochlebstwami, zyskiwali sobie zaproszenia do domów, które zamierzali obrabować. Parę osób przy stole uznało tę wypowiedź za niezwykle mądrą i pogratulowało autorowi przenikliwości umysłu.

Na Sarę nikt przy stole nie zwracał uwagi. Zerwane zaręczyny były niczym wobec wykrycia sprawców zuchwałych kradzieży. Przysłuchiwała się z przyjemnością pochwałom, jakie padały pod adresem Jacka, który tak wydatnie przyczynił się do zdemaskowania złodziei. Rada była, że go doceniono, przynajmniej tym razem. Nie chciała jednak, by ktoś dowiedział się, jaki ona miała w tym udział. Wołała pozostać w cieniu.

Zakończenie ze wszech miar pomyślne - powiedziała cicho Sara do Jacka, który sprawdzał nakrycie na stole bufetowym w salonie. Weszła

tam właśnie po parasolkę, bo zapomniała jej wziąć ze sobą na przechadzkę.

- Dziękuję za uznanie, lady Saro - rzekł, przeglądając srebra. Przesunął na właściwe miejsce kilka porcelanowych talerzy.

Stała chwilę bez ruchu. Coś złego wisiało w powietrzu.

- Przez długi czas będzie ci tu towarzyszyła słowa bohatera - powiedziała. - Wytrzymasz ten napór pochwał?

- To mi nie grozi. - Odwrócił się od stołu i spojrzął na nią wzrokiem bez wyrazu. - Jutro rano wyjeżdżam z Charlisle.

- Wyjeżdżasz? - zapytała ledwo słyszalnie.

- Tak. Jutro pan Greeves obejmuje z powrotem swoje stanowisko. Ja jeszcze mam parę spraw do załatwienia, toteż zbieram się do drogi.

- A... Danversowie?

- Napisałem obszerne sprawozdanie, które sędziego z pewnością zadowoli.

Zabawne, pomyślała Sara, człowiek umiera, a jednocześnie żyje.

- A więc to jest pożegnanie...

- Tak, wielmożna pani. - Milczał chwilę. - Czy mogę zapytać... co będzie pani robiła po wyjeździe z Charlisle?

Opanowała chęć wzruszenia ramionami.

- Zaszyję się na wsi i będę dążyła do uzyskania choćby namiastki samodzielności. A ty?

- Mam niewielką posiadłość w Devonshire.

- Aha - rzekła cicho. - Przejeżdżałam kiedyś przez tę okolicę. Bardzo piękne widoki. Mam nadzieję, że będziesz tam szczęśliwy. - Przemagała drżenie głosu. - Zatem nic innego mi nie pozostaje, jak życzyć ci pomyślności i dziękować za wszystko, co dla mnie zrobiłeś. - Wyciągnęła ku niemu dłoń, on chwycił ją i mocno uściskał.

- Wielką dla mnie przyjemnością było pani służyć - powiedział z niezmałonym spokojem.

Miała tak ściśnięte gardło, że ani słowa nie mogła z siebie wydusić. Przez grubą zasłonę łez odnalazła jakoś drogę do drzwi. Jedyne, o czym marzyła, to uciec, ukryć się gdzieś.

Weszła na piętro i niemal na oślep ruszyła w stronę swego pokoju.

- Saro!

Nie zatrzymała się.

- Saro! - Ktoś chwycił ją za ramiona. - Mój Boże, Saro, co się stało? Czy źle się czujesz?

Spojrzała z niechęcią na Charlotte.

- Proszę cię, puść mnie - szepnęła.

- Nie puszczę - oświadczyła przyjaciółka. Pchnęła ją do swojej sypialni. - Opowiesz mi tu zaraz, co się stało, że wyglądasz, jakbyś była ciężko chora.

Sara usłyszała odgłos zamykanych drzwi. Odrętwienie, w którym trwała, minęło jej nagle. Łzy spływały jej po policzkach.

- Och, Charlotte - jęknęła i ukryła twarz w dłoniach.

- Kochanie, co ci się takiego przydarzyło? - zapytała poruszona do głębi, bo jeszcze nigdy nie widziała Sary tak załamanej. Przytuliła ją do siebie. - Saro, co z tobą?

- Jestem zakochana - odparła, szlochając w ramionach przyjaciółki.

- Naprawdę? - Charlotte nie ukrywała zdumienia.

- Tak. I to nieszczęśliwie. Beznadziejnie.

- Dlaczego?

- Bo obiektem moich uczuć jest John Rawlins.

- Rawlins? - Charlotte zamrużyła powiekami. - Ten kamerdyner?

- Nie mów w ten sposób - zaprotestowała Sara, uwalniając się z jej objęć i sięgając po chusteczkę. - To najwspanialszy mężczyzna spośród wszystkich mi znanych, i kocham go. Jutro wyjeżdża i już nigdy go nie zobaczę. - Rozpaczliwym gestem ścierała łzy z policzków.

- Ale czy to nie najlepsze wyjście z sytuacji? - odezwała się Charlotte, kompletnie zaskoczona tym, co usłyszała.

- A jakbyś się czuła, gdyby Phineas cię opuścił?

- Phineas nie jest kamerdynerem.

- Otóż to! Znam wszystkie powody, dla których nie powinnam kochać Jacka. Znam wszystkie powody, dla których nie powinien odwzajemniać moich uczuć. Wiem doskonale, że sprawa jest beznadziejna, ale ja naprawdę bardzo cierpię.

To wyznanie wśród szlochów poruszyło Charlotte.

- Kochanie, porozmawiajmy, - Siedziała teraz na żółtym brokatowym szezlongu, wskazując Sarze miejsce obok siebie. - Tu, tu - mruknęła gładząc ją po włosach, i wreszcie Sara opadła skulona na szezlong, przytulając głowę do wydatnego brzucha przyjaciółki. - Rozumiem, jak ci ciężko.

- Próbowалам... - mówiła Sara wśród łez, z którymi już nie walczyła. - Tak bardzo starałam się go nie kochać. Nie masz pojęcia. Ale niemal od pierwszego wejrzenia... owładnęła mną ta miłość.

- Tak, ze mną było to samo - rzekła Charlotte przyciszonym tonem, dotykając delikatnie czoła przyjaciółki. - Moi rodzice nigdy nie lubili Irlandczyków. Wiedziałam, że odniosą się z niechęcią do Phineasa. Lecz nasza miłość okazała się silniejsza niż wszystkie przeszkody.

- No właśnie - odparła Sara, pociągając nosem. Szybko sięgnęła po chusteczkę.

- Nie jestem w stanie ukoić twego bólu. I nie będę cię namawiać, żebyś przestała kochać Rawlinsa, bo za dobrze cię znam. Co się stało, to się nie odstanie. Mogę cię tylko zapewnić, że czas łagodzi cierpienie.

- Być może złagodzi, jeśli doczekam podeszłego wieku. - Krzyknęła nagle i usiadła wyprostowana jak struna.

- Co się znowu stało, na litość boską?! - zapytała Charlotte.

Sara spojrzała na nią szeroko rozwartymi oczami.

- Twój syn kopnął mnie w ucho!

Charlotte roześmiała się.

- Skąd wiesz, że to syn?

Sara wytarła nos z ponurą miną.

- Bo tylko chłopak może być tak nieczuły na kobiecą rozpacz. Nie zostanę jego chrzestną matką.

- Cóż, trudno.

Sara wytarła nos i zmierzyła przyjaciółkę gniewnym wzrokiem.

- Jesteś podła.

Charlotte uśmiechnęła się.

- No, już znacznie lepiej. Twój zdrowy rozsądek pomoże ci przetrwać ciężkie chwile. Czy on... czy powiedziałaś Rawlinsowi o swoich uczuciach?

- Ależ skąd! Nie jestem aż taka głupia!

- Dzięki Bogu i za to. Więc jeśli ja nic bym o tym nie wiedziała, to nikt inny by się tego nawet nie domyślił, tak? Czyli nie narazisz się na kpiny i potępienie środowiska?

- Pozory zatem są najważniejsze? - westchnęła Sara z rezygnacją.

- Biedna dziewczynka. Trudne przeżywasz lato.

- To nie koniec moich zmartwień. - Sara utkwiała wzrok w niewielkim obrazie przedstawiającym pocztowy wehikuł kolebiący się drogą wśród burzy. - Najpierw jutro rano pożegnam na zawsze ukochanego mężczyznę, a potem muszę stoczyć walkę z rodzicami, by pozwolili mi samej urządzić sobie życie.

- Co masz na myśli?

Popatrzyła na Charlotte.

- Nie mogę już żyć tak jak do tej pory. Nie będę dłużej odgrywać roli posłusznej córki. Nie - po tej maskaradzie z Fitzem i po... poznaniu Jacka. Musisz to zrozumieć.

- Staram się.

- Winnam więc teraz obrać inną drogę.

- Dokąd cię ona doprowadzi?

Sara chwyciła dłoń Charlotte i spojrzała prosto w jej piwne oczy.

- Do życia bez rozpacz w sercu.

Wobec wrzawy wokół Danversów Sara była przekonana, że resztę popołudnia spędzi spokojnie u siebie i nikt nie zauważy jej nieobecności. Musi teraz dołożyć starań, żeby dziś wieczór wyrzucić wrażenie na wszystkich - również na Rawlinsie - swoim nieskazitelnym wyglądem.

Nie miała już czerwonego nosa. Ani oczu zapuchniętych od łez. Nie wybuchała płaczem, ilekroć spojrzała na kamerdynera, a nawet roześmiała się dwukrotnie.

Skierowała myśli na tory bardziej konkretne i trzymała się ich. Trzecia droga i nieuchronna utarczka z rodzicami - na tym winna się skoncentrować. W ten sposób łatwiej przeżyje rozstanie. Wieczorem przy obiedzie patrzyła tylko na rodziców, by nie ulec pokusie obserwowania każdego ruchu Jacka. Jej rozmowa z siedzącymi obok ograniczała się do: „O, tak” albo „Czyżby?”

Po obiedzie, w salonie, zmusiła się do gry w karty z państwem Doherty i lordem Pontifaksem, a potem, wymawiając się bólem głowy, uciekła do swego pokoju. Maria, która podejrzewała już od jakiegoś czasu, że coś nęka jej panią, zauważyła teraz jej niezwykłą bladłość, ale zachowała dyskretne milczenie. Fakt, iż Sara nie zwierzyła się jej, uznała za znamienny i złowieszczy. Nic jednak na to nie mogła poradzić.

Jeśli Sara w ogóle spała tej nocy, to godzinę, najwyżej dwie. Wstała z łóżka, gdy niebo było jeszcze całkiem ciemne, a kogut jeszcze nie zapiał. Włożyła ciepły szlafrok i haftowane ranne pantofle i wyszła z pokoju. Schodząc bezszelestnie do hallu, wsłuchiwała się w panującą wokół ciszę.

Na półpiętrze było okno wychodzące na dziedziniec, a pod nim ławeczka w wykuszu. Sara odsłoniła ciężkie żółte kotary i usiadła na tej ławeczce, wsparłszy podbródek na zgiętych kolanach; mimo ciepłego szlafroka było jej zimno, źle się czuła.

Obserwowała, jak niebo szarzeje z wolna. Nic się nie działo. Dopiero gdy szarość przemieniła się w błady lazur, a horyzont na wschodzie zaczął różowieć, odziany w liberię stangret Fitz'a wjechał dwukółką na

dziedzinię i zatrzymał się tuż pod jej oknem. Gniada klacz niecierpliwie grzebała nogą.

Po pięciu minutach John Rawlins zszedł po schodach od frontu i zbliżył się do dwukółki. Miał na sobie prosty długi płaszcz, który otulał go od stóp do głów. Ciemne włosy przykrywał kapelusz. W jednej ręce niósł walizkę, w drugiej neseser. Umieścił je z tyłu. Obejrzał się, jak gdyby chciał po raz ostatni rzucić okiem na dom, lecz momentalnie odwrócił wzrok i wsiał do dwukółki. Stangret chwycił za lejce. Klacz ruszyła wysadzana drzewami aleją.

- Żegnaj, ukochany- szepnęła Sara, przyciskając dłoń do zimnej tafli szkła. Patrzyła tak długo, póki dwukółka nie znikła jej z oczu.

Potem już była pustka. I rozpacz. Nie mogła nawet płakać. Wpatrywała się tylko w jaśniejący brzask. Nie widziała wyłaniających się z niego kolorów, nie słyszała coraz głośniejszego śpiewu ptaków, i myślała tylko o jednym: wyjechał.

Siedziała na ławeczce jeszcze przez pół godziny. Wreszcie wstała i na zeszywniałych aż do bólu nogach wróciła do swego pokoju. Włożyła pierwszy lepszy jeździecki strój, buty, i wybiegła z domu.

Gdy weszła do stajni, dwaj stajenni przerzucali siano w boksach. Spojrzeli na nią ze zdziwieniem.

- Biorę Dune - powiedziała. - Sama ją wyszczotkuję i osiodłam.

W ciągu paru minut klacz była gotowa, Sara wyprowadziła ją ze stajni, wskoczyła na siodło i ruszyła kłusem. Nie chciała, by Henry Jenkins jej towarzyszył. Nie dzisiaj.

Wyjechawszy z dziedzińca, przeszła w galop. Dune od czasu, gdy Sara rzekomo skreśliła kostkę, stała beczynn timerze, toteż teraz przemierzała ochoczo łąki i pola, nieświadoma rozpacz, która kazała jej pani gnać przed siebie bez opamiętania.

Sara wróciła dopiero po dwóch godzinach, zarumieniona, wysmaganiana wiatrem. Dune ze zwieszonym ze zmęczenia łbem zatrzymała się przed wrotami stajni. Zanim podbiegł stajenny, Sara zeskoczyła z konia i nie słuchała nawet delikatnych upomnień Henry'ego, że to istne szaleństwo jeździć bez asysty po bezdrożach.

Wykąpała się, włożyła białą muślinową suknię, nie zamieniając z Marią ani słowa; twarz miała bez wyrazu, a nad łzami zdołała zapanować. Czekał ją długi dzień, musiała go jakoś przetrwać.

Odrętwiała, jakby serce w niej zamarło, zeszła na dół do pokoju śniadaniowego, a potem wraz z państwem Doherty i Freddyem Braithwaite'em pojechała otwartym powozem na wieś, gdzie przed lokalnym sądem miało się odbyć przesłuchanie w sprawie Danversów.

Do sądu przybyli nie tylko goście z Charlisle. Nie minęła doba, a wieść o Danversach rozniosła się po okolicy. Połowa zamieszkałych w pobliżu sąsiadów zjawiała się, aby z okazji tak niecodziennego wydarzenia wystąpić w charakterze świadków.

Sędzia, znudzony karaniem kłusowników, włóczęgów i drobnych złodziejasków, ostrząc sobie zęby na tak smakowity kasek, przesłuchiwał każdego chętnego do zeznań, a większość spośród nich stanowili goście Charlisle. Fitz wyjaśnił, że zgodnie z jego wolą sprawców kradzieży wytropił kamerdyner. Jako dowód odczytano list Jacka. Earnshaw opowiedział, jak wykrył klejnoty w słoikach na tabakę lorda Danversa.

Po dwóch godzinach przesłuchań sędzia podjął decyzję. Danversowie - i nikt się temu nie dziwił - staną przed trybunałem.

W Charlisle odbył się uroczysty obiad, na który zaproszono sędziego. Kontent był ogromnie, bo wszyscy zadawali mu pytania. Nieczęsto się zdarza, iż wiejski sędzia pokoju staje się ośrodkiem zainteresowania śmietanki towarzyskiej. Dwukrotnie nabierał sobie porcję z każdego serwowanego dania. Na Sarę, która siedziała przy stole w milczeniu, nikt nie zwracał uwagi. I nikt nie zwrócił uwagi na to, że nawet nie tknęła jedzenia.

Pod koniec obiadu Sara jednak przemówiła. Poprosiła rodziców o posłuchanie o jakiegokolwiek odpowiadającej im porze tego dnia. Przekonani, że najmłodsza córka padnie im do nóg, co wszak było jej obowiązkiem, i będzie prosić o wybaczenie za swe haniebne postęпки, jakich dopuściła się w ciągu lata, książe i księżna łaskawie wyrazili zgodę i wyznaczyli jej pół godziny między partią wista w salonie a porą przebierania się do kolacji.

O wyznaczonej godzinie zasiedli na zielonych brokatowych fotelach w swoim salonie - niczym para królewska gotowa wysłuchać prośby swych poddanych. Sara nie czuła lęku. Zbyt często oglądała taki spektakl, by wywarł na niej wrażenie. Stała przed nimi spokojnie, nie okazując skruchy.

- Chciałam porozmawiać o mojej przyszłości - przystąpiła od razu do rzeczy.

- Po tak perfidnych uczynkach twoja przyszłość jest istotnie niewiadoma - wyrzekła księżna. Czekwała na przeprosiny. Przeprosin nie było. - Nie wiem doprawdy, jak zdołamy zmasać to piętno - ciągnęła, czerwieniąc ze złości. - Od samego początku aż do końca zachowywałaś się, Saro, skandalicznie. Trzeba to naprawić. W czasie sezonu w Londynie godnie zaprezentujesz nienaganne manieri, i miejmy nadzieję, że towarzystwo zapomni o tym fatalnym lecie.

- Nie pojedę, matko, do Londynu na otwarcie sezonu. Zamierzam osiedlić się w Barlow, naszej posiadłości w Berkshire - oznajmiła Sara

spokojnie i stanowczo, podczas gdy rodzice patrzyli na nią z niedowierzaniem. - Wezmę ze sobą Marię i Henry'ego Jenkinsów oraz Billa Regisa.

- Absolutnie wykluczone! - wykrzyknęła księżna. - Jak zawsze pojedziesz z nami do Londynu, gdzie znajdziemy ci odpowiedniego męża, bo jeśli nie, skutki będą dla ciebie opłakane.

- Nie, nie wyjdę za mąż na Wielkanoc - odparła Sara. - Tego lata umyślnie stawiałam się w niefortunnych sytuacjach i niejednokrotnie narażałam na śmieszność tylko po to, aby uniknąć owego nieszczęsnego małżeństwa. Nie zamierzam ponownie przeżywać takich perturbacji. I przysięgam, matko, że jeśli znowu zaczniecie wybierać mi małżonka, wyrażę stanowczy sprzeciw, kimkolwiek by on był. Moje naganne zachowanie się w Charlisle powinno was przekonać, że stać mnie na każdy desperacki czyn.

Owszem, przekonało, widać to było po ich twarzach.

- Saro - zaczął książę tonem pełnym dezaprobaty. - Co się z tobą dzieje?

- Nic. Postanowiłam sama zdecydować o swoim życiu. Chcę osiedlić się w Barlow, ojcze, i być jak najdalej od tej naszej sfery i wszelkich małżeńskich utargów.

- Toż to szaleńczy wybryk! Nie dopuszczę do tego! - oświadczyła księżna.

- Dopuścisz, bo w przeciwnym razie obiecuję ci, matko, taki skandal, że moje tutaj wyczyny wydadzą ci się istną błahostką.

Księżna otworzyła usta w zadziwieniu i krzyknęła z furją:

- Niewdzięczna, nieposłuszna, zepsuta dziewczyna! - Podeszła do córki i z całych sił wymierzyła jej policzek.

Nastała chwila grobowej ciszy, podczas której Sara patrzyła matce prosto w oczy i ani jej powieka nie drgnęła.

- Takie metody już na mnie nie działają, wasza wysokość - powiedziała przytłumionym głosem. - Możesz mnie, matko, poniżyć, bić, grozić mi, ale na nic się to zda. Przeniosę się do Barlow i będziesz mi wypłacać dochód z mego posagu albo zamienię ci życie w piekło. Jeżeli natomiast przystaniesz na moje warunki, to obiecuję ci, że żadnego skandalu już nie wywołam i będę wiodła w Barlow tak spokojne życie, że cała arystokracja, z tobą włącznie, zapomni o moim istnieniu.

- To całkiem... interesująca propozycja, Amando - zauważył książę, przerywając ciszę, jaka zapadła po słowach Sary.

- Nigdy! - zawołała księżna, siadając ponownie na fotelu. - Nigdy nie pozwolę na to, by szantażowała mnie moja własna córka!

- Zatem - rzekła Sara, kierując się ku wyjściu - przygotuj się, matko, na opłakane skutki twego uporu.

Wyszła, zamykając za sobą delikatnie drzwi. I choć po raz pierwszy jako dorosła osoba rzuciła rodzicom wyzwanie, była pewna, że wygra tę walkę. Miała w ręku broń i miała odwagę jej użyć, co poświadczały wydarzenia tego lata, i nawet rodzice byli wobec tej broni bezsilni.

- Jak to dobrze, Mario, że cię zastałam - powiedziała spokojnie, wchodząc do swego pokoju.

Sama nie mogła się nadziwić swojemu opanowaniu. Usiadła przy małym biurczku z różanego drewna, wyjęła z szuflady arkusz papieru, zamoczyła pióro w inkauscie i obejrzała się na pokojówkę.

- Pomóż mi sporządzić listę rzeczy - powiedziała - które będą nam potrzebne, gdy w przyszłym tygodniu przeprowadzimy się do Barlow.

- Do Barlow? - Maria, drgnąwszy, ukłuła się igłą.

- Tak. Przenoszę się tam. Będzie to moja stała rezydencja. Rzecz jasna, ty i Henry jedziecie ze mną. Wszystko na to wskazuje, że Henry poślubi pannę Benton, pełniącą tu funkcję głównej pokojówki, i moim zdaniem to niewiasta rozsądna i na tyle kompetentna, by zostać gospodynią w moim domu. Bill Regis zajmie się ogrodem: Potrzebny mi będzie kucharz. Zastanawiam się, czy pomocnica kucharza w Rolbrook zechce opuścić tak znamienity dom. To utalentowana młoda kobieta, zawsze ją lubiałam. No i musisz mi doradzić, którego lokaja mam ze sobą wziąć.

- Lady Saro, czy pani... źle się czuje?

- Wręcz przeciwnie. Odzyskałam w końcu błogosławione zdrowie.

Lecz jej cierpienie nie zmniejszyło się ani trochę. Przepłakała w poduszkę prawie całą noc, a nazajutrz rano wstała biała, z podpuchniętymi oczami. Nieznośny ból głowy uciskał jej skronie. Oto przeżyła całą dobę bez Jacka. Może więc i kolejny dzień przeżyje.

Maria wraz z filiżanką gorącej czekolady przyniosła jej list od rodziców. Był krótki i rzeczowy. Książę i księżna skapitulowali, zastrzegając jedynie, że o decyzji Sary oni sami powiadomią towarzystwo, w sposób, jaki sami uznają za stosowny. Nie miała nic przeciwko temu. Mogą opowiadać wszem wobec, co im się żywnie podoba, skoro ona zyska wolność i spokój.

- Rodzice sprowadzą z Rolbrook powóz, którym pojedziemy do Barlow - powiedziała Sara do Marii. - Nie zabawimy już tu dłużej niż cztery dni.

Nie miała nastroju ani chęci spotkać się tego ranka z całym towarzystwem - mimo odniesionego tak błyskawicznie zwycięstwa - zjadła więc śniadanie we własnym pokoju i napisała listy: do personelu w Barlow, do Sally Givens, pomocnicy kucharza w Rolbrook, oraz do Evana Yatesa, lokaja, albowiem obie z Marią uznały, iż właśnie on jest najlepszym kandydatem. W końcu ubrała się. Wezwała potem Henry'ego Jenkinsa, a kiedy oznajmił jej, że panna Benton przyjęła jego oświadczenia, Sara złożyła mu serdeczne gratulacje. Lizzie Benton, po którą posłała, zgodziła się z radością objąć funkcję gospodyni domu w Barlow.

Załatwiwszy ku swemu zadowoleniu sprawy związane z jej przyszłością, Sara zeszła na dół, by w porannym salonie przyłączyć się do towarzystwa. Z Londynu nadeszły gazety i wiele osób na nich skupiło uwagę. Rozmowy, haftowanie, gra w kości, wista - tym zajęciom oddawali się pozostali goście. Odnotowując fakt, że rodzice nie raczą nawet na nią spojrzeć, Sara przysiadła się do Freddy'ego i Corliss Braithwaite'ów i włączyła do rozmowy o książce pani Radcliffe, *The Mysteries of Udolpho*, którą Corliss uwielbiała, a której Freddy nie chciał nawet przeczytać.

Dzień ciągnął się w nieskończoność, a Sara wciąż trwała w rozpaczy. Następnym dniem nie był lepszy. Każda minuta sprawiała jej ból. Nie wiedziała do tej pory, że cierpienie miłosne to również nadwrażliwość skóry na każdy dotyk, wzmożona nerwowość, co sprawiało, że drgała przy najmniejszym dźwięku, gorące łyzy cisnęły się jej do oczu tym gwałtowniej, im usilniej starała się je powstrzymać. Stała się kompletnie nieczuła na uroki lata, a błahe rozmowy z przyjaciółmi nie dawały jej żadnej przyjemności

Dotkliwego bólu serca nic nie zdołało uśmierzyć.

Dwa dni przed wyjazdem do swego nowego domu uczestniczyła w uroczystości ślubnej Elisabeth Benton i Henry'ego Jenkinsa. Wysłuchanie przysięgi małżeńskiej drogo ją kosztowało. Lecz potem uśmiechała się i składała nowożeńcom gratulacje, i aż sama się dziwiła własnemu hartowi ducha. Spełnienie toastu na cześć państwa młodych było aktem najwyższej odwagi, bo w takiej sytuacji łatwo stracić panowanie nad emocjami. Tegoż popołudnia z uczuciem ogromnej ulgi odprowadziła szczęśliwych oblubieńców, udających się jako forpoczta do Barlow.

Świt w dniu wyjazdu Sary był przepiękny. Obserwowała wschód słońca, nie doznając jednak żadnych wzruszeń. Spała ostatnio mało, zaledwie parę godzin w ciągu nocy. Apetytu nie miała już od dawna. Na

szczęście ci goście, którzy jeszcze tu pozostali, kojarzyli sobie jej mizerny wygląd - co było po myśli Somertonów - z rozstaniem z rodzicami, nikt się zresztą głębiej nad tym nie zastanawiał. Fitz nawet pogratulował Sarze, że z taką odwagą wywalczyła sobie wolność, i wyraził przypuszczenie, iż z chwilą osiedlenia się w Barlow zapomni o wszystkich związanych z tym perypetiach.

Tak jak przez ostatnich kilka poranków Sara wraz z innymi gośćmi siedziała w saloniku. Uszu jej dobiegał szelest przerzucanych stron gazet. Słyszała rozmowę matki z panią Braithwaite na temat zezwalania młodym dziewczynom na chodzenie po mieście bez przyzwoitek. Prawie nie słyszała, co mówi do niej Susan Formantle. Coś o ogrodnictwie, ale nie była pewna.

Po półgodzinie do salonu wszedł Greeves. Wyglądał tak, jak kamerdyner wyglądać powinien, pomyślała Sara. Był średniego wzrostu, z wyraźną tendencją do tycia, a głowę jego zdobiły starannie uczesane białe włosy. Kierując się wewnętrzną potrzebą obserwowała jego ruchy, dostrzegając w nich zarówno różnice, jak i sprawiające jej ból podobieństwa do jakże przystojnego jego poprzednika.

Greeves podsunął Fitzowi srebrną tackę. Ten ostatni, zaaferowany rozmową z Freddyem Braithwaite'em o licznych zaletach wałachów, których właścicielem był hrabia Klenych, wziął z niej machinalnie kartę wizytową, ledwie rzuciwszy na nią okiem.

- Czy to jakiś żart? - zapytał Greevesa.
- Bynajmniej, sir - odpowiedział kamerdyner.
- No, no, ciekawa historia - rzekł Fitz, przytykając kartę do czubka nosa. - Wprowadź go zatem i zaanonsuj towarzystwu.

Greeves, złożywszy ukłon, wyszedł z pokoju. Po chwili wkroczył doń ponownie.

- Sir John Rawlins - oznajmił i wycofał się dyskretnie.

W salonie pojawił się Jack Rawlins, ale takiego Jacka Rawlinsa Sara do tej pory nie widziała. Wyglądał niezmiernie elegancko. Ubrany był w ciemnozielony dwurzędowy surdut z naszywanymi kieszeniami, pantalony ozdobione błyszczącymi frędzlami, na szyi biały fular. W ręku trzymał kapelusz i rękawiczki. Sara, siedząc obok Susan Formantle na szezlongu, nie mogła zapanować nad drżeniem. Oniemiała. Czuła się tak, jakby życie z niej uchodziło. Dlaczego on tu przyjechał? Dlaczego Greeves zapowiedział go jako „sir Johna Rawlinsa”?

Podobne pytania nurtowały zapewne wszystkich obecnych, bo wpatrywali się w niego ze zdumieniem, a gdy podchodził do Fitz, śledzili każdy jego krok.

- Jack! - wykrzyknął Fitz jowialnie. - Mój aniele stróżu! Jak to dobrze, że nas odwiedziłeś!

Freddy, zemocjonowany okrutnie, wykręcał szyję, przenosząc co chwila wzrok z gościa na gospodarza.

- Dziękuję, że raczyłeś mnie przyjąć - powiedział Jack swoim niskim głosem, który takie wrażenie wywierał na Sarze.

Fitz wstał, obdarzając go serdecznym uśmiechem.

- Witaj w moich skromnych progach. Znasz tu wszystkich, jak mniemam?

- Co tu, do diabła, się dzieje?! - wrzasnęła wdowa Formantle. - Jak śmiesz, młody człowieku, podawać się za szlachcica?!

- Słuszna uwaga - potwierdził starszy pan Braithwaite.

- I cóż pan powie, sir? - zapytał wyniosłym tonem ksiązę Somerton.

- Istotnie należą się państwu pewne wyjaśnienia - powiedział Jack, zwracając się do wszystkich obecnych, nie rzuciwszy nawet okiem na Sarę. - Odgrywałem tu rolę kamerdynera. Spektakl się skończył. Powinienem może zacząć od tego, że już od dawna jestem przyjacielem wicehrabiego Lyletona...

- Najlepszym przyjacielem - wtrącił Fitz.

- I właśnie on poprosił mnie, bym pomógł mu w sprawie Danversów - oświadczył Jack, skupiając tym uwagę wszystkich osób.

- W sprawie Danversów? - prychnęła z ironią wdowa Formantle. - Dlaczego poprosił pana o pomoc, skoro nikt o nic ich nie podejrzewał?

- Wicehrabia podejrzewał - stwierdził chłodno Jack, nie dając się ponieść emocji. Sporo to Sarę kosztowało, ale spokojnie skierowała na niego wzrok. - Bardzo był zatroskany faktem, że lord i lady Danvers, znalazłszy się wśród tak wielu znamienitych i posiadających kosztowną biżuterię gości, stracą nad sobą panowanie i nie omieszkają skorzystać z okazji. Poprosił mnie, bym przyjechał do Charlisle i dostarczył mu dowodów przestępstwa, upoważniających sąd do wydania wyroku. Uznał, że lepiej będzie, gdy nie wystąpię w charakterze gościa, tylko sługi, który ma dostęp do każdego w tym domu pokoju. Zgodziłem się. Niedawno wystąpiłem z armii i potrzebna mi była jakaś... rozrywka.

- Dobry Boże! - wykrzyknął ksiązę Somerton, wprawiając tym gości w jeszcze większe zdumienie. - Czyżby pan był majorem Jackiem Rawlinsem, zbawcą z San Miguel?

- Nie przypominam sobie, bym poza własną osobą zbawił tam ko- goś - odparł Jack, podczas gdy wszyscy wybałuszali na niego oczy.

- Wiedziałem, że znam skądś to nazwisko - rzekł ksiązę, krocząc ku niemu z wyciągniętą do uścisku dłonią. Sara zamrugała powiekami,

własnym oczom nie dowierzając. - Pokazał pan tym przeklętym żabojadom, co znaczy brytyjska armia! Czytałem w gazetach o nadanym panu szlachectwie. Jakże zasłużonym, młody człowieku! Jakże zasłużonym!

- Dziękuję, wasza wysokość - powiedział Jack, skłoniwszy głowę.

Reszta towarzystwa ciasnym kołem otoczyła Fitzę, Freddy'ego, księcia i Jacka, rozpytując tego ostatniego o jego wojenne sukcesy, nadany mu tytuł i ową maskaradę, która kompletnie ich zwiodła i doprowadziła do ujęcia złodziei.

Sara nie wytrzymała już dłużej. Wybiegła z domu. Z wrażenia nie mogła oddychać - brakło jej tchu w piersiach. Przebiegła przez dziedziniec, potem przez ogród, minęła kępy przystrzyżonych krzewów. A gdy opadła z sił, zwolniła kroku i szła łąką tworzącą łagodne wzniesienie, na którego szczycie rosły dęby i buki. Kiedy nie mogła już dłużej iść, zatrzymała się i patrzyła w dal, na rozległą posiadłość Charlisle, lecz widziała tylko wielką plamę zieleni. Kiedy nie mogła już dłużej stać, usiadła na leżącym opodal pniu.

Twarz ją paliła. Ale nie dlatego, że pokonała taki szmat drogi. Dotknęła dłońmi policzków. Szlachcic! Bohater wojenny. Przyjaciel Fitzę! Wciąż nie docierało to do jej świadomości. Nie mogła wprost pojąć tej nagłej odmiany: człowiek, którego kochała, okazał się zupełnie kimś innym. Bił się na wojnie. Widział, jak ludzie idą na śmierć. Widział konających w lazaretach, widział trupy rozkładające się na polu walki. Stąd ten jego smutek. Zbyt dobrze go znała, by nie rozumieć, jakim ogromem bólu wojna go obarczyła. O Boże, jakżeż ona traktowała go w ciągu tego lata!

Jęknęła głośno. Co on sobie o niej myślał? Przez parę minut siedziała skulona na pniu, oszołomiona, zdezorientowana, nieszczęśliwa.

- Lady Saro!

Zerwała się na równe nogi, odwróciła gwałtownie - Jack stał jakieś trzy stopy od niej, łagodna bryza rozwiewała jego ciemne włosy. Pozbył się wprawdzie swego kamerdynerskiego przyodziewku, ale nie powagi.

- Sir John - wysyczała gniewnie. Cierpienia ostatnich dni znalazły teraz ujście nie w łzach, lecz we wściekłości. - Oto przemawia do mnie nie kamerdyner, tylko najświeższej daty bohater Anglii! Szlachcic! Wyhodowany na piersi Wellingtona!

- Przyznaję się tylko do znajomości z nim - mruknął.

- Taka skromność ci nie przystoi. Śmiem przypuszczać, że zostaniesz przedstawiony królewskiemu majestatowi.

- Hm. Tytuł szlachecki...

- Jesteś niewątpliwie przyjacielem Prinny'ego, mój drogi.

- Korespondencyjnym zaledwie - zapewnił ją. - Ale powinienem chyba wyznać...

- Słucham? - przerwała mu napastliwie.

- Moje... hm... wykształcenie...

- Oksford? - zapytała łamiącym się głosem.

- Uniwersytet w Edynburgu - wyznał ze spuszczoną głową.

- O, wybiłeś się! - atakowała Sara.

- Gorzej - powiedział.

- Czy może być jeszcze gorzej?

- Obawiam się, że tak. Mój ojciec, choć oficjalnie mnie nie uznawał, to nie kto inny, tylko... hm... księżę Merifield.

Nie mogła ze złości wykrztusić słowa.

- Ach, ty potworze! - wybuchnęła w końcu. - Nikczemniku! Obrzydliwcze! I pomyśleć, że prawie przez miesiąc okłamywałeś mnie, oszukiwałeś, kpiłeś w żywe oczy, doprowadzałeś do rozpacz... Na wspomnienie, co przeżyłam... Nawet Charlotte uznała mnie za niespełna rozumu! Och! Nie chcę w ogóle z tobą rozmawiać...

Odwrociła się od niego, skrzyżowała ramiona na piersi, rozwścieczona i zarazem szczęśliwa, pełna nadziei i zarazem dotknięta do żywego.

- Uzbroj się w cierpliwość, Saro - rzekł z westchnieniem. A zabrzmiało to tak, jakby stał tuż za nią.

- Jestem okropna, wiem - wyznała z goryczą.

- Tu już dopuszczasz się fałszu, bo jesteś najwspanialszą kobietą na świecie. Zakrawa na cud, że dotąd cię nie pocałowałem.

Obrócił ją ku sobie. Obiema dłońmi ujął jej twarz, a ona patrzyła na niego z narastającym zdumieniem - dostrzegła bowiem w jego oczach coś, czego nigdy do tej pory nie widziała. Pochylił się i dotknął ustami jej ust. W głowie jej się zakręciło, zacisnęła mocno powieki.

Pocałunek był słodki, rozkoszny, gorący. Nigdy czegoś podobnego nie zaznała. Nigdy o czymś takim nie marzyła. Szybko jednak Jack uniósł głowę. Spojrzała na niego i po tych paru upojnych sekundach wydał jej się całkiem odmieniony.

Nie był już ani poważny, ani spokojny, ani opanowany. Pochłaniał ją wzrokiem. W tym jego spojrzeniu odnalazła i nadzieję, i niepewność, i jeszcze coś, co lękała się nazwać.

- Czy to możliwe? - zapytał z nutą niedowierzania, dotykając z lekka jej policzków. - Uważałem, że to sprawa beznadziejna. Nie mam ani tytułu, ani fortuny... Ty jesteś córką księcia... Wyjechałem z Charlisle przekonany głęboko, że nie mogę ujawnić swoich uczuć... - Potrząsnął głową. - Lecz ani dwóch mil nie ujechałem, gdy zdałem sobie sprawę,

że nie potrafię cię opuścić, że nie wyobrażam sobie życia bez ciebie. Wiedziałem jednak, że płonne są nadzieje. Nie mam nawet takich koligacji jak sir Geoffrey Willingham, a i jemu przecież odmówiono twojej ręki. Przez całe lato marzyłem tylko o jednym: uciec stąd i zamieszkać w mojej farmie w Devonshire, w moim sanktuarium. Ale gdy już się tam znalazłem, omal nie oszalałem. Musiałem wrócić. Musiałem się przekonać, czy choć w jakiejś mierze odwzajemniasz moje uczucia. Czy istnieje choćby cień nadziei...

Emocje Sary sięgnęły szczytu, wszelki umiar ją opuścił.

- Obiecuję ci więcej, niż się spodziewasz - zapewniła go, czując zamęt w głowie. - Możesz być absolutnie i całkowicie pewien moich uczuć.

Z determinacją, która nie dała Jackowi szans na obronę, przywarła ustami do jego ust, jakby chciała przez to wyrazić cały bezmiar swojej miłości. Była szczęśliwa. Jack objął ją, przytulił do piersi i całował równie żarliwie. Przeszył ją dreszcz podniecenia. Trwali spleceni ze sobą, upojeni pocałunkami, niepomni świata wokół.

- Najdroższa - szepnął jej Jack na ucho, a Sarze wydawało się, że ziemia płonie pod jej stopami. - Kocham cię tak bardzo. Brak mi słów... A tak mało mogę ci dać. Czeka cię jedynie zwykłe życie w wiejskiej posiadłości, z dala od śmietanki towarzyskiej, przyjęć, balów...

Chwyliła go za kłapy modnego surduta i zmierzyla gniewnym spojrzeniem.

- O to właśnie chodzi, dasz mi to, czego zawsze pragnęłam.

Patrząc na jej rozpłomienioną twarz, sir John Rawlins widział to, czego zawsze pragnął, a że był mężczyzną z krwi i kości, zaczął znowu ją całować aż do utraty tchu.

- Moja najukochańsza - mówił, całując jej skronie, policzki, szyję. Czuł, że drży w jego ramionach. Znów przywarł ustami do jej ust, a gdy językiem sięgnął głębiej, wygięła się w jego objęciach, wydając okrzyk rozkoszy. - Oboje oszaleliśmy - powiedział po chwili z ciężkim westchnieniem. - Musimy trzeźwo spojrzeć na życie, Saro. Twoi rodzice nigdy mnie nie zaakceptują jako wnuka i bratanka kamerdynerów.

Spojrzała surowym wzrokiem na mężczyznę, którego pokochała.

- Nie dbam o to. Mam urodzić córkę, która zostanie pisarką, a ty, Jack, jesteś człowiekiem, który spełni moje marzenia!

Patrząc w jej niebieskie błyszczące oczy, Jack przypomniał sobie proroctwo Cyganki i przysiągł w duchu, że da jej wywrózone przez Cygankę szczęście.

- Przywróciłaś mi życie - powiedział. - Zdolność do miłości i śmiechu, którą straciłem. Pozwól, że w zamian ofiaruję ci swoje życie. Wyjź

za mnie, Saro. Niechaj stanę się dla ciebie tym skromnym szlachcicem, o którym wspominałaś.

Uśmiechnęła się promiennie, dotykając czubkami palców jego ust. Jack dostrzegł jednak w jej oczach figlarny błysk.

- Ale ojciec powiedział, że jesteś bohaterem wojennym - mruknęła. - Gdzież tu mowa o skromnym szlachcicu?

Odwzajemnił uśmiech.

- Nie obawiaj się, ukochana. Pół roku po obwołaniu kogoś bohaterem ludzie nie pamiętają ani jego nazwiska, ani twarzy, zapominają o czynach, jakich dokonał. Osiągniesz zatem to, o czym zawsze marzyłaś - będziesz żoną skromnego szlachcica.

- Czy aby na pewno? - zapytała z ustami przy jego ustach.

- Kamerdyner nigdy nie kłamie - szepnął, nim pocałunek znów ich połączył.

Przez cały ranek i przez całe popołudnie nie odstępowali sobie na krok, wciąż wyznając sobie miłość, planując przyszłe życie - nie w Barlow, lecz w Devonshire, zastanawiając się, jak zyskać przychyłność Somertonów. Ułożyli sobie nawet, że jeśli rodzice sprzeciwią się temu małżeństwu, Jack porwie Sarę i wezmą ślub, choćby i bez zgody księżęcej pary.

Nie docenili jednak księcia i księżnej Somerton. Przerażeni ostatnimi wyczynami Sary, upokorzeni zerwaniem narzeczeństwa, wstrząśnięci samowolną decyzją córki o zamieszkaniu w Barlow, radzi byli, że pozbędą się wreszcie niesfornej dziewczyny. Z demonstracyjną wyniosłością przyjęli oświadczyzny Jacka, nie zdradzając zadowolenia, jakie oboje odczuwali.

Jak nakazywała przyzwoitość, dopiero po miesiącu ogłoszono zaręczyny i datę ślubu. W tym czasie Jack poinformował księcia i księżnę o swoim pochodzeniu i rodzinnych koneksjach. Był to dla pary księżęcej nie lada cios, ale otrzymany niedawno tytuł Jacka oraz fakt, iż jego ojciec, choć nie uznający syna z nieprawego łoża, był księciem, a także obietnica, iż przyszły zięć wywiezie swą żonę do odległej posiadłości, gdzie spędzą całe życie - wszystko to wydatnie ów cios złagodziło.

Lady Sara Thorndike i sir John Rawlins wzięli cichy ślub, co odpowiadało zarówno im, jak i lękającym się rozgłosu rodzicom Sary. Gości weselnych było niewiele, zaledwie dwadzieścia parę osób - rodzina panny młodej, pana młodego, - Fitz, państwo Doherty, młodzi Braithwaite'owie i rodzeństwo Jenkins.

Sir John i lady Sara Rawlinsowie wiedli szczęśliwy żywot w coraz lepiej prosperującej farmie w Devonshire, słynącej z wystawnych letnich przyjęć, wspaniałych sadów owocowych, z rozwijającej się wciąż hodowli najlepszych w kraju koni oraz z tego, że tam właśnie przyszła na świat pewna znana pisarka.